

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2025

ISSN 1733-0930 22 zł (VAT 8%)

Tryjanowski:
Zaproszenie do ornitologii

Skrendo, Marzec, Byrka i in.:
Jaka będzie ewaluacja?

Gorynia:
Awanse i recenzje

Choczaj:
Tkanina eksperymentalna

Kujawiak:
Językowe manipulacje

Gołdyn:
Mit przedwojennego nauczyciela

Ptaki mają głos



GALA NAUKI POLSKIEJ



Fotografie: Mikołaj Kuras



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Jaka będzie ewaluacja w 2026 roku?	6
Co wynika z porażki obecnego systemu ewaluacji? – Andrzej Skrendo, Jarosław Woźniak	7
Szachy czy warcaby? W co gramy? – Grzegorz Marzec	10
Dylemat więźnia – Marek Kosmułski	12
O wartości polskiego modelu ewaluacji – Błażej Skoczeń	13
Skąd czerpać wzorce? – Katarzyna Byrka, Agnieszka Merkiś-Guranowska, Jacek Witkoś	15
Jak to robią w Portugalii? – Leszek Kaczmarek	16
Recenzje w postępowaniach naukowych – Marian Gorynia	18
Nierówny tunel	19
Papiernie i etyka naukowa. Głosy – Jakub Z. Lichański	20
Jak zabić wolność naukowca – Piotr Pawlak	21
Lem mógłby być patronem uczelni – Arkadiusz Wójs	22
Chcemy wyjść z pokoi, w których piszemy książki – Rafał Matera	23

ROZMOWA FORUM

Naukowiec z lornetką – rozmowa z prof. Piotrem Tryjanowskim, ornitologiem i biologiem środowiskowym z UP w Poznaniu	24
---	----

PTAKI MAJĄ GŁOS

Koordinacja działań rodzicielskich u ptaków – Katarzyna Wojczulanis-Jakubas	27
Bastardy w parku i sadzie – Łukasz Kajtoch	31
Stres oksydacyjny – Marcin Tobółka	35
Ptaki morskie i ich menu – klucz do zrozumienia Arktyki – Kaja Bałazy	38
Wodniczka i tomka – Piotr Kieraciński	42

ŻYCIE NAUKOWE

Z archiwum nieuczciwości naukowej (112)

Król MBA bez doktoratu – Marek Wroński	44
Pokrzywdzeni pozbawieni praw – Marek Wroński	48

ŻYCIE AKADEMICKIE

Profesorskie żarty – Zbigniew Drozdowicz	50
Sztuka włókna – rozmowa z dr hab. Lidią Choczaj, prof. ASP w Łodzi, kierowniczką Pracowni Tkaniny Eksperymentalnej	53
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	80
Publikuj lub giń	
Polacy nie gęsi – Marek Misiak	58

Z LABORATORIÓW

Słowa zmieniające rzeczywistość? – Aleksandra Kujawiak	61
Wokół mitu przedwojennego nauczyciela – Piotr Goldyn	65
Świat matematyków – Marek Zakrzewski	69

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Niebo gwiazdziste nad nią... – Marcelina Smużewska	72
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Aromaty Wschodu – Bogdan Bernat	77
Lista wciąż się wydłuża – Marek Misiak	77
Łączyć, nie dzielić – Anna Jawor	78
Miasta w dziejach świata – Krystyna Matuszewska	78
Obserwacje regionu – Zbigniew Chojnowski	79
Artysta przypomniany – Juliusz Gałkowski	79
Projekt okładki – Paweł Kaniuk, fot. Grzegorz Grzywaczewski	

Nagrody od ministra nauki

TORUŃ Podczas Gali Nauki Polskiej wręczono doroczne Nagrody Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Tradycyjnie przyznano je w pięciu kategoriach. W tym roku wręczono: 20 nagród za całokształt dorobku, 33 nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej, 4 nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności dydaktycznej,



Fot. Mikołaj Kuras

6 nagród za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności wdrożeniowej, 2 nagrody za znaczące osiągnięcia w zakresie organizacyjnej. W sumie wyróżniono 150 osób. Wśród wyróżnionych za całokształt dorobku znaleźli się m.in. profesorowie: Ewa Stańczyk-Hugiet (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu), Leszek Rutkowski (Instytut Badań Systemowych PAN), Andrzej Szahaj (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), Jacek Kuźnicki (Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie) Dariusz Antoni Doliński (Uniwersytet SWPS), Robert Piotr Hołyst (Instytut Chemii Fizycznej PAN), Andrzej Koncicki (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie). Fotoreportaż na II str. okładki.

Rektor zawieszony, prorektor u sterów

CZĘSTOCHOWA Dr hab. Bogusław Przywora (na fot.), prorektor ds. nauki i badań naukowych, przejął obowiązki rektora Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie. To pokłosie prowadzonego przez prokuraturę postępowania wobec prof. Janusza Kapuśniaka, który został zawieszony w czynnościach służbowych. Rektor został zatrzymany przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To kolejna osoba zatrzymana w śledztwie dotyczącym byłego wicemarszałka województwa śląskiego. Sprawę prowadzi śląski pion Przemysłowości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej. Rektorowi przedstawiono zarzut dotyczący udzielenia korzyści osobistej i majątkowej polegającej m.in. na umożliwieniu zapewnienia osobie z bliskiego otoczenia byłego wicemarszałka przychylności przy przyjęciu na studia na kierunku lekarskim wskazanej uczelni, promisie przepisania określonych przedmiotów z innego kierunku studiów oraz zapewnieniu indywidualnego toku nauczania. Miała za to przyjąć korzyść w postaci dotacji na realizację dwóch projektów badawczych. Do postawionego zarzutu rektor się nie przyznał, ale złożył obszerne wyjaśnienia. W związku z jego zawieszeniem w pełnieniu funkcji obowiązki rektora pełni od 5 marca dr hab. Bogusław Przywora. To prawnik, autor opracowań i ekspertyz m.in. z zakresu prawa konstytucyjnego, ustrojowego porównawczego i administracyjnego. Kieruje Katedrą Prawa Ustrojowego i Porównawczego Wydziału Prawa i Ekonomii UJD. W latach 2022–2024 był członkiem Rady Narodowego Centrum Nauki.



Fot. UJD

Patentują aż miło

WARSZAWA Z najnowszej zestawienia Urzędu Patentowego RP wynika, że w ubiegłym roku 140 podmiotów naukowych przyznano w sumie 1239 patentów. To o 189 więcej niż przed rokiem i prawie trzysta więcej niż 2 lata temu. Prym wiodą trzy politechniki: Lubelska (138), Rzeszowska (74) i Śląska (66). Liderzy zdobyli o 12 patentów więcej niż przed rokiem i czwarty raz z rzędu znaleźli się na czele zestawienia. Wśród ich paten-

tów są m.in.: urządzenie do podnoszenia pojazdu, wiatrak reklamowy z obracanymi tablicami, zestaw do ustalania odległości i kątów między płytkami oraz wysokości fugi czy wielowarstwowy bloczek ścienny izolacyjny oraz sposób jego wykonania. W czołówce rankingu znalazły się także: Politechnika Warszawska (57), Politechnika Poznańska (57), Politechnika Łódzka (53), Zachodniopomorski Uniwersytet Techniczny w Szczecinie (52), Politechnika Wrocławska (51) i Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (38). W pierwszej dziesiątce jest tylko jedna uczelnia nietechniczna – Uniwersytet Śląski na 9 miejscu (41 patentów). Na 13 pozycji uplasował się podmiot inny niż uczelnia: Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Ciężkiej Syntezy Organicznej Blachownia (28 patentów). Najlepszy z instytutów Polskiej Akademii Nauk – Instytut Podstawowych Problemów Techniki – na 31 miejscu z 11 patentami na koncie.

Dwoje Polaków członkami Royal Historical Society

LONDYN Wśród 47 osób z 9 krajów, które uzyskały w tym roku status fellow (członka rzeczywistego – to najwyższy stopień członkostwa) Royal Historical Society znalazło się dwoje Polaków. Dr hab. **Łukasz Jan Korporowicz** jest prawnikiem i kanonistą z Katedry Prawa Rzymskiego Uniwersytetu Łódzkiego, kieruje Centre for Anglo-American Legal Tradition na tej uczelni. W poprzedniej kadencji był prorektorem UŁ ds. nauki. Dr hab. **Joanna Pyłat** z Wyższej Szkoły Kształcenia Zawodowego we Wrocławiu szefuje Światowej Radzie Badań nad Polsnią. W latach 2007–2021 była wicedyrektorem Instytutu Kultury Europejskiej Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) w Londynie. Pełniła także funkcję prodziekana Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych oraz kierownika Zakładu Badań nad Emigracją PUNO.



Fot. UK



Fot. Arch. prywatne

Polak „wschodzącą gwiazdą” psychologii

WASZYNGTON Dr hab. Radosław Rogoza, psycholog osobowości i psychometra z Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie, został uhonorowany tytułem Rising Star przez Association for Psychological Science. Jest pierwszym Polakiem uznanym przez APS za „wschodzącą gwiazdę” psychologii. Laureaci są wybierani na podstawie kryteriów: jakości publikacji, dokonania przełomowych odkryć, opracowania nowatorskich metod czy znaczącego wkładu w rozwój teorii i ich istotnego wpływu na wiedzę o psychologii człowieka. Rogoza został doceniony za wkład w zakresie tworzenia współczesnej psychologii narcyzmu, a w szczególności za opracowanie nowatorskiej koncepcji narcyzmu podatnego na zranienie oraz opisanie i empiryczne udokumentowanie zjawiska fluktuacji w stanach narcyzmu. APS zostało założone w 1988 roku. Skupia blisko 30 tys. psychologów ze 100 krajów.



Fot. Arch. prywatne

Pierwsze komplety medali rozdane

KATOWICE/BIAŁKA TATRZAŃSKA/LUBLIN Tradycyjnie już nowy sezon Akademickich Mistrzostw Polski rozpoczął rozgrywki futsalowe. W rywalizacji kobiet Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu wygrał z Uniwersytetem Bielsko-Bialskim 2:1. Takim samym wynikiem zakończył się finał mężczyzn, w którym Politechnika Gdańska okazała



Fot. Kamili Rojek

się lepsza od Uniwersytetu Warszawskiego. W narciarstwie alpejskim klasyfikacje drużynowe wygrały UW (kobiety) i AWF w Katowicach (mężczyźni). Złote medale w slalomie zdobyli Magdalena Bańdo (Uniwersytet Śląski) i Wojciech Głuszka (AKF Kraków). W gigancie nie było mocnych na Patrycję Florek i Bartłomiejka Sanetrę (oboje AWF Katowice). W snowboardzie triumfowała Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie. Po indy-



Fot. Kamili Rojek

widualne zwycięstwa sięgnęli Olga Kacizak (Uniwersytet Jagielloński) i Jakub Luboński (AGH) w slalomie oraz Anna Skarbek-Malczewska (Politechnika Krakowska) i Patryk Urbański (AGH) w banked slalomie. Nowymi mistrzami w szachach zostali Barbara Goraj (Szkoła Główna Handlowa) i Antoni Kozak (Politechnika Opolska). W formule drużynowej zwyciężyła SGH.

PLLuM już gotowy do działania

WARSZAWA Prawie 19 mln zł będzie kosztować realizacja projektu HIVE AI. Ma on na celu pilotażowe wdrożenie dużych polskich modeli językowych w usługach administracji publicznej, m.in. w aplikacji mObywatel, w roli asystenta dla Ministerstwa Cyfryzacji oraz w wybranych urządach. HIVE AI to kontynuacja projektu PLLuM (Polish Large Language



Fot. Ministerstwo Cyfryzacji

Model). Składa się z czterech etapów: budowy korpusów danych językowych do bazowego treningu, treningów dużych modeli językowych, ewaluacji oraz pilotażowego wdrożenia modeli w sektorze publicznym. Przewidziano m.in. dostosowanie i rozwój modeli językowych poprzez zebranie nowych danych, stworzenie specjalnych – dostosowanych do potrzeb urzędów – instrukcji, a także opracowanie modeli ogólnego zastosowania i wyspecjalizowanie generatorów odpowiedzi. Prace

potrwają do końca 2025 roku. Polski model językowy jest elastyczny i skalowalny, wykorzystuje od 8 do 70 miliardów parametrów. Pozwala na precyzyjne generowanie treści w języku polskim. Liderem projektu jest Politechnika Wroclawska.

W konwoju po skręconych torach DNA

WARSZAWA Mechanizmy regulujące produkcję RNA są znacznie bardziej skomplikowane niż wcześniej przypuszczano – odkryli naukowcy z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. Wyniki ich wspólnych badań z uczniami z Uniwersytetu w Edynburgu ukazały się na łamach czasopisma „Cell Reports”. Dotychczas uważano, że polimerazy RNA poruszają się niezależnie po nici DNA, niczym koraliki nanizane na sznurku. Zespół dr. Tomasz W. Turowskiego pokazał, że w przypadku genów rDNA ich działanie jest zsynchronizowane dzięki specyficznemu mechanizmowi związa-



Źródło: T. Turowski

nemu z obrotami DNA. Właściwsze było zatem porównanie do wagonika, który porusza się po skręconych torach DNA. Badacze obliczyli, że proces ten wymaga około 240 obrotów na minutę – tyle potrzeba, by możliwa była skuteczna produkcja RNA. Do tej pory sądzono, że produkcja RNA i kontrola jego jakości zachodzą po sobie, jedno po drugim. Nowe badania wykazały, że procesy te mogą wzajemnie na siebie wpływać w sposób, który wcześniej nie był znany. Zintegrowane działanie mechanizmów – od cięcia RNA, przez cofanie się polimerazy, po dodanie fragmentu AAA – zapewnia, że każde RNA jest poprawnie wyprodukowane, a DNA pozostaje dostępne dla innych polimeraz RNA. Zrozumienie, w jaki sposób komórki radzą sobie z problemami podczas transkrypcji, jest kluczowe ze względu na potencjalne konsekwencje, takie jak niestabilność DNA, spontaniczne mutacje czy programowana śmierć komórki.

Powstał Klaster Technologii Autonomicznych

WARSZAWA Na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego powołano Klaster Technologii Autonomicznych. Jego głównym celem ma być rozwój pojazdów autonomicznych w oparciu o krajowe technologie. Klaster utworzony w Multidyscyplinarnym Centrum Badawczym UKSW ma umożliwić współpracę polskim firmom i jednostkom naukowym zajmu-



Fot. UKSW

jącym się rozwojem zaawansowanych technologii, które przyczynią się do powstania pojazdów autonomicznych przeznaczonych do różnych zastosowań, w tym dual-use, czyli cywilno-wojskowych. Obecnie na polskim rynku rozwijane są zaawansowane technologie materiałowe, mikroelektroniczne, elektroniczne oraz oprogramowanie, których wykorzystanie może pozwolić na szybkie opracowanie pojazdów autonomicznych nowej generacji, zarówno latających, jak i jeżdżących. Do współpracy w tym zakresie przystąpiło kilkanaście podmiotów, w tym dwie uczelnie: oprócz UKSW także Politechnika Poznańska (Instytut Robotyki i Inteligencji Maszynowej). Koordynatorem klastra jest Krajowa Izba Gospodarcza Elektroniki i Telekomunikacji.

Ostro-słodki zapach mumii

KRAKÓW/KAIR Międzynarodowy zespół z udziałem dr. hab. Tomasa Sawoszczuka z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie przeprowadził w Muzeum Egipskim w Kairze przełomowe badania nad dziewięcioma mumiami. Naukowcy, wykorzystując nowoczesne techniki sensoryczne i chemiczne, zbadali ich zapach. To pierwsza tego rodzaju analiza mumii w historii. Pośród wykrytych woni dominowały nuty drzewne, ostrawe i słodkie. Przeanalizowane zapachy opisane zostały jako przyjemne, co ma związek głównie z wykorzystaniem w procesie balsamowania żywic i olejków z drzew iglastych (takich jak sosna, cedr i jałowiec), kadzideł żywicznych (takich jak mirra i kadzidło) oraz wosków. Przeprowadzone badania umożliwią muzeum zaangażowanie zwiedzających nie tylko wizualnie, ale także zapachowo. W tym celu zespół badawczy pla-



Fot. UfEK

nuje w przyszłości zrekonstruować zapach starożytnych zmumifikowanych ciał z użyciem bezpiecznych substancji. Wcześniej, również w projekcie Odotheka, krakowski naukowiec odtworzył m.in. zapach obrazu Leonarda da Vinci *Dama z gronostajem*.

Doktorat h.c. – prof. Oded Galor

TORUŃ Wybitny ekonomista z Uniwersytetu Browna w Providence (USA) odebrał 19 lutego tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Wyróżnienie przyznano w dowód uznania jego zasług



Fot. UfEK

w badaniach nad przyczynami rozwoju ekonomicznego i za sformułowanie zunifikowanej teorii wzrostu gospodarczego. Prof. Galor jest uznawany za pioniera badań w obszarach wzrostu i rozwoju porównawczego, ekonomii populacji i ekonomii ewolucyjnej. Znany ze swoich innowacyjnych badań i głębokiego podejścia interdyscyplinarnego, zmienił współczesne rozumienie długoterminowej dynamiki gospodarczej, skupiając się na wzajemnym oddziaływaniu populacji, technologii i nierówności w całej historii ludzkości. Jego przełomowa książka pt. *Unified Growth Theory* (2011) jest powszechnie uważana za kamień węgielny w tej dziedzinie. Praca z 2022 roku *The Journey of Humanity: The Origins of Wealth and Inequality*, badająca podstawowe siły kształtujące rozwój człowieka, ugruntowała jego pozycję naukową.

Odkrywają tajemnice rytuałów Inków

WARSZAWA Capacocha to z jeden z najważniejszych rytuałów religijnych w państwie Inków, który polegał na składaniu w ofierze dzieci i młodych kobiet. Inkowie wznosili na szczytach gór platformy, w których grzebali ofiary rytuałów. Długotrwałe pielgrzymki w Andach wymagały dróg, którymi mogły się poruszać, oraz tambos (zajazdów), gdzie pielgrzymi mogli odpoczywać. Rozpocynały się głównie w Cuzco i mogły trwać wiele miesięcy, zanim pielgrzymi dotarli do celu. Badaczki z Centrum Badań Andyjskich Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadziły szczegółową dokumentację ostatnich tambos na stokach wulkanów Pichu



Fot. UW

Pichu (5 tys. m n.p.m.) i Chachani (5400 m n.p.m.). Wykorzystały nieinwazyjne techniki teledetekcji, takie jak georadar, skanowanie LIDAR oraz dane ze zdjęć satelitarnych. Wykopaliska miały na celu zbadanie fazy budowy, poszukiwanie miejsc codziennych czynności, miejsc czasowego pobytu, pochówku, śladów działalności religijnej (w tym pozostałości po uczcie) oraz ofiar (państwowych i prywatnych). Obecnie badają próbki w celu ustalenia dokładnej chronologii i przebiegu rytuałów. Analiza warstw wulkanicznych z wykopalisk na tambos posłuży do korelacji dat radiowęglowych z wydarzeniami geologicznymi.

IZYDOR pobierze materiał z ciężarówki

WARSZAWA Naukowcy z Politechniki Warszawskiej opracowali i wdrożyli innowacyjne urządzenie przeznaczone do pobierania prób pierwiastków materiałowych z pojazdów transportowych. Rozwiązanie zwiększy efektywność procesów przemysłowych. IZYDOR to unikatowe w skali Polski i Unii Europejskiej urządzenie, którego zadaniem jest precy-



Fot. PW

zyjne pobranie prób ziarna (np. zbóż, kukurydzy czy rzepaku) z pojazdu transportowego w celu oceny parametrów jakościowych, takich jak: wilgotność, zawartość zanieczyszczeń, obecność grzybów, pleśni oraz szkodliwych substancji. Wyniki pozwalają na ocenę jakości przewożonych materiałów przed ich dostarczeniem do składów, silosów lub dalszym transportem do odbiorców. Część manipulacyjna urządzenia ma wysokość ok. 7 m i umieszczono ją na wywyższonym torze jezdny o długości ok. 12 m. Dzięki zastosowaniu tak potężnego mechanizmu manipulacyjnego, próbki mogą być pobierane bezpośrednio z wysokich naczip ciężarówek. Cechą charakterystyczną urządzenia jest – uzyskany dzięki optymalizacji wymiarowej – intuicyjny, niemal prostoliniowy ruch wbijanej sondy, nieosiągalny we wcześniejszych mechanizmach o podobnej strukturze. Zastosowano napęd w pełni elektryczny, eliminując podzespoły hydrauliczne, opracowano także układy automatyki ułatwiające obsługę urządzenia, zarządzane za pośrednictwem poręcznego panelu operatorskiego.

Poczuć się jak w szpitalu

KRAKÓW Na Uniwersytecie Komisji Edukacji Narodowej otwarto pracownie umiejętności pielęgniarstka. Od nowego roku akademickiego studenci pielęgniarstwa zyskają tym samym dostęp do nowoczesnych technologii i sprzętu pozwalającego na doskonalenie praktycznych umie-

jętności w warunkach symulujących rzeczywiste środowisko szpitalne. Pracownie zostały wyposażone m.in. w: profesjonalne łóżka szpitalne z pełnym wyposażeniem diagnostycznym; sprzęt do transportu pacjentów, w tym wózki inwalidzkie, podnośniki oraz materace specjalistyczne; pompy infuzyjne oraz zestawy do terapii żywieniowej, w tym żywienia dojelitowego i pozajelitowego; fantomy do nauki procedur pielęgniar-



Fot. Marcelina Woźnicka

skich i diagnostyki; sprzęt do monitorowania zdrowia niemowląt, w tym mobilną wanienkę i stół do przewijania; aparaty EKG, ciśnieniomierze, pulsoksymetry i glukometry. Inwestycja pochłonęła ponad 890 tys. zł.

Pocelują w alzheimera

WROCŁAW Nad nowymi terapeutykami celującymi w patologiczne cechy charakterystyczne dla choroby Alzheimera pracują naukowcy z Politechniki Wrocławskiej pod kierunkiem dr. hab. inż. Marcina Poreby. Projekt może utworzyć drogę do bardziej skutecznych terapii dla zaburzeń neu-



Fot. Lukasz Bera

rodegeneracyjnych. Koniugaty przeciwiąto-lek to rodzaj terapii celowanej, która już wykazała ogromny potencjał w onkologii. Składają się z trzech głównych komponentów: przeciwiąta, łącznika i leku. Przeciwiąto pełni podwójną rolę, ponieważ z jednej strony jest terapeutyką, a z drugiej służy jako nośnik dla wielokrotnie bardziej toksycznego leku. Z lekiem połączone są łącznikiem, np. peptydem, który ulega degradacji w środowisku nowotworu i uwalnia lek. Koniugaty naukowców z PWr będą celować w białka zaangażowane w progresję choroby Alzheimera, które prowadzą do stanów zapalnych, dysfunkcji synaptycznej i śmierci neuronów. Opracowanie koniugatów przeciwiąto-lek dla choroby Alzheimera to potencjalnie nowe możliwości dla leczenia tej wyniszczającej choroby.

„Zielony wodór” na Śląsku

RYBNIK W Filii Politechniki Śląskiej w Rybniku oficjalnie zainaugurowano działalność Centrum Odnawialnych Źródeł Energii i Technologii Wodorowych. W laboratoriach prowadzone będą badania nad warunkami produkcji, magazynowania i wykorzystania na skalę przemysłową



Fot. Jan Szady

taniej, zeroemisyjnej energii z OZE, w tym „zielonego wodoru”. W Centrum powstanie sieć laboratoriów, które będą rozwijały, ale też demonstrowały nowe technologie: Centrum Kompetencji Odnawialnych Źródeł Energii i Technologii Wodorowych, Laboratorium Technologii Wodorowych, Laboratorium Eko-Dom Energia oraz Mobilne Laboratorium Diagnostyki Paneli Fotowoltaicznych. Celem jest wsparcie badawczo-rozwojowe procesu sprawiedliwej transformacji w województwie śląskim. Rybnicki projekt realizowany jest dzięki wsparciu z Funduszu Sprawiedliwej Transformacji. Wartość przedsięwzięcia, które powstało dzięki współpracy naukowców Politechniki Śląskiej z władzami Rybnika, to ponad 27 mln zł.

Matematycy UJ z Nagrodą im. Banacha

WARSZAWA/KRAKÓW Dwaj naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymają w tym roku Nagrodę Główną Polskiego Towarzystwa Matematycznego im. Stefana Banacha. To jedno z najważniejszych polskich wyróżnień dla matematyków. Dr **Mikołaj Frączyk** otrzymał nagrodę za cykl ośmiu prac z geometrii i topologii przestrzeni lokalnie symetrycznych. W tej klasycznej tematyce osiągnął, zarówno samodzielnie, jak i we współpracy z innymi autorami, przełomowe wyniki w badaniu znanych otwartych problemów, takich jak hipoteza Margulisa, hipoteza Gelandera oraz hipoteza o gęstości autorstwa Sarnaka. Prowadzi na UJ Centrum Dioscuri. Dr. hab. **Adama Kanigowskiego** doceniono za istotny wkład w rozwój układów dynamicznych i teorii ergodycznej oraz ich interakcji z teorią liczb, fizyką matematyczną i teorią prawdopodobieństwa. W ub.r. otrzymał prestiżową Nagrodę Europejskiego Towarzystwa Matematycznego. Od 2018 r. jest zatrudniony także na Uniwersytecie w Marylandzie, gdzie pracuje na stanowisku full professor. Nagroda Główna PTM im. S. Banacha zostanie wręczona podczas X Forum Matematyków Polskich, które odbędzie się we wrześniu w Białymstoku.



Fot. UJ



Fot. UJ

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Michał Ciepelski, Iwona Flanczewska-Rogańska, Mariusz Kopiejka, Joanna Lorenc, Krzysztof Szymański

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku   i na platformie X 

Jaka będzie ewaluacja w 2026 roku?

W serwisie Rządowego Centrum Legislacji pojawił się projekt ministerialnego rozporządzenia dotyczącego ewaluacji jakości działalności naukowej w latach 2022–2025. Dokument nie wprowadza rewolucyjnych zmian, ale zawarto w nim kilka modyfikacji postulowanych przez środowisko akademickie.

W uzasadnieniu proponowanych zmian wskazano, że jednym z celów nowelizacji jest dostosowanie przepisów do zmian w klasyfikacji dziedzin i dyscyplin. Pojawiły się dwie nowe dziedziny: nauki o rodzinie i nauki weterynaryjne, a to wymusiło wprowadzenie przepisów umożliwiających ocenę jakości działalności naukowej prowadzonej w dyscyplinach należących do tych dziedzin. Wytyczne oceny dyscyplin nauki o rodzinie ustalono analogicznie jak do oceny dyscyplin należących do dziedziny nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych. Przyjęto też analogiczne wagi kryteriów ewaluacji: 70 dla kryterium I (Poziom naukowy prowadzonej działalności naukowej), 10 dla kryterium II (Efekty finansowe badań naukowych lub prac rozwojowych) oraz 20 dla kryterium III (Wpływ działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki). W przypadku dyscypliny nauki weterynaryjne wagi określono analogicznie jak do dyscyplin z dziedziny nauk medycznych i nauk o zdrowiu oraz nauk ścisłych i przyrodniczych, tj. odpowiednio: 60 (I), 20 (II) i 20 (III).

Nowelizacja przewiduje również zmianę przepisów dotyczących osiągnięć publikacyjnych uwzględnianych w ewaluacji. Do tej pory brano pod uwagę artykuły opublikowane w czasopiśmie naukowych i w recenzowanych materiałach z międzynarodowych konferencji naukowych ujętych w wykazie ministerialnym. Teraz, przychylając się do postulatów środowiska, regulacje te ujednotaczą i recenzowane materiały konferencyjne, podobnie jak artykuły, nie muszą być ujęte w wykazie, by były poddane ocenie, jednak powinny być dostępne w jednej z renomowanych baz międzynarodowych.

Inna zmiana dotyczy możliwości wykazywania osiągnięć przez doktorantów szkół doktorskich, którzy równocześnie byli zatrudnieni w jednostce. W najbliższej ewaluacji można będzie uwzględnić ich dorobek zarówno z okresu kształcenia w szkole doktorskiej, jak też zatrudnienia i zaliczenia do liczby N.

Doprecyzowano przepis wskazujący, że w ewaluacji danej dyscypliny naukowej uwzględnia się osiągnięcia naukowe, jeżeli ich tematyka jest merytorycznie związana z badaniami naukowymi lub pracami rozwojowymi, prowadzonymi w ewaluowanym podmiocie w ramach tej dyscypliny naukowej przez osobę, o której mowa w § 11 ust. 1. Dotychczas nie było jednoznacznie określone, że działalność ta musi być prowadzona przez autora osiągnięcia naukowego wykazywanego w ewaluacji.

Ministerstwo uwzględniło także postulaty zgłoszone przez Komisję Ewaluacji Nauki. Chodzi m.in. o wprowadzenie możliwości oceny zasięgu wpływu nie tylko w znaczeniu geograficznym, jak dotychczas (zasięg międzynarodowy, krajowy, regionalny, lokalny lub marginalny), ale również w zależności od stopnia oddziaływania. Ma to być szczególnie istotne dla oceny wpływu działalności naukowej związanej z Polską (np. polonistyka, historia Polski, geografia Polski, polski system prawny itp.) i wywierają wpływ ograniczony do terytorium Polski, oddziałując wyłącznie na polskie społeczeństwo lub gospodarkę. Geograficzna interpretacja zasięgu wpływu skutkuje w takich przypadkach brakiem możliwości uzyskania maksymalnej punktacji, nawet jeżeli osiągnięto najwyższy możliwy zasięg oddziaływania. Projektowana zmiana polega na wprowadzeniu nowej – przy równoczesnym pozosta-

wieniu dotychczasowej – skali, zależnej od stopnia oddziaływania działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki (zasięg całkowity, szeroki, częściowy, ograniczony, marginalny). Pozwoli to na docenienie w ewaluacji wpływu, który nie jest rozległy w znaczeniu terytorialnym, ale obejmuje całą potencjalną grupę odbiorców – czytamy w uzasadnieniu. Zaproponowano takie same progi punktowe bez względu na to, czy wybrany zostanie aspekt terytorialny, czy kompletność oddziaływania: „50 pkt – w przypadku wpływu o międzynarodowym albo całkowitym zasięgu, 40 pkt – w przypadku wpływu o krajowym albo szerokim zasięgu, 30 pkt – w przypadku wpływu o regionalnym albo częściowym zasięgu, 20 pkt – w przypadku wpływu o lokalnym albo ograniczonym zasięgu, 0 pkt – w przypadku wpływu o marginalnym zasięgu”.

Kolejna zmiana odnosi się do warunku koniecznego do zakwalifikowania podmiotów do dodatkowej oceny eksperckiej w celu przyznania kategorii naukowej A+. Jak wynika z uzasadnienia, środowisko naukowe postulowało, by próg procentowy kwalifikujący do dodatkowej oceny eksperckiej ustalano nie w odniesieniu do wyniku uzyskanego przez podmiot tylko w jednym kryterium, ale do wyniku uzyskanego w stosunku do zestawu wartości referencyjnych dla kategorii naukowej A. Ministerstwo przychyliło się do tych uwag i proponuje, by warunkiem poddania dodatkowej ocenie eksperckiej w danej dyscyplinie było, jak dotychczas, zaliczenie do kategorii naukowej A, a ponadto uzyskanie całkowitego wyniku punktowego o wartości nie niższej niż próg punktowy ustalony przez KEN w stosunku do zestawu wartości referencyjnych dla kategorii naukowej A w danej dyscyplinie naukowej albo artystycznej. Wynik w odniesieniu do zestawu wartości referencyjnych odzwierciedla osiągnięcia we wszystkich kryteriach ewaluacji.

Równocześnie zdecydowano o odejściu od określania przez KEN progu procentowego w stosunku do najwyższego wyniku na rzecz ustalania dla każdej dyscypliny naukowej i artystycznej progu punktowego w zależności od całkowitego wyniku uzyskanego przez ewaluowane podmioty prowadzące działalność naukową w ramach danej dyscypliny. Dzięki temu w każdej z ocenianych dyscyplin będzie można wyłonić podmioty, których działalność naukowa bądź artystyczna będzie podlegała dodatkowej ocenie eksperckiej celem przyznania kategorii naukowej A+.

Nowelizacja objęła także przepis, zgodnie z którym w przypadku stwierdzenia nieprawidłowości w informacjach charakteryzujących osiągnięcie naukowe lub artystyczne albo braku związku osiągnięcia naukowego z badaniami naukowymi lub pracami rozwojowymi prowadzonymi w ewaluowanym podmiocie w ramach danej dyscypliny naukowej, KEN mogła nie uwzględnić takiego osiągnięcia. Jak czytamy w uzasadnieniu projektu, niejednokrotnie zastrzeżenia KEN dotyczyły tylko jednego ze współautorów osiągnięcia (np. związku publikacji z jego zatrudnieniem w podmiocie). Dochodziło jednak do tego, że mimo iż pozostali współautorzy spełniali kryteria formalne określone w rozporządzeniu, a związek publikacji z działalnością naukową prowadzoną przez nich w ewaluowanym podmiocie w danej dyscyplinie nie budził wątpliwości, publikacja taka nie była uwzględniana. Komisja mogła bowiem odrzucić wyłącznie całe osiągnięcie. Teraz dodano możliwość odrzucenia kwestionowanego udziału jednostkowego.

Dopuszczono możliwość poddania się ewaluacji Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego.

Co wynika z porażki obecnego systemu ewaluacji?

Prof. Andrzej Skrendo, literaturoznawca, prorektor ds nauki Uniwersytetu Szczecińskiego i dr Jarosław Woźniak, matematyk, pełnomocnik ds. ewaluacji i monitoringu naukowego rektora USz, przedstawiają głębokie konteksty ewaluacji i proponują minimum zmian, jakie muszą nastąpić, aby kolejna ewaluacja nie okazała się porażką.

Mówić dziś o ewaluacji to mówić w sytuacji narastającego rozczarowania. Być może wręcz niemal powszechnego rozczarowania. Spróbujemy zobiektywizować to wspólne – także i nasze – odczucie. Im bowiem bardziej ono narasta, tym większy dystans należałoby zachowywać nie do ewaluacji, ale raczej do rozczarowania ewaluacją. Po to, żeby nie zastąpić złego systemu jeszcze gorszym. Takie postawienie sprawy nie oznacza, że powinniśmy się pogodzić ze złym systemem, lecz – jedynie i aż – uświadomić sobie, że z odczucia, że wiemy, czego nie chcemy, wcale nie wynika, że wiemy, czego chcemy. To deprymujące wrażenie płynie z większości dyskusji na temat tego, co dalej robić z ewaluacją.

Czy obecny system okazał się błędny w swoich założeniach, czego nie widzieliśmy, czy uległ zepsuciu, choć w założeniach był dobry? W obecnej sytuacji szkoda czasu, aby się tym zajmować, skala zepsucia jest zbyt duża. Za dużo rozmawiamy o wadach obecnego systemu, za mało o tym, jaki powinien być nowy. W niniejszym artykule nie rozstrzygamy, czy obecny system da się naprawić. Być może tak, być może nie. Uważamy, że warto odwrócić sposób myślenia: najpierw wskazać warunki, które powinien spełniać dobry system, i potem myśleć, czy da się naprawić stary, czy trzeba budować nowy. W naszym artykule ograniczymy się do próby wskazania owych warunków.

Co się da policzyć?

Przy takim postępowaniu zapewne okaże się, że wszyscy są rozczarowani, ale każdy czymś innym. Lektura kolejnych analiz i stanowisk, w których znajdują się wyliczenia i opisy patologicznych zachowań zgodnych z literą procedury ewaluacji, wytwarza mylące wrażenie – bo oparte raczej na podzielanej emocji niż na refleksyjnym rozpoznaniu wspólnego interesu – że jest dla wszystkich oczywiste, do czego potrzebujemy ewaluacji. I że chodzi tylko o to, aby właściwie ująć to, co oczywiste. Bo to, co oczywiste, właściwie ujęte, nie będzie ulegać zepsuciu. Ale to szkodliwe złudzenie. Owo poczucie oczywistości blokuje dyskusję na temat najważniejszy, czyli istoty ewaluacji. Rozważanie tego tematu uznaje się zwykle za czczą deliberację, która oddala nas od właściwego zadania, czyli zapisania tego, co jest rzekomym wspólnym założeniem. Jest to jednak cecha myślenia technokratycznego, które stanowi część problemu zwanego ewaluacją, nie zaś problemu tego rozwiązania.

Jak sformułować ten problem? Być może zawiera się on w zwołaniu Emanuela Kulczyckiego: „Nie zmieniamy naszych wartości i przekonań, aby osiągnąć cele wyznaczone przez metryki, lecz niech korzystanie z metryk będzie kierowane naszymi celami, wartościami i przekonaniemami” (*The Evaluation Game. How Publication Metrics Shape Scholarly Communication*, Cambridge University Press 2023, 191). Co jednak, jeśli właśnie i przede wszystkim to, co stanowi treść tego zawołania jest niemożliwe? Bo wskaźniki – jak wynika z wielu prac

powstałych na całym świecie – jakimś fatalnym sposobem rychło stają się celami (koronnym dowodem IF). Niejako „wkradają się zarówno w nasze poczucie tego, kim jesteśmy, jak i w naszą praktykę i proces podejmowania decyzji jako pisarzy, badaczy i nauczycieli” (Stephen J. Ball, *Living the Neo-liberal University*, „European Journal of Education”, September 2015, Vol. 50, No. 3, 258), tworząc sztuczny świat, który zastępuje rzeczywistość. Bo zdecydowana większość wynalazków, które zmieniły nasze życie w XX wieku, powstała w sposób, który nigdy nie byłby możliwy do prawidłowego prześledzenia i oceny za pomocą dzisiejszych wskaźników ewaluacyjnych i prawdopodobnie nigdy nie miałyby miejsca, gdyby alokacja zasobów na badania naukowe w przeszłości została dokonana w sposób tak krótkowzroczny, jak obecnie, w oparciu o wyniki zastosowania tych wskaźników” (O. Hallonsten, *Stop evaluating science: A historical-sociological argument*, „Social Science Information” 2021, Vol. 60(1), 12). Bo nasze cele tym się cechują, że nie dają się „zmetryzować”,

albowiem „Nie wszystko, co można policzyć, się liczy, i nie wszystko, co się liczy, można policzyć” (Jerry Z. Muller, *The Tyranny of Metrics*, Princeton University Press 2018, 18).

W ramach owego nowego świata, który został wpisany we wskaźniki i rankingi, dążymy do osiągnięcia trzech głównych celów. Po pierwsze, powstaje system, w którym uniwersytety stają się korporacjami, naukowcy menadżerami własnej kariery, wykształcenie prywatnym dobrem pozyskiwanym w celu uzyskania przewagi konkurencyjnej, a studenci są konsumentami usług edukacyjnych. Po drugie, chodzi o to, aby wycisnąć z uczelni coraz więcej, dając coraz mniej. Po trzecie, aby wmówić naukowcom, że skoro nie dają rady, sami są sobie winni, żadnej winy nie ma zaś po stronie systemu. Służy temu przewrotna ekonomia prestiżu, która rzeczywiste stawki, o które ubiegają się uczeni, zamienia na nowoczesne substytuty, takie jak liczby cytowań i grantów.

To stąd przecież zgorzienie, jakie wzbudziła sprawa tzw. papierni (paper mills), bo uderza w istotę tak pojętego prestiżu. Mało kto jednak przyznaje, że nie jest to zjawisko wynikające z ewaluacji, lecz z założeń systemu, którego ewaluacja jest narzędziem. Skali działania „papierni” raczej nie da się zmierzyć w systemie, w którym wszystko ma być mierzone (bo np. nikt nie jest w stanie w żadnym konkretnym przypadku powiedzieć, ile artykułów w danym okresie można być współautorem, aby nie narazić się na zarzut bycia dopisywanym). Jeszcze trudniej (niezależnie od skali) będzie ten proceder zwalczać, bo jest on pochodną najważniejszego założenia całego systemu, tj. że wartość naukową można ująć liczbowo. Nawet jeśli naukowcy w to nie wierzą, nie ma to znaczenia, skoro „wierzy” w to system i za to premiuje. Apele etyczne w tej sytuacji brzmią jak wyznaczenie bezradności.

W tym sensie mają rację ci, którzy mówią, że nie metryka jest problemem, ale coś zupełnie innego: dążenie do radykalnej ilościowej



Andrzej Skrendo

kwantyfikacji i natychmiastowej monetyzacji wszelkich stosunków wymiany. Tylko że wtedy nie bardzo wiadomo, jak użyć do naszych celów coś (metryki), w co wpisane zostały inne cele niż nasze. W tej sytuacji warto dopuścić myśl, że pomiary ilościowe powinny odgrywać mniejszą rolę w systemie i nie decydować w takiej skali jak obecnie o tak wielu aspektach funkcjonowania instytucji naukowych.

Żeby ukryć zmianę projektowaną i wymuszaną przez system, w którym parametryzacja i kategoryzacja odgrywają tak wielką rolę, wymyślono skomplikowany żargon. Kluczowe słowa służą do tego, żebyśmy nie zauważyli, jak jest. Wymierzmy tylko kilka takich słów. Doskonałość – doskonale puste słowo (jak dawno temu pokazał Bill Readings, *The University in Ruins*, 1996), za którym ukrywa się swoista koncepcja i norma „wydajności”. Wyrażenie „drapieżne czasopismo” – żebyśmy zapomnieli, że nie ma dziś różnicy między drapieżnymi a niedrapieżnymi. Otwarty dostęp – abyśmy nie pamiętali, że „otwarty dostęp” to bardzo często sposób zamykania dostępu, a w najlepszym razie reguła, której cel jest dokładnie odwrotny niż ten deklarowany. Jest bowiem tak, że „bogatsze zespoły badawcze publikują więcej otwartych artykułów w najbardziej prestiżowych czasopismach” (T. Ross-Hellauer *Open science, done wrong, will compound inequities*, <https://www.nature.com/articles/d41586-022-00724-0>, dostęp 10.03.2025). Światowe rankingi uniwersytetów – byśmy przeszli do porządku dziennego nad tym, że wskaźniki, na których się one opierają, są niejasne, a metodologia powstania nieprzejrzysta. I to tak bardzo, że w *The Leiden Manifesto for research metrics* wyścig w tych rankingach nazwany został obsesją. Międzynarodowa widzialność – jak wynika z raportu OPI, mimo że 70% opublikowanych w latach 2018-2022 przez polskich uczonych artykułów jest po angielsku, mimo że 1/5 z nich ukazała się w czasopiśmie za 140 i 200 punktów (liczba takich artykułów w pierwszym wypadku wzrosła o 140%, a w drugim o 46%) to cytowalność była tylko o 1% wyższa niż przeciętna na świecie i pozostaje najniższa w UE. Niektórzy tłumaczą ten fakt stwierdzeniem, że coś jest nie tak z naszymi listami czasopism. Owszem, jest coś nie tak, przyszycająca daremność wysiłku uczonych, którzy tak znacznie podnieśli „wydajność”, naprawdę uderzająca. Owa daremność powinna nas skłaniać do pytania, czy aby na pewno potrzebujemy więcej tego samego (dalszego zwiększania „wydajności”) i czy gdzieś nie popełniamy jakiegoś zasadniczego błędu?

Warto wziąć pod uwagę następująca odpowiedź: z zapalem godnym lepszej sprawy ścigamy się w systemie, w którym międzynarodowe prywatne korporacje drenują publiczne finanse państwa narodowego, a tym samym przejmują zarząd nad publicznymi uczelniami (prywatnymi też, ale to trochę inna kwestia). „W wydawnictwie Wiley średnie APC to 2017 euro, maksymalne APC to 5640 euro (czasopismo „Advanced Science”), a 18 czasopism ma APC wyższe niż 3500 euro, czyli 15 000 zł za artykuł. W periodykach Elseviera średnie APC wynosi 2770 euro, maksymalne aż 9300 euro (blisko 40 000 zł, czasopismo „Cell”). Ogólnie na liście Elseviera na około 2000 czasopism 497 (ok. 25%) ma APC wyższe niż 3500 euro, a więc ponad 15 000 zł. za artykuł” (przypominał ostatnio w „Forum Akademickim”, nr 2025/2, P. Kasprowski, *Jak naprawić system publikacyjny?*). Nie istnieje uzasadnienie dla tego rodzaju sposobu uprawiania nauki i jest to nie do przyjęcia. A przecież wedle cytowanego raportu OPI w Polsce opublikowano w latach 2018-2022 ponad 530 tys. prac naukowych, z czego 69% to artykuły.

W tej sytuacji nie dziwi, że zajmowanie się publikowaniem prac naukowych stało się jednym z najbardziej dochodowych biznesów na świecie. Biznes ten „przynosi to, co Smith (2018) nazwał nieprzychylnie wysokim zyskiem. Na przykład w 2017 r. firma Elsevier zarobiła 1,8 mld USD przychodów z czasopism przy 37% marży zysku rocznie, a Springer Nature zarobił 1,3 mld USD przy 23% rocznej marży zysku (Aspesi, Allen i in., 2019). Ten model oparty na wysokim zysku opiera się na pracy naukowców, którzy na ogół poświęcają swój czas jako autorzy i recenzenci [i redaktorzy, dodajmy], pracując za darmo

(Buranyi, 2017), co wcześniej oszacowano na około 1,9 miliarda dolarów nieodpłatnej pracy rocznie (Logan, 2017)” (Leigh-Ann Butler et al., *The oligopoly's shift to open access: How the big five academic publishers profit from article processing charges*, „Quantitative Science Studies”, 4(4), 795). Inne opracowania mówią o jeszcze wyższej rentowności: „Marże zysku brutto sektora publikacji periodycznych wynoszące ponad 70% znacznie przewyższają marże zysku jakiegokolwiek innej branży” (czyli z każdego dolara 70 centów zysku) (S. Macdonald, *Emperor's New Clothes*, „Journal of Management Inquiry”, May 2014, 5; a także: D. Harvie et al., *What are we to do with feral publishers?*, „Organization” 2012, nr 19, 905-914).

Jak widać, problem jest głębszy niż sama ewaluacja, a dotyczy utraty wpływu naukowców na naukę; szczególnie sfera publikacyjna jest poza

naszym wpływem i jakąkolwiek kontrolą. Ale nie tylko, bo również dotyczy utraty znacznej części władzy nad nauką przez rządy finansujące ją z funduszy publicznych. Język globalizacji i retoryka mówiąca o konieczności uprawiania nauki światowej zakrywają przykrą prawdę o wyzysku, który się za nimi ukrywa. Nie możemy odmówić udziału w tym świecie, z tego jednak nie wynika, że powinniśmy gorliwie go wspierać i rozszerzać jego logikę. Rzecz jasna, jak pisał Readings, „każda próba zakwestionowania stosowanych wskaźników efektywności jest traktowana jako sprzeciw wobec idei publicznej wiarygodności” (posługuję się polskim przekładem, *Uniwersytet w ruinie*, 2017, 51). Warto zatem podkreślać, że wolno zrobić pierwsze, nie wyrzekając się drugiego. A nawet trzeba – w imię nauki. Sprzymierzeńcem polskich uniwersytetów w tym dziele powinien być polski rząd, bo jemu powinno zależeć, równie mocno jak badaczom, na tym, by ukrócić przemysł publikacyjny pasożytny na nauce.

Zapewne byłaby tu również potrzebna inicjatywa UE, ponieważ pojedyncze państwo może okazać się za słabe w zderzeniu z globalnymi koncernami. Innymi słowy, wysokość APC mogłaby zostać wynegocjowana – i obniżona – przez Unię Europejską dla wszystkich badaczy afiliowanych w uczelniach krajów członkowskich.

Wspólne dobro

Na czy zatem polega wspólny interes, którego wyrazem powinna być ewaluacja? Uczelnie hegemoniczne mówią, że ewaluacja nie dość odzwierciedla ich przewagę, a pretendenci, że nie stwarza warunków równej konkurencji. Jedni chcą tworzenia „wysp doskonałości”, inni zrównoważonego rozwoju. Część uważa, że trzeba ścigać się w międzynarodowych rankingach, a część, że raczej zastanawiać nad tym, jak polskie uczelnie realizują interesy rozwojowe polskiego państwa.

Cele te, warto zauważyć, nie muszą być sprzeczne w tak dramatyczny sposób, jak są, a dzieje się tak z tego powodu, że to, czym się zajmujemy, to dzielenie biedy. KRASP alarmował w piśmie z 6 września ubiegłego roku do premiera Tuska, że w roku 2025 zaplanowany wzrost środków na naukę i szkolnictwo wyższe znajduje się poniżej planowanego poziomu inflacji, a łączne nakłady na nasz sektor w rela-



Jarosław Woźniak

cji do PKB sytuują się na najniższym poziomie w XXI wieku. Co więcej, wzrost nakładów na naukę jest o około 1/3 niższy niż średni wzrost wydatków budżetu ogółem (4,5% do 6,4%). Stosowanie reguł obecnej ewaluacji, czyli dalsze wzmacnianie mechanizmu konkurencyjności, w tej sytuacji – a szybko się ona nie zmieni na lepsze (będziemy zwiększać liczbę czołgów, a nie instytutów badawczych) – byłoby przeciwnie skuteczne, a nawet niszczycielskie.

Jaki jest zatem ten nasz wspólny interes? Określmy go na poziomie minimalnym, po czym zastanówmy się, czy da się założenia opisujące go zrealizować w obecnym systemie. Co zatem warto zrobić?

Trzeba podtrzymać to, co dobre w systemie obecnym, a są to: ewaluacja w dyscyplinach; wagi przykładane do poszczególnych kryteriów (uprzywilejowanie kryterium publikacyjnego); inicjatywy RID i IDUB – należy zwiększać nakłady oraz liczbę ośrodków objętych tymi programami (skoro nie da polepszyć sytuacji całego sektora, polepszajmy los tych, którzy budzą największą nadzieję).

Musimy zapewnić elementarną stabilność systemu, czyli co najmniej: zapisać w ustawie (jak w przypadku oceny okresowej), że zmiany reguł ewaluacji ustalić wolno jedynie przed okresem, który podlegać będzie ocenie; ustalić podobną regułę dla wykazów czasopism (o ile zgodzimy się, że powinny dalej istnieć): że zmiana obejmująca dany rok dokonuje się przed jego rozpoczęciem. Naukowcy powinni być poinformowani wcześniej, gdzie mają wysłać prace, a minister mieć pewność, że potężne pieniądze za publikacje nie są marnowane poprzez finansowanie artykułów w czasopismach, które za chwilę wypadną z baz lub stracą punkty w wykazie. Przed okresem objętym ewaluacją podać do wiadomości publicznej pełną metodologię ustalania wartości referencyjnych (najlepiej, żeby była oparta na medianach, powiedzmy: 25% ponad medianę to wartość dla kat. A, 25% poniżej to wartość dla kat. B+). Można przeprowadzać ewaluację za okres 6 lat (co jest dopuszczalną praktyką w innych krajach).

Trzeba uprościć system. Najpierw przeprowadzić szerokie badania, w jaki sposób środowisko naukowe odbiera reguły obecnej ewaluacji, zwłaszcza jak ocenia stopień komplikacji. Z naszych regularnych i prowadzonych od kilku lat spotkań z pracownikami Uniwersytetu Szczecińskiego wynika, że reguły ewaluacji nadal nie są rozumiane i bywają na ogół traktowane jako sztuczny wymysł bez związku z realnym życiem. Na podstawie tych badań przyszłoby zapewne: zmniejszyć liczbę ocenianych osiągnięć (w poprzedniej ewaluacji oceniono około 1 mln osiągnięć oraz wydano ponad 60 tys. decyzji w SEDN) oraz zmniejszyć liczbę uregulowań składających się na system ewaluacji, czyli różnego rodzaju zastrzeżeń, wyjątków, szczególnych przypadków (co zmniejszy liczbę nadużyć).

Warto gruntownie przebudować III kryterium. Trzeba by przyjąć do wiadomości, że: społeczny wpływ większości dyscyplin naukowych jest zwykle pośredni i odroczony, a co więcej – bardzo specyficzny. Obecnie konstrukcja tego kryterium jest niejako strukturalnie narażona na regres w nieskończoność, wskutek czego trudno jest określić miejsce wystąpienia wpływu (np. jednostka wskazuje

w opisie wpływu wdrożenie zmian w politykach samorządów terytorialnych w zakresie zwiększania aktywności seniorów – ewaluator odrzuca dowody wpływu, wskazując, że uczelnia powinna dowiedzieć, że na obszarze wprowadzania polityk wzrosła sprzedaż sprzętu sportowego dla seniorów. Albo: na podstawie badań zmieniono ustawę – a ewaluator kwestionuje opis, pytając, jakie skutki przyniosła zmiana ustawy, na kogo wpłynęła i czy aby na pewno wpłynęła itd., itp.). Skutkiem tego oceny w kryterium III wydają się najsłabszym ogniwem ewaluacji, bo najbardziej narażonym na arbitralność i dowolność oceny. Być może należałoby opracować nieco odmienne zasady oceny III kryterium w zależności od grup nauk (np. w naukach inżynierskich i technicznych zamiast opisów wpływu być może lepiej byłoby przedstawiać najważniejsze patenty; w naukach humanistycznych zamiast opisów wpływu i tzw. dowodów przedstawiać dane na temat publicystki kulturalnej i krytyki artystycznej).

Do tego wszystkiego chcielibyśmy dodać jeszcze trzy uwagi. Po pierwsze, ruch w stronę zwiększenia udziału aspektu jakościowego oceny wydaje się nieuchronny, choć grozi ryzykiem zastąpienia złego systemu jeszcze gorszym. Porażka III kryterium niestety nie rokuje dobrze poważniejszym zmianom modelu ewaluacji. Nie tylko w swym aspekcie ilościowym, ale też i jakościowym wykazuje on znaczące wady.

Po drugie, w takiej sytuacji najważniejszym wyzwaniem staje się radykalne zwiększenie stopnia przejrzystości i jawności wszystkich procedur oceny w systemie nauki. Należy eliminować oceny podwójnie ślepe, promować zamiast tego oceny ślepe w jedną stronę (recenzowany wie, kto recenzował, recenzujący nie wie, kogo recenzuje) lub całkowicie jawne (np. w NCN recenzje składanych projektów powinny być podpisywane, podobnie oceny III kryterium ewaluacyjnego, recenzje w czasopismach naukowych itd.). Nie wiadomo, czy to wystarczy, od czegoś jednak trzeba zacząć.

Po trzecie, dla dobra ewaluacji korzystnie byłoby ponadto dokonać kilku zmian w ustawie, np. wprowadzić stan spoczynku dla profesorów tytularnych (co wobec obecnej skali transferów socjalnych byłoby wydatkiem niewiele znaczącym a fundamentalnym dla procesu odmładzania kadry naukowej).

Jakość zamiast ilości?

Oczywiście, do tego należałoby dodać zmiany, o których się mówi od dawna, tj. m.in. uniemożliwić manipulacje przy liczbie N; wprowadzić współczynnik realnie podwajający wymagania od instytutów badawczych oraz pracowników na etatach badawczych; nie uwzględniać publikacji z numerów specjalnych.

Czy do wprowadzenia postulowanych w tym artykule zmian potrzebne byłoby wypracowanie nowego modelu ewaluacji? Niekoniecznie. Docelowo jednak być może potrzebujemy innego modelu, opartego na ocenie jakościowej. Można by wtedy zlikwidować wykazy czasopism, poddawać ocenie eksperckiej stosunkowo niewielką liczbę publikacji dla jednej dyscypliny w jednostce, a tym samym ograniczyć pole działania międzynarodowych koncernów publikacyjnych.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2025 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2025 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 250 zł;
prenumerata numerów 1-6: 132 zł, a 7-12: 118 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 180 za cały rok i 90 zł za pół roku.



Redakcja

Szachy czy warcaby? W co gramy?

Prof. Grzegorz Marzec, dyrektor Instytutu badań Literackich PAN pokazuje, ile pozornie drobnych, a wcześniej nieuwzględnionych kwestii należy przepracować, żeby można było wierzyć, że ewaluacja oddaje realną rangę jakości działalności naukowej.

Zachęcony interesującym wywiadem z Panią Ministrą Karoliną Ziolo-Pużuk w „Forum Akademickim” (nr 2/2025), pozwałam sobie dorzucić trzy grosze do dyskusji o ewaluacji – od strony, która nie była dotąd przedmiotem debaty głównego nurtu.

Zgodnie z § 28 rozporządzenia w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej, kategorię A+ przyznaje się w wyniku dodatkowej oceny eksperckiej. By zostać do niej dopuszczonym, trzeba spełnić łącznie dwa warunki: (1) działalność podmiotu w danej dyscyplinie została zaliczona do kat. A oraz (2) podmiot uzyskał w pierwszym kryterium ewaluacji ocenę o wartości nie niższej niż próg procentowy ustalony przez Komisję Ewaluacji Nauki w stosunku do najwyższej oceny w danej dyscyplinie.

O ile warunek pierwszy jest zrozumiały (kat. A+ mogą uzyskać wyłącznie dyscypliny z kat. A), o tyle drugi to esencja parametryzacji i punktozacji. Ujmując rzecz skrótowo: w danej dyscyplinie, w przeliczeniu na 1 N, najwyższej notowany podmiot uzyskuje w K1 określoną liczbę punktów. Podmiot ten, o ile uzyskał kat. A, może być poddany ocenie eksperckiej uprawniającej do uzyskania A+. Ale i inne podmioty mają szansę przejść podobną procedurę, o ile mają kat. A oraz osiągną lub przekroczą próg procentowy ustalony przez KEN, liczony od wyniku tego najwyższej notowanego podmiotu; próg ten nie może być niższy niż 80%. Wszystkie progi w ramach poszczególnych dyscyplin wyznacza KEN „na podstawie wskaźników bibliometrycznych w międzynarodowych bazach o największym zasięgu, w ten sposób, że wyższa pozycja w bazie skutkuje niższą wartością progów procentowych” (§ 28 ust. 3).

Jedną z praktycznych, a jednocześnie dość osobliwych konsekwencji tego rozwiązania może być sytuacja, w jakiej podmiot z najwyższą punktacją w K1, ale ze względu na wyniki w K2 i K3 bez szans na plusa, blokuje możliwość uzyskania tej kategorii podmiotom, które w całościowej ocenie wypadają lepiej, mianowicie gdy nie pokonają one w K1 progów wyznaczonego przez KEN. Wedle mojej wiedzy takie przypadki się zdarzały i nie były jednostkowe.

Szczegółowe warunki określenia progów procentowych rozporządzenie pozostawia w wyłącznej gestii Komisji Ewaluacji Nauki. Znamy dwie jej uchwały, które pozwalają, w połączeniu z ogólnie dostępnymi wypowiedziami przedstawicieli Komisji, zrekonstruować procedurę, jaką zastosowano w minionej ewaluacji: uchwałę nr 15/2022 z 27 kwietnia 2022 r. oraz nr 17/2022 z 9 maja 2022 r. W pierwszej kolejności – a trzeba przyznać, że ten język daje wiele do myślenia – Komisja „przystąpiła do określenia pozycji nauki polskiej w skali międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych”. Zadanie niełatwe i wypada się cieszyć, że udało się to raz na zawsze i bezdyskusyjnie ustalić. Ponieważ jednak rozporządzenie ministerialne nakazuje, by poczynić to ustalenie na podstawie „międzynarodowych baz o największym zasięgu”, zdecydowano – co znamienne: tym razem w liczbie pojedynczej – o wyborze bazy Scimago Journal and Country Rank (SJR), która co do zasady raportuje dane ze Scopus. Jak później tłumaczono, wybór padł na SJR ze względu na jej powszechną dostępność, otwartość i możliwość samodzielnej weryfikacji danych.

Tu pojawiła się jednak zawiłość następująca: oto ewaluacja odbywa się w dyscyplinach naukowych i artystycznych (wskazanych, obecnie zmienionych, rozporządzeniem ministra „w sprawie dziedzin nauki i dyscyplin naukowych i artystycznych” z 20 września 2018 r.), natomiast baza SJR, za co raczej nie można jej winić, za nic ma wymogi naszej ewaluacji i podział na dyscypliny, który wynika z rozporządzenia. Jakby tego było mało, SJR nie posługuje się w ogóle pojęciem „dyscypliny”, grupując rekordy w dwóch zupełnie innych klasach – bardziej ogólnej Subject area (SA) i bardziej szczegółowej Subject category (SC).

Ponieważ nijak nie pasuje to do specyfiki ewaluacji, szczególnie wobec faktu, że niektóre dyscypliny w ogóle nie mają swoich odpowiedników w SJR, KEN uznała, iż należy wprowadzić podział na „dyscypliny” i „subdyscypliny”, utożsamiając je z SA i SC, a następnie pozycję jakiejś grupy dyscyplin określić na podstawie subdyscyplin. Jak informowano, wyodrębniono blisko 200 subdyscyplin; dla porównania rozporządzenie uwzględnia zaledwie 47 dyscyplin naukowych i artystycznych w 8 dziedzinach nauki i sztuki. Tak czy inaczej, poniższa wypowiedź prof. Zbigniewa Kąkole, członka KEN, opublikowana w „Forum Akademickim” (5/2022), niezbicie dowodzi, że dokonano tu pewnego arbitralnego utożsamienia semantycznego, które następnie uznano za zgodne z porządkiem ewaluacji i prawnie wiążące: „W bazie Scimago dane są przedstawiane według dyscyplin (Subject areas) i subdyscyplin (Subject categories) wchodzących w skład dyscyplin”.

Szczególnie istotny wydaje się fakt, że zasadniczy porządek prawny, na którym opiera się ewaluacja, nie przewiduje w ogóle czegoś takiego jak „subdyscypliny”. Nie ma tego pojęcia ani w ustawie, ani w żadnym rozporządzeniu wykonawczym; jak królik z kapelusza wyskakują dopiero w uchwałach KEN.

Diabeł tkwi w szczegółach

Nie wykluczam, że są dyscypliny, szczególnie z zakresu nauk ścisłych, eksperymentalnych i technicznych, w których to utożsamienie z SA czy SC jest pełne lub w miarę pełne, choć podpowiada mi intuicja, że w każdym przypadku są to raczej dość grube przybliżenia.

Podam przykład. Mój Instytut Badań Literackich PAN był ewaluowany w dyscyplinie „literaturoznawstwo”, ale nie ma w SJR nic takiego, co bezpośrednio tej dyscyplinie mogłoby odpowiadać: wśród SA są bardzo ogólne Arts and Humanities, podczas gdy wśród SC takie, które wydają się zbyt wąskie (np. Literature and Literary Theory; Arts and Humanities (miscellaneous); Classics), i nie ma nawet pewności, które z nich zostały przyjęte jako należące do literaturoznawstwa. Jeśli zaś w ramach SA wybierzmy Social Sciences, to odkrywamy, że są tam również SC częściowo obejmujące literaturoznawstwo, np. Cultural Studies oraz Linguistics and Language. Potwierdzeniem jest fakt, że w tych rzekomych „subdyscyplinach” odnotowane są czasopisma dobrze literaturoznawcom znane.

Zachodzi tu jeszcze okoliczność inna, którą mimo jej wagi jedynie sygnalizuję: mianowicie SJR nie raportuje monografii, które w literaturoznawstwie nadal uchodzą za główny kanał komunikacji nauko-



wej; ustalanie pozycji tej dyscypliny bez uwzględnienia monografii wydaje się przedsięwzięciem cokolwiek karkołomnym.

Najciekawsze bodaj rzeczy dzieją się tymczasem pod powierzchnią, wewnątrz poszczególnych SA i SC. Raz jeszcze zawieram intuicji, która mówi mi, że literaturoznawstwo, dyscyplina z dziedziny nauk humanistycznych, musi uwzględniać podkategorię Literatura i teoria literatury, jakkolwiek dla każdego literaturoznawcy jest oczywiste, że ograniczenie literaturoznawstwa do tych wyłącznie aspektów jest dalece niewystarczające. Dla celów analizy wybrałem rok 2021, tj. ostatni rok minionej ewaluacji. W związku z faktem, że dane zawarte w SJR obejmują niekiedy ponad 1000 pozycji dla poszczególnych SA i SC, przeanalizowałem pierwszą pięćdziesiątkę czasopism w zakresie rzeczzonej podkategorii.

Wykres nr 1 pokazuje, że w pierwszej pięćdziesiątce najwyższej notowanych periodyków istnieje znacząca liczba (20) tych, które według ministerialnego wykazu nie są rozpoznawane jako reprezentujące dyscyplinę „literaturoznawstwo”, a niekiedy wręcz nie należą w ogóle do dziedziny nauk humanistycznych (3 z 20); należy dodać, że jedno z tych czasopism nie jest też odnotowane w ministerialnym wykazie.

Innymi słowy, gdyby tę pięćdziesiątkę uznać za próbę w miarę reprezentatywną, to należałoby dojść do wniosku, że wykaz w SJR zawiera 40% czasopism nieliteraturoznawczych, a niekiedy nawet spoza dziedziny nauk humanistycznych, które jednak zostały użyte przez KEN do ustalenia pozycji dyscypliny „literaturoznawstwo”.

Należy też zauważyć, że aż 7 czasopism nieliteraturoznawczych jest w pierwszej piętnastce zestawienia, a zatem wśród czasopism uznawanych przez SJR/Scopus za najbardziej wpływowe. Dość powiedzieć, że na pierwszym miejscu znajduje się „Criminology and Public Policy”, które według rozporządzenia wychodzi swoją tematyką nawet poza dziedzinę nauk humanistycznych. Użytkownicy SJR już kilka lat temu zgłaszali błąd w przypisaniu czasopisma do Literature and Literary Theory; zamieszczona na stronie odpowiedź SJR głosi, że wszystkie metadane, w tym kategoria, są dostarczane przez Scopus/Elsevier, który jest ich wyłącznym właścicielem i Scimago nie ma uprawnień do ich korygowania.

Zwracam ponadto uwagę na fakt, że aż 24 spośród tych czasopism, a zatem niemal 50%, ma w ministerialnym wykazie 2021 punktację niższą niż najlepsze polskie czasopisma literaturoznawcze, w tym wydawane przez IBL „Teksty Drugie” i „Pamiętnik Literacki” (oba mają po 100 pkt i są obecne w Scopus), które ze względu na swój polonistyczny charakter nie zawsze są w sposób regularny raportowane w bazie, ale przez KEN i ministra słusznie zostały uznane za pisma bardziej renomowane. Nie jest jasne, dlaczego badanie doniosłości dyscypliny miałyby się dokonać bez ich udziału.

Należy podkreślić, że podobne statystyki SJR odnotowuje dla innych lat ewaluacji, a także dla lat późniejszych, np. w roku 2022, spośród 50 najwyższej notowanych czasopism 18 nie reprezentuje dyscypliny lite-

raturoznawstwo, z czego w pierwszej dwunastce jest aż 8 czasopism spoza tej dyscypliny, w tym na pozycjach 1 i 2.

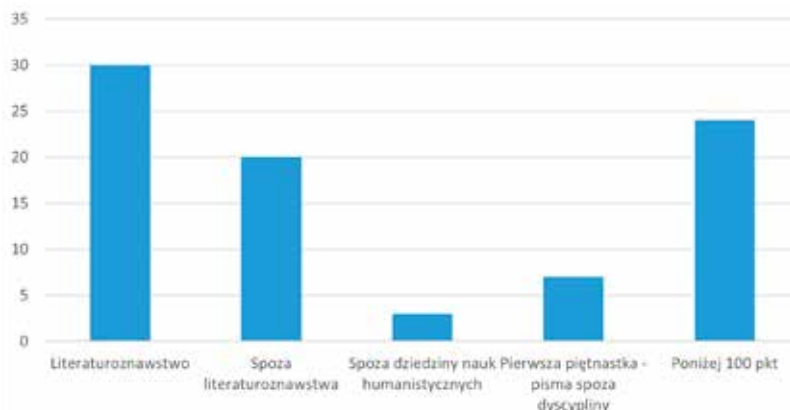
Wykres nr 2 przedstawia SA Arts and Humanities, ale bez określania jakiegokolwiek konkretnej SC. Jak widać, aż 15 z 50, tj. 30% najwyższej notowanych czasopism rzekomo humanistycznych nie jest rozpoznawanych w wykazie ministerialnym jako powiązane z jakąkolwiek dyscypliną należącą do dziedziny nauk humanistycznych. Dla porównania, w 2022 r. tych czasopism jest już 17, w tym jedno spoza ministerialnego wykazu. Gdy natomiast zawężymy poszukiwania i wprowadzimy SC Arts and Humanities (miscellaneous), wyniki będą jak na wykresie 3.

W tym przypadku 22 tytuły (44%) nie są powiązane z żadną dyscypliną z dziedziny nauk humanistycznych, a jednocześnie wśród 28 czasopism, które ten związek wykazują, jest aż 10, w których opiera się on na 1 tylko dyscyplinie, mimo że do czasopisma jest niekiedy przypisanych 4-5 dyscyplin. Przykładowo, czasopismo znajdujące się na czele listy zostało w ministerialnym wykazie powiązane z dyscyplinami „nauki o kulturze i religii”, „nauki o polityce i administracji”, „nauki o zarządzaniu i jakości” oraz „nauki socjologiczne” – tylko pierwsza z nich należy do dziedziny nauk humanistycznych, a pozostałe trzy do dziedziny nauk społecznych. Powiedzmy, że nie ma tu jeszcze znacznej rozbieżności, skoro nauki humanistyczno-społeczne często występują łącznie. Kiedy jednak weźmiemy pod uwagę, że są tutaj liczne tytuły z dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych (m.in. nauki biologiczne, matematyka, nauki o Ziemi i środowisku), z dziedziny nauk inżynieryjno-technicznych (m.in. architektura i urbanistyka, automatyka, elektronika i elektrotechnika, informatyka techniczna i telekomunikacja, inżynieria biomedyczna, inżynieria lądowa, geodezja i transport), z dziedziny nauk medycznych i nauk o zdrowiu (m.in. nauki o zdrowiu, nauki farmaceutyczne, nauki medyczne), z dziedziny nauk rolniczych (rolnictwo i ogrodnictwo) to każdemu powinna zapalić się czerwona lampka.

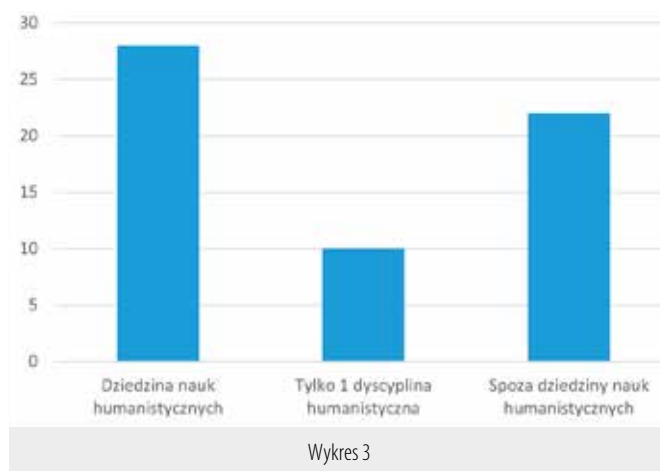
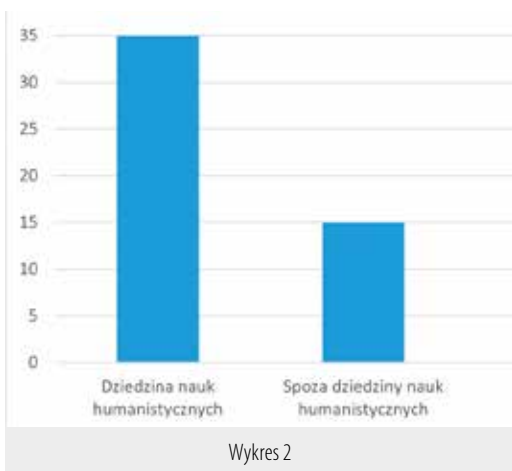
Jestem gorącym orędownikiem interdyscyplinarności. Jej wyrazem jest choćby to, że w IBL powstają prace wchodzące na terytoria takie, jak językoznawstwo, historia, nauki o sztuce i historia sztuki, filozofia, wiedza o kulturze i mediach, a także, głównie ze względu na działalność Centrum Humanistyki Cyfrowej, odnotowujemy recenzowane materiały w konferencjach informatycznych za 200 pkt. Ewaluacja ma wszakże swoje rygory, których jawnym zaprzeczeniem jest sposób, w jaki KEN określiła „pozycję nauki polskiej w skali międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach naukowych i artystycznych”.

Postulaty i rekomendacje

Rozporządzenie z 2019 r. postawiło przed Komisją zadanie niewykonalne, z którym wszelako KEN, zamiast powiadomić ministerstwo o niewykonalności zadania oraz konieczności zmiany rozporządzenia, postanowiła się brawurowo zmierzyć i zrobiła to... w sposób wyżej opisany. W sytuacji, w jakiej nawet drobne fluktuacje punktowe mogą decydować o wyniku ewaluacji, oparcie całej procedury na tak wątpliwych podstawach musi budzić najwyższe zdumienie. Jednocześnie, wobec toczącej się żywo dyskusji na temat praktyk publikacyjnych, drapieżnych czasopism, papermills, fałszowania wskaźników cytoowań i wpływu te podstawy wydają się już całkiem skompromitowane. Ktoś bardziej ode mnie zgryźliwy mógłby powiedzieć, że przecież kryterium dostępności i wygody spełniają też czasopisma innych wydawców, np. czteroliterowe.



Wykres 1



Jako że pani ministra Karolina Ziolo-Puzuk informuje, że przewidywane są jeszcze w tym roku jakieś zmiany w rozporządzeniu, ośmielam się w związku z tym postulować:

- całkowite przeformułowanie § 28 ust. 2 i 3 rozporządzenia oraz krytyczne spojrzenie na ust. 5, który definiuje parametry dodatkowej oceny eksperckiej, przede wszystkim w odniesieniu do liczby artykułów za 200 i 140 pkt;

- wprowadzenie rozwiązania, zgodnie z którym wystarczającym uprawnieniem do oceny eksperckiej A+ będzie przewyższenie progów w każdym z trzech kryteriów upoważniających do uzyskania kat. A.

Co istotne, modyfikacja ww. przepisów nie może być traktowana jako „zmiana reguł w trakcie gry”, nie będzie zatem zmianą rewolucyjną, a takich zmian, jak wynika z wywiadu w FA, ministerstwo chce uniknąć. Proponowane regulacje nie wpłyną bowiem na wyniki podmiotodyscyplin, a jedynie na nowo określą warunki wyłaniania tych z kategorią najwyższą.

To wszystko nie zmienia mojej oceny, że w szerszej perspektywie wyniki ewaluacji za lata 2022-25, podobnie jak poprzedniej, nie będą traktowane jako zbyt wiarygodne. Pozostaje mi apelować o poważną reformę tego systemu przynajmniej w odniesieniu do nauk humanistycznych. Szczęściem mój Instytut podchodził do obecnych zasad z dużą rezerwą i ostrożnością. Nie zmienialiśmy pod dyktando ewaluacji swoich planów badawczych i publikacyjnych, nierzadko nastawionych na dziecięctwo narodowe i kulturowe. Nie rzuciliśmy się konformistycznie w objęcia podejrzanych baz danych, zaś nasze liczne publikacje w językach kongresowych były immanentnie powiązane z rozwojem naukowym placówki i zakorzenioną w nim tradycją współpracy międzynarodowej.

Postępowaliśmy zgodnie ze starożytnym przekonaniem, że niezależnie od zmiennych mód, jakość się obroni.

Dylemat więźnia

Prof. Marek Kosmulski, chemik z Politechniki Lubelskiej, porównuje zachowania naukowców, wymuszone zasadami ewaluacji, do zachowań w więzieniach, gdzie nikomu nie opłaca się wyróżniać.

Sytuacja polskich naukowców wobec zbliżającej się ewaluacji przypomina znany z teorii gier dylemat więźnia. Dwaj więźniowie zeznają w sprawie czynu zabronionego, który wspólnie popełnili. Policja wie, że go popełnili, ale nie wie, jaką rolę odegrał każdy z nich. Każdy z więźniów może powiedzieć prawdę (wspólny udział) lub skłamać (nie przyznać się i obciążyć drugiego więźnia). Oto macierz gry.

strategia więźnia X ----->	prawda	kłamstwo
strategia więźnia Y	rezultat X/rezultat Y	
prawda	B+/B+	A+/C
kłamstwo	C/A+	B/B

Jeżeli obaj się przyznają, to każdy zostanie skazany na rok więzienia (kategoria B+). Jeżeli każdy się wyprze i obciąży drugiego więźnia, to obaj zostaną skazani na 2 lata więzienia (kategoria B, wyższy wyrok za fałszywe zeznania). Jeżeli jeden się wyprze, a drugi przyzna, to kłamca dostanie wyrok w zawieszeniu jako mały świadek koronny (kategoria A+), zaś ten, który się przyzna, zostanie skazany na 3 lata więzienia (kategoria C). Dylemat polega na tym, że najkorzystniejsze dla obu więźniów jest solidarne przyznanie się: obaj uzyskują kategorię B+. Z drugiej jednak strony kłamstwo chroni przed najczarniejszym scenariuszem: kłamca uzyska w najlepszym razie kategorię B, a prawdomórnemu więźniowi grozi C,

a także daje szansę na najlepszy możliwy rezultat – kategorię A+, na którą prawdomówny więzień nie ma nawet teoretycznych szans w wypadku, gdyby drugi więzień się przyznał.

Wszyscy wiedzą, że publikowanie za pieniądze w nierzetelnych, lecz wysoko punktowanych czasopismach nie przynosi prestiżu ani nowych odkryć lub wynalazków, i zamiast napełniać kieszenie sprytnych wydawców, można by bardziej racjonalnie wydać zaoszczędzone w ten sposób środki. Gdyby więc naukowcy solidarnie zrezygnowali z łatwych punktów, to wszyscy by na tym skorzystali. Trudno jednak liczyć na solidarność innych naukowców. Dlatego też naukowcy chrońnią się przed najczarniejszym scenariuszem C/A+, który może się ziścić, gdy zrezygnują z publikowania za pieniądze w nierzetelnych, lecz wysoko punktowanych czasopismach, ale pozostali naukowcy będą nadal to czynić. W rezultacie wszyscy naukowcy mają mniej pieniędzy na badania, gdyż wydali je już na opłacenie publikacji, a w ewaluacji nic nie zyskali, gdyż podniósł się poziom oczekiwań odnośnie do zdobyczy punktowych (liczba punktów przypisana do jednostek referencyjnych).

Kiedy w 2017 roku zaczynał się poprzedni okres ewaluacji, trudno było przewidzieć taki obrót spraw, ale w roku 2022 wszyscy nie tylko doskonale wiedzieli o procedurze kupowania punktów, ale też wielu kupowało je bez umiaru. Mimo to zasady ewaluacji pozostają bez zmian, patologia ma się dobrze i dylemat więźnia trwa.

O wartości polskiego modelu ewaluacji

Prof. Błażej Skoczeń, wiceprzewodniczący Komitetu Ewaluacji Jednostek Naukowych, pierwszy przewodniczący Komisji Ewaluacji Nauki (w latach 2019-2023), przypomina skąd się wziął i jak powstawał polski system ewaluacji oraz jaki ma charakter.

W dyskusji na temat ewaluacji i kategoryzacji podmiotów w dyscyplinach nauki pada wiele argumentów, często bardzo emocjonalnych i wynikających z indywidualnego punktu widzenia. Warto jednak przypomnieć, że ewaluacja i kategoryzacja dotyczą instytucji, a nie pojedynczych osób, należy zatem spojrzeć na ocenę podmiotów z punktu widzenia instytucjonalnego. Na początek kilka danych. W latach 2017-2021 ewaluacji podlegały 283 podmioty, a liczba ocenianych grup naukowców wyniosła 1145, co odpowiada liczbie osób sięgającej blisko 110 000. Liczba zgłoszonych publikacji wyniosła 707 862, a liczba osiągnięć artystycznych 53 903. Ponadto zgłoszono 27 556 projektów badawczych, 12 138 praw ochronnych, a liczba rekordów dotyczących komercjalizacji wyników badań naukowych sięgnęła 16 002. Wreszcie oceniana liczba usług badawczych, świadczonych przez podmioty naukowe zewnętrznym odbiorcom, wyniosła 155 867. Sumarycznie w systemie pojawiło się blisko milion osiągnięć, wobec których bez podejścia instytucjonalnego byłibyśmy bezradni. Gdyby Komisja Ewaluacji Nauki chciała każde z tych osiągnięć oceniać indywidualnie, to każdy z jej członków musiałby ocenić około 32 000 osiągnięć. Licząc na każde osiągnięcie zaledwie 15 minut, trwałoby to blisko 8000 godzin, czyli około 1000 dni roboczych, a zatem niemal 4 lata, jeśli wyłączyć wszystkie inne zajęcia i skoncentrować się jedynie na ewaluacji. Tymczasem na ocenę jednostek i przedstawienie wyników KEN ma zaledwie 5 miesięcy. Dlatego właśnie potrzebne są miary instytucjonalne oraz zasady, które stosuje cały świat, aby w sposób racjonalny ocenić podmioty prowadzące działalność naukową.

Przy tak dużej liczbie osiągnięć, z których każde jest szczegółowo opisane w postaci kompletnego rekordu, potrzebne są bazy danych. Polska rozwinęła bazy danych gromadzące osiągnięcia naukowców, służące nie tylko ewaluacji, spośród których najważniejsze są PBN i POLon. Potrzebne jest także oprogramowanie służące do sprawnego poruszania się po ww. bazach danych. Dla potrzeb ewaluacji rozwinęto więc program SEDN, który członkom KEN oraz ekspertom pozwala sprawnie poruszać się w tej części bazy danych, która zawiera rekordy z osiągnięciami podlegające ocenie. Ponadto, w celu sprawnego dokonania oceny zdefiniowano tzw. walidatory, dzięki którym eksperci otrzymują wstępną listę osiągnięć wykazujących cechy niezgodne ze standardami zdefiniowanymi dla danego rodzaju osiągnięcia. Generalnie, w systemie SEDN poddano ocenie 427 202 osiągnięcia, a liczba decyzji podjętych przez członków KEN i ekspertów wyniosła 73 900. Tak wielkie liczby wymagają podejścia uporządkowanego i systematycznego, a także wsparcia ze strony ekspertów reprezentujących środowisko naukowe i akademickie.

W ubiegłej ewaluacji powołano niemal 900 ekspertów, spośród których blisko 50 pochodziło z zagranicy. Ekspertów należy przygotować do oceny, przekazując im wiedzę oraz stosowne materiały w postaci aktów prawnych i podręczników. Warto zauważyć, że przed poprzednią ewaluacją przeprowadzono 30 szkoleń dla ekspertów krajowych i zagranicznych, co oznacza jeden miesiąc przeznaczony wyłącznie na przeszkolenie ekspertów. Ponadto KEN przy-



Fot. Piotr Kierczalski

gotowała 5 podręczników, które służyły ekspertom w czasie ewaluacji: (1) organizacja pracy ekspertów KEN, (2) procedura weryfikacji zgodności osiągnięcia naukowego z dyscypliną naukową, (3) opis wpływu działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki, (4) ewaluacja w dziedzinie sztuki oraz (5) ewaluacja w zakresie badań naukowych lub prac rozwojowych na rzecz obronności i bezpieczeństwa państwa. Zanim naciśnięto przysłowiowy przycisk „start”, należało wykonać ogrom pracy przygotowawczej, której efektem była sprawna i skuteczna praca ekspertów w okresie ewaluacji.

Łącznie w pierwszym etapie ewaluacji uczestniczyło 858 ekspertów, a w drugim (po odwołaniach) było ich 314. Warto podkreślić, że był to wysiłek całego środowiska naukowego, a eksperci reprezentowali wszystkie dyscypliny nauki i sztuki. Nad ich pracą opiekę sprawowała KEN, a każda grupa ekspertów miała własnego opiekuna reprezentującego dyscyplinę lub grupę dyscyplin zgodną z jej profilem naukowym. Eksperti krajowi oceniali osiągnięcia przypisane do kryteriów K1, K2 oraz K3, natomiast ocenę do kategorii

A+ powierzono ekspertom zagranicznym, zgodnie z wymogami rozporządzenia. Warto wreszcie przytoczyć liczbę ekspertów oceniających opisy wpływu w kryterium K3 w poszczególnych dziedzinach nauki: nauki humanistyczne – 45, nauki inżynieryjno-techniczne – 64, nauki medyczne i nauki o zdrowiu – 18, nauki rolnicze – 25, nauki społeczne – 100, nauki ścisłe i przyrodnicze – 53, nauki teologiczne – 9, dziedzina sztuki – 12 osób. Tak więc w ocenie eksperckiej w kryterium K3 brało udział 326 osób. Ocena we wszystkich trzech kryteriach była niezwykle pracochłonna, a eksperci nie szczędzili czasu, aby dogłębnie ocenić osiągnięcia, nawet jeśli wymagało to intensywnych poszukiwań w dostępnych bazach danych lub w witrynach internetowych ocenianych instytucji. Podobna sytuacja wystąpiła w ocenie podmiotów ubiegających się o kategorię A+, gdzie oceniali eksperci zagraniczni, którzy w znakomitej większości przypadków dobrze wywiązali się ze swojego zadania. Wśród ekspertów zagranicznych znalazły się osoby oceniające na co dzień w brytyjskim systemie REF, które bardzo pozytywnie oceniły polski system ewaluacji i kategoryzacji podmiotów.

Polski model ewaluacji jest modelem parametryczno-eksperskim, zrównoważonym, w którym dwa kryteria (K1, K2) są parametryczne, a kolejne dwa (K3, A+) eksperckie. Model ten ukształtował się w wyniku kolejnych ewaluacji i ma charakter wyważony. Generalnie program ewaluacji i kategoryzacji podmiotów rozpoczął się w Polsce w roku 1990, a pierwsze kategorie przyznano w latach 1991-1998. Początkowo w pełni ekspercki, z końcem lat 90. przekształcił się w system parametryczny (druga generacja), co wynikało z nadmiernie optymistycznych ocen przyznawanych wówczas przez ekspertów. Trzecia generacja oceny instytucjonalnej została opracowana w roku 2010 przez Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych (KEJN). Jednak po ewaluacji w roku 2017, w wyniku dyskusji o tzw. niejednorodnych jednostkach naukowych, podjęto decyzję o ocenie podmiotów w poszczególnych dyscyplinach nauki. Wymagało to opracowania kolejnej, czwartej generacji wielokryterial-

nego systemu, który wprowadziła w życie Komisja Ewaluacji Nauki w roku 2022.

Przeprowadzenie oceny instytucjonalnej wymaga zdefiniowania miar oraz zasad, które umożliwią ewaluację przy tak dużej liczbie osiągnięć. W dwóch pierwszych kryteriach zastosowano klasyczną miarę wyrażającą efektywność w postaci ułamka, w którego liczniku występuje suma punktów za osiągnięcia naukowe w danej dyscyplinie nauki, uzyskana przez N osób uczestniczących w badaniach naukowych w ocenianym podmiocie, a w mianowniku liczba N. Taka miara wyraża średnią liczbę punktów przypadających na osobę zaliczaną do liczby N. W kryterium trzecim przyjęto miarę w postaci średniej ocen poszczególnych opisów wpływu badań naukowych na społeczeństwo i gospodarkę. Warto zauważyć, że to kryterium w pełni odpowiada stosowanemu w Europie i na świecie kryterium „societal impact”. Jedną z ważnych zasad w ocenie instytucjonalnej jest zasada dziedziczenia prestiżu, która przypisuje artykułowi tyle punktów, ile otrzymało czasopismo notowane w wykazie czasopism naukowych. Należy zauważyć, że wykaz czasopism naukowych zawiera blisko 34 100 pozycji, a wykaz konferencji międzynarodowych kolejne 1735 pozycji. Wykazy powstały dzięki aktywności środowiska naukowego i akademickiego w postaci 44 zespołów, które przygotowały częstkowe wykazy czasopism dla poszczególnych dyscyplin nauki. Po agregacji wykaz był regularnie uzupełniany w miarę wpływających informacji o nowych czasopismach przyjętych do baz danych WoS, Scopus czy ERIH+. Istnieje także wykaz wydawnictw recenzowanych monografii naukowych, który zawiera ponad 800 pozycji. Warto podkreślić, iż wszystkie te wykazy wymagają aktualizacji, ponieważ zmiana wskaźników bibliometrycznych czasopism, a także zmiany na rynku wydawniczym następują w bardzo szybkim tempie.

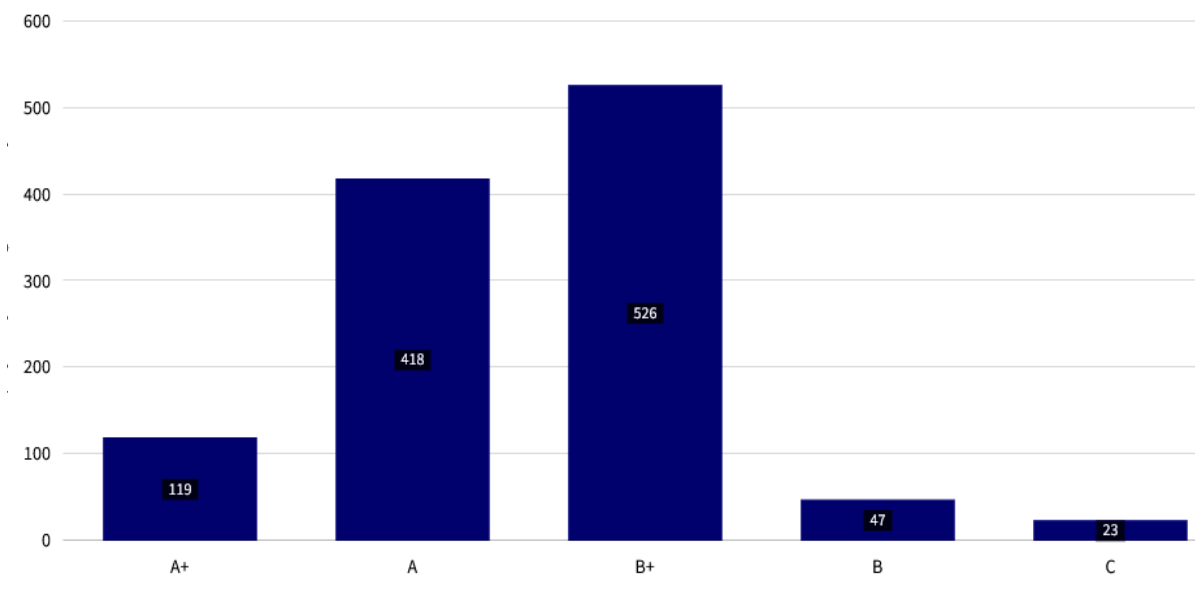
Ewaluacja i kategoryzacja podmiotów to wymagające i ambitne zadanie, ponieważ dotyczy większości jednostek naukowych w Polsce reprezentujących różne sektory: akademicki (uczelnie), naukowy (instytuty PAN, instytuty badawcze) oraz międzynarodowy (instytuty międzynarodowe). Pozycja Polski na arenie międzynarodowej w poszczególnych dyscyplinach nauki ma istotny wpływ na zestawy wartości referencyjnych dla kategorii B, B+ oraz A, a także na ocenę podmiotów ubiegających się o kategorię A+. Według bazy SJR (Scimago Journal & Country Rank), w latach 2017-2021 Polska miała generalnie 17-18 pozycję na 232-235 notowanych krajów, w odniesieniu

do liczby publikacji lub publikacji „cytowalnych”. To dobra pozycja, choć w poszczególnych dyscyplinach nauki zgodnych z polską klasyfikacją występowały różnice, które KEN uwzględniła w definicji wartości referencyjnych. Najlepsza dyscyplina nauki miała miejsce 17, a najłabsza miejsce 25. Jest więc pole do poprawy w nadchodzących latach. W przypadku kategorii A+, odniesienie do ośrodków referencyjnych reprezentujących zachodnioeuropejskie standardy badawcze, a także ocena przez ekspertów zagranicznych, również miały istotne znaczenie dla obiektywizacji procesu oceny. Porównujemy naukę uprawianą w Polsce ze standardami światowymi, co ma duże znaczenie dla wskazania wzorców, do których jako środowisko dążymy.

Wynik ewaluacji i kategoryzacji okazał się racjonalny. Uzyskane proporcje (KEN: po odwołaniach): 6,6% A+, 32,7% A, 47,7% B+, 10,2% B, 2,8% C, nie odbiegają nadmiernie od proporcji we wcześniejszych ewaluacjach. Przyznanie na tej podstawie uprawnień awansowych oraz subwencji było jak najbardziej uzasadnione.

W toczącej się dyskusji o ewaluacji nie należy zapominać o olbrzymim wysiłku i nakładach poniesionych na rzecz opracowania i zbudowania oraz wdrożenia systemu ewaluacji i kategoryzacji. Bardzo dobra współpraca pomiędzy Komisją Ewaluacji Nauki, Departamentem Nauki w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Ośrodkiem Przetwarzania Informacji, pozwoliła na przeprowadzenie w rekordowo krótkim czasie (5 miesięcy) skomplikowanej, wielokryterialnej oceny większości jednostek naukowych w kraju. Ocena była wynikiem intensywnych przygotowań, poczynając od marca 2019, kiedy powstała Komisja Ewaluacji Nauki pierwszej kadencji. Wszystkie składowe systemu działały sprawnie i skutecznie, a przeszkoleni eksperci w znakomitej większości wykonali zadanie w bardzo kompetentny sposób.

Na koniec może warto przytoczyć opinię jednego z ekspertów brytyjskiego REF (Research Excellence Framework), który uczestniczył jako ekspert zagraniczny w ocenie podmiotów ubiegających się o kategorię A+: „Polski system ewaluacji jest w wielu aspektach lepszy od brytyjskiego REF”. Nie ma idealnego modelu ewaluacji, każdy kraj zbudował swój własny system, który rozwija w sposób konsekwentny i ewolucyjny. Należy zatem dostrzec w polskim systemie wartość, którą zbudowaliśmy wysiłkiem wielu pokoleń naukowców (KBN, KEJN, KEN) i pracowników ministerstwa oraz OPI.



Liczba przyznanych kategorii naukowych w wyniku ewaluacji okresu 2017-2021 (Źródło: RADON, OPI-PIB)

Skąd czerpać wzorce?

Zagraniczne systemy eksperckiej ewaluacji jednostek

Komisja ds. Międzynarodowych Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego przygląda się systemom ewaluacji nauki w trzech krajach europejskich i zastanawiają się, czy i w jakim zakresie mogą one być wzorem dla polskiego modelu oceny osiągnięć naukowych. Artykuł powstał w wyniku dyskusji z zaproszonymi gośćmi prof. Aleksandrą Cisłak-Wójcik (USWSP) i prof. Błażem Skoczeniem (PKr). Tekst opracowali profesorowie Katarzyna Byrka (USWSP), Agnieszka Merkiż-Guranowska (PP), Jacek Witkoś (UAM).

Przebieg oraz efekty ewaluacji jednostek w latach 2017-2021 sprowokowały środowisko akademickie w Polsce do zastanawiania się nad celowością oceny w obecnej formie oraz kierunkiem koniecznych zmian. Wśród propozycji uzdrowienia systemu coraz częściej pojawiają się sugestie ewaluacji opartej wyłącznie na ocenie eksperckiej. Jest to rozwiązanie kosztowne i czasochłonne, ale od lat stosowane w niektórych krajach europejskich. Artykuł ma na celu podsumowanie najważniejszych aspektów systemów oceny nauki we Francji, w Wielkiej Brytanii i w Holandii oraz wyodrębnienie dobrych praktyk i rozwiązań, które mogłyby ewentualnie zostać wdrożone w Polsce.

Ewaluacja we Francji i Wielkiej Brytanii jest scentralizowana i organizowana odpowiednio przez Haut Conseil de l'Évaluation de la Recherche et de l'Enseignement Supérieur (HCERES) oraz w ramach Research Excellence Framework (REF) – związku czterech agencji finansujących badania w różnych krajach Wielkiej Brytanii, z których wiodąca to Research England. Model holenderski jest nieco odmienny – przedstawiciele ocenianych jednostek wypracowują wytyczne oraz procedurę ewaluacji, tzw. Strategy Evaluation Protocol (SEP). Jednak ocenę jednostki badawczej zleca rektor uczelni lub dyrektor instytutu badawczego, ponosząc odpowiedzialność za jakość oceny oraz koszty całego procesu. W założeniu ewaluacja przybiera formę dialogu pomiędzy interesariuszami.

We wszystkich wspomnianych krajach jednostki przygotowują raporty samooceny, które są ewaluowane przez międzynarodowe gremium ekspertów. Ich zadaniem jest krytyczna recenzja, ale również sformułowanie rekomendacji i rozwiązań, które mogą poprawić jakość prowadzonych badań. Wydaje się, że ten element jest niezwykle wartościowy w omawianych systemach. Z założenia proces ewaluacji powinien wpływać na jakość badań, ale również warunki, kulturę i otoczenie wspierające badania w ocenianych jednostkach. W Polsce stawia się nacisk na ranking, relatywną ocenę na skali od C do A+ i uszeregowanie jednostek. W ostatniej ewaluacji zaangażowano blisko 900 ekspertów, w tym niemal 50 ekspertów zagranicznych, którzy przeprowadzili ocenę jakościową. Jednak oceniane jednostki nie otrzymały rzeczywistej informacji zwrotnej poza rankingiem uczelni w danej dyscyplinie. Nawet w ramach obowiązującego systemu ewaluacji w Polsce, można byłoby wzmocnić rolę eksperckiej informacji zwrotnej i rozwinąć recenzje eksperckie o rekomendacje i sugestie zmian.

Po przeprowadzonych ewaluacjach francuska HCERES przygotowuje rekomendacje obejmujące całość badań prowadzonych w kraju

w podziale na dyscypliny oraz ogólne wskazujące na pozycję naukową Francji na świecie. Ma to niezwykle ważne znaczenie dla rozwoju polityki naukowej państwa. Taki jakościowy raport dotyczący stanu nauki w kraju mógłby powstać również w Polsce. Zestawienie rankingu uczelni nie daje wskazówek zmian i rozwoju.

Celem wprowadzenia eksperckiej ewaluacji jednostek we wspomnianych krajach było odejście od oceny parametrycznej i bibliometrycznej. W praktyce jednak eksperci biorą pod uwagę publikacje przy ocenie jednostki. Inaczej mówiąc, nie przyznaje się czasopismom punktów i konkretnych wartości, ale liczba i jakość publikacji jest niezwykle ważnym elementem całościowej oceny. W systemie francuskim, choć ocena ma charakter jakościowy, zgodnie ze standardami europejskimi ESG (Standards and Guidelines for Quality Assurance in the European Higher Education Area), twarde dane mają stanowić potwierdzenie tego, co jednostka deklaruje i służyć zobiektywizowaniu oceny.

Wskazując na szczegółowe, specyficzne elementy oceny warto zauważyć, że istotnym aspektem we wszystkich systemach jest odtwarzanie i odmładzanie kadry akademickiej. Np. w REF zwraca się uwagę na kryterium, jakim jest liczba doktoratów, a w Holandii na politykę kadrową, zwłaszcza dotyczącą młodej kadry. We Francji liczba doktoratów i habilitacji jest jednym z elementów oceny działalności naukowej, obok publikacji, patentów, wynalazków czy udziału w konferencjach. Biorąc pod uwagę, że instytucje naukowe w coraz mniejszym stopniu przyciągają młodą kadrę również w Polsce, można rozważyć ten aspekt oceny działalności uczelni.

We Francji obszary oceny różnią się w zależności od typu jednostki. Dla uczelni ewaluacja obejmuje: zarządzanie strategiczne i operacyjne (w tym strategię rozwoju oraz efektywność operacyjną i finansową), badania naukowe (analizę dorobku, transfer technologii i współpracę z otoczeniem) oraz politykę edukacyjną (ocenę jakości kształcenia i warunków studiowania). Dla instytutów badawczych kryteria obejmują pięć obszarów: strategię jednostki, politykę naukową (kierunki i jakość badań oraz międzynarodową pozycję jednostki), innowacje i wpływ badań na gospodarkę, współpracę z uczelniami i innymi ośrodkami naukowymi oraz efektywność jednostki (operacyjną i finansową).

W Holandii kryteria dla wszystkich jednostek są wystandaryzowane. Jednak eksperci dostosowują swoje oceny do charakteru działalności danej jednostki. Protokół SEP stawia nacisk na strategię i agendę wydatkowania budżetu. Jednym z trzech kryteriów, poza jakością badań i znaczeniem społecznym, jest tak zwana żywotność



jednostki (viability), rozumiana jako wykonalność założonych celów strategicznych i stabilność finansowa. Eksperti weryfikują, w jakim stopniu funkcjonowanie jednostki jest społecznie i ekonomicznie uzasadnione.

Ewaluacja jakości jednostek badawczych w Wielkiej Brytanii odbywa się rzadziej niż w Polsce, raz na siedem lat. Poza tym występuje sporo punktów zbieżnych. Ewaluacji dokonuje się w 34 jednostkach wspólnej oceny (odpowiednik dyscyplin w Polsce). Każde zgłoszenie zawiera standaryzowany zestaw informacji w odniesieniu do trzech elementów: wyniki (publikacje, waga: 60% oceny), konkretne rezultaty społeczno-ekonomiczne badań (waga: 25%) i otoczenie badawcze (waga: 15%). Otoczenie (infrastruktura) oznaczało elementy wspomagające badania i pozwalające na powstanie rezultatów. Jest oceniane według dwóch kryteriów: stabilności i samowystarczalności.

W trakcie REF 21 każda jednostka badawcza musiała zgłosić liczbę publikacji 2,5 razy większą od liczby pracowników mierzonej wg wskaźnika ekwiwalentu pełnego czasu pracy (FTE). Każdy pracownik badawczy zgłaszał co najmniej jedną publikację własnego autorstwa, a maksymalnie nie więcej niż pięć. Artykuły w czasopiśmie naukowych stanowiły aż 80,7% zgłoszonych publikacji. Zespoły oceny klasyfikowały publikacje w cztery kategorie, od wiodących w skali globalnej (4*), poprzez wybitne (3*), uznawane i odnotowane w skali międzynarodowej (2*), po publikacje o zasięgu lokalnym (1*). Co ciekawe, ponad 41% publikacji zostało uznanych przez zespoły ekspertów za wiodące i wybitne w skali światowej (4*), a 43% określono jako wybitne w skali międzynarodowej (3*).

Mimo że Francja, Wielka Brytania i Holandia prowadzą ewaluację działalności naukowej od lat, wciąż trwa debata nad udoskonaleniem procesu. Francja i Holandia rozważają rozwiązania, które będą miały charakter bardziej holistyczny, skupiający się na strategicznych kierunkach zamiast szczegółowej ocenie specyficznych kryteriów. Wzorem rozwiązania francuskiego w Holandii rozważa się całościową ocenę uczelni obejmującą naukę, dydaktykę i wpływ na otoczenie.

W Wielkiej Brytanii zarówno wyniki ewaluacji, jak i sam proces podlegają ścisłemu monitorowaniu. Np. po ewaluacji w roku 2021 (REF 21) interesariusze zwrócili uwagę na fakt, że nadmierne przywiązywanie uwagi do miernika w postaci publikacji przenosi ciężar zainteresowania na publikowanie w czasopiśmie o dużym czynnikiem wpływu. W podsumowaniu REF 21 wielu respondentów uznało, że format REF miał negatywny wpływ na nowatorstwo badań, ponie-

waż badacze skupiali się na tym, co jest bardziej odpowiednie dla uzyskania dobrego rezultatu w ewaluacji. Oznaczało to skupianie się na wynikach krótkoterminowych i publikacjach o wysokim współczynniku wpływu, zamiast na projektach długoterminowych lub badaniach interdyscyplinarnych.

Interesariusze we wspomnianych krajach zauważają, że ewaluacja wymaga bardzo dużego nakładu pracy związanego z przygotowaniem raportu samooceny. Również od ekspertów komisji ewaluacyjnych wymaga się obszernych prac przygotowawczych, intensywnych wizyt ewaluacyjnych, wspólnego raportu końcowego. We Francji planuje się rozbudowę możliwości zaciągania danych z systemów oraz uproszczenie procesu.

Zastanawiając się nad systemem ewaluacji w Polsce, trzeba odpowiedzieć nie tylko na pytanie, jak przeprowadzać ewaluację, ale także w jakim celu. Obecnie dominującą funkcją ewaluacji jest kategoryzacja jednostek naukowych, za którą idą uprawnienia awansowe i podział środków. Biorąc przykład z innych krajów europejskich, ewaluacja powinna pełnić funkcję prorozwojową, zarówno w odniesieniu do jednostek naukowych, jak i całych dyscyplin na poziomie krajowym. Eksperti oceniający III kryterium i całość dyscypliny mogliby formułować rekomendacje w odniesieniu do kierunków rozwoju, strategii, wpływu na otoczenie ocenianych jednostek. Ewaluacja mogłaby również służyć rozwojowi kadry akademickiej. Ocena szkół doktorskich w uczelniach i instytutach nie przekłada się na subwencję. A mogłaby stanowić element ewaluacji, wzorując się np. na holistycznym podejściu we Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii. W końcu podczas ewaluacji można byłoby ocenić i docenić, w jaki sposób wysoki poziom badań naukowych przekłada się na jakość kształcenia studentów. Na pewno dobrą praktyką możliwą do wprowadzenia w Polsce jest pełna transparentność i jawność procesu ewaluacji. Raporty oraz recenzje w innych krajach są powszechnie dostępne na stronach internetowych.



Skład Komisji ds. Międzynarodowych RGNiSW:

prof. Tomasz Bączek (GUMed), prof. Katarzyna Byrka (USWPS), prof. Andrzej Fal (UKSW), mgr inż. Paulina Góra (ZUT w Szczecinie), mgr Katarzyna Jedlińska (UJ), prof. Stanisław Kistryn (UJ), mgr Maciej Korab (UAFM), prof. Agnieszka Merksiz-Guranowska (PP), prof. Marek Szyndel (SGGW), prof. Jacek Witkoś (UAM), ks. prof. Wojciech Zyzak (UPJPII)

Jak to robią w Portugalii?

Prof. Leszek Kaczmarek, kierownik projektu BRAINCITY w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, dzieli się refleksjami z udziału w ocenie placówek naukowych w Portugalii, w której ostatnio brał udział.

Badacze z Portugalii, kraju nie bogatszego od Polski, mają w dorobku ponad 150 grantów ERC, a polscy mniej niż 100, choć jesteśmy krajem 3,5-krotnie ludniejszym. W Portugalii ocenie podlega niemal 400 jednostek naukowych, łącznie we wszystkich dziedzinach nauki. Ocenę przeprowadza Fundacja Nauki i Technologii (FCT), a jej rezultat ma wpływ na wysokość przyznawanej dotacji, podobnej do naszej subwencji. Ewaluacja jest przeprowadzana co 4-5 lat, podobnie jak w Polsce. Dokonują jej panele dziedzinowe, których jest

ponad 30. W ich skład wchodzi wyłącznie uczeni z zagranicy. Pracowałem w panelu „Biomedycyna”; było nas w nim ośmiu, a mieliśmy do oceny 9 placówek. Każdy z nas został wyznaczony do bycia głównym referentem jednej instytucji (jedna osoba miała dwie) i tzw. drugim referentem kilku innych.

W pierwszym etapie pracowaliśmy na dokumentach dostarczonych przez placówki. Była to najtrudniejsza strona naszych działań ze względu na nadmierną obfitość dokumentacji. Każdy z nas miał

za zadanie dokonać oceny punktowej (w skali 0-5) wszystkich placówek w trzech kategoriach: dorobku naukowego (kategoria A), potencjału badawczego (B) oraz planów na następne kilka lat (C). Dostaliśmy bardzo obfitą dokumentację od kilkudziesięciu do ponad 600 stron od poszczególnych instytucji - były to w zasadzie niezależne (wydzielone) jednostki naukowe uniwersytetów, trochę jak CeNT UW czy MCB UJ. Były one różnej wielkości: od kilkudziesięciu do ponad 1400 pracowników (łącznie: pracowników naukowych, pomocniczych i doktorantów).

W kryterium A mieliśmy za zadanie ocenić: Postęp wiedzy i wpływ na naukę, z odniesieniem do publikacji, patentów, modeli, prototypów, produktów lub wszelkich innych istotnych wskaźników badań i innowacji; Stopień internacjonalizacji i wspólnych wyników badań; Zaawansowane szkolenie badaczy, w tym studentów studiów magisterskich i doktoranckich oraz post-doków; Rozwój i konsolidację karier na różnych poziomach, w tym integrację badaczy na stałych stanowiskach, w szczególności doktorantów, post-doków oraz kierowników zespołów badawczych; Jakość warunków przyjmowania badaczy, takich jak plany mentoringu, działania na rzecz równości płci i inkluzyjności oraz uczciwe i przejrzyste mechanizmy oceny badaczy; Promocję i upowszechnianie badań naukowych i technologicznych, upowszechnianie wyników i działania mające na celu promowanie kultury naukowej, w tym organizację konferencji, kolokwiów i seminariów; Transfer wiedzy i technologii, w tym tworzenie spółek typu spin-off lub partnerstw przemysłowych; Dążenie do zapewnienia finansowania z różnych źródeł krajowych i międzynarodowych (np. ERC, finansowanie UE, regionalne i/lub inne od agencji finansujących); Ochronę i rozpowszechnianie wyników i danych badawczo-rozwojowych z poszanowaniem zasad i praktyk otwartej nauki; promocję kultury naukowej i technologicznej w społeczeństwie, działania o znaczeniu naukowym, technologicznym, kulturalnym, artystycznym, społecznym lub ekonomicznym dla społeczeństwa; istnienie polityki dostępu do danych naukowych.

W kryterium B należało ocenić: Dowody na międzynarodowe i krajowe uznanie zespołu badawczego; Dowody na korzyści dla społeczeństwa; Umiejętności i skład zespołu badawczego w celu odpowiedniego wykonania proponowanego programu; Zdolność do skutecznego ubiegania się o krajowe i międzynarodowe granty i kontrakty badawcze, w tym kontrakty z firmami, gdy ma to zastosowanie.

W kryterium C: Jakość, zasługi, trafność, wpływ, oryginalność/ różnicowanie i ambicję celów oraz ogólny proponowany program strategiczny na najbliższe 5 lat, w tym kwestie etyczne, o ile ma to zastosowanie, politykę Open Science, gender i otwartość dostępu do danych naukowych, budżet i wnioski o finansowanie programowe; Odpowiednie zarządzanie jednostką badawczo-rozwojową i struk-

turę organizacyjną, w tym komunikację naukową i działania informacyjne, politykę obywatelską, transfer technologii i ochronę własności intelektualnej; Plany zaawansowanych szkoleń, w szczególności warunki naukowe wspierające programy doktoranckie, udowadniające korzyści dla programu doktoranckiego, wynikające z bliskości działalności badawczej jednostki badawczo-rozwojowej; Odpowiednie zarządzanie zasobami ludzkimi, w tym opracowanie warunków przyciągania i zatrzymywania wykwalifikowanych zasobów ludzkich – chodzi o plany zatrudniania nowych badaczy; Strategię rozwoju kariery dla badaczy na wszystkich etapach ich kariery, w tym dla badaczy na umowach na czas określony.

Musieliśmy się zapoznać ze strategią jednostki badawczo-rozwojowej dotyczącą przeciwdziałania niepewności i integrowania badaczy na stałych stanowiskach zawodowych. W stosownych przypadkach mieliśmy się odnosić do wniosków w innych programach FCT.

Wszystkie trzy kryteria były brane pod uwagę na każdym etapie oceny.

Na drugim etapie spotkaliśmy się z każdą placówką w trybie zdalnym. W przypadku większych jednostek były to spotkania całonocne, a przypadku mniejszych - kilkugodzinne. Na każde spotkanie składały się rozmowy z poszczególnymi grupami pracowników: kierownictwem, doktorantami i post-dokami oraz samodzielnymi pracownikami nauki.

Trzeci etap polegał na wizytacji placówek. Spędziliśmy 5 dni w Portugalii, podróżując autobusem od Bragi, przez Porto, Coimbrę, Alveiro, Lizbonę (4 placówki), do Faro, spędzając 1,5-2

godz. w każdej placówce, oglądając laboratoria oraz ponownie spotykając się z wymienionymi powyżej grupami pracowników. W rezultacie przyznaliśmy każdej placówce punktację w każdej w wymienionych trzech kategorii – ostateczna wysokość dotacji publicznej wynika z tej oceny pomnożonej przez liczbę pracowników naukowych z doktoratem - oraz zaproponowaliśmy podział pewnej kwoty na działania projakościowe (tzw. finansowanie programowe).

Warto zwrócić uwagę, że w naszej ocenie nie obowiązywały żadne parametry, miała ona charakter peer-review, jakościowy. Co więcej, na dorobek publikacyjny placówki, który brany był pod uwagę, składało się tylko kilkanaście, najwyżej dwadzieścia parę najważniejszych publikacji.

Na koniec uwagi ogólne. W dobrych portugalskich placówkach dotacja od FCT to kilkanaście procent ogólnego budżetu. Wyraźnie więcej stanowią granty, zwłaszcza zagraniczne, w tym europejskie. Najlepsze placówki, wielkości naszych dużych instytutów PAN, mają po kilkanaście grantów ERC! Ocena panelu była bardzo spójna, bez większych problemów doszliśmy do konsensusu w przypadku każdej z placówek. Na koniec nasza ocena była wielowymiarowa, niezdominowana przez żaden z aspektów aktywności podlegających ocenie. Obyśmy taki model ewaluacji wprowadzili w Polsce.



Fot. Anna Mirgisz



Fot. Wikipedia

Recenzje w postępowaniach naukowych

Prof. Marian Gorynia z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, wiceprzewodniczący Rady Doskonałości Naukowej, przedstawia najważniejsze kwestie dotyczące recenzowania w postępowaniach awansowych.

Najważniejsze zagadnienia związane z przygotowaniem recenzji w postępowaniach naukowych to: rola i status recenzentów oraz ich opinii, opinie w postępowaniu w sprawie nadania stopnia doktora, doktora habilitowanego, tytułu profesora oraz opinie sporządzane na zlecenie w innych postępowaniach, zlecenie sporządzenia opinii oraz dobre praktyki dotyczące recenzowania.

Prawidłowe sporządzenie recenzji w postępowaniu o awans naukowy przez osobę, która posiada legitymację do pełnienia funkcji recenzenta w danym postępowaniu, jest jednym z podstawowych warunków zachowania i przestrzegania norm proceduralnych, pozwalających uznać dane postępowanie za przeprowadzone zgodnie z obowiązującymi przepisami, zawartą umową i obyczajami akademickimi. Ponadto autor recenzji zawsze powinien kierować się zasadami etyki pracownika naukowego, mając przede wszystkim na względzie rzetelność i uczciwość naukową.

Na stronie internetowej RDN w zakładce „Dobre praktyki” można zapoznać się zarówno z poradnikami dotyczącymi postępowania w sprawie nadania stopnia doktora habilitowanego, tytułu profesora, poradnikiem w dotyczącym recenzowania, jak również z przykładowym wzorem umowy z recenzentem na sporządzenie opinii w sprawie nadania stopnia doktora, doktora habilitowanego oraz tytułu profesora. W umowach tych uwzględnione zostały niezbędne wymogi, które – w opinii Rady – powinien określić zamawiający (np. wymogi formalne, możliwość zwrócenia się z prośbą o uzupełnienie opinii, jak również możliwość rozwiązania umowy z powodu nierzetelnego jej wykonania czy rażącego naruszenia terminu sporządzenia opinii).

Przepisy ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce precyzyjnie określają rolę, jaką przypisuje się recenzentom w postępowaniach o awans naukowy. W zależności od typu postępowania rola ta będzie kształtowała się nieco odmiennie. Niewątpliwie można natomiast wyróżnić pewne cechy wspólne, niezależne od rodzaju postępowania i trybu, które będą odnosiły się do roli recenzentów. Należą do nich: obiektywność, rzetelność, dokonywanie oceny zgodnie z najlepszą posiadaną wiedzą, poufność.

Na tej podstawie możliwe jest określenie pewnych dobrych praktyk związanych z pełnieniem roli recenzenta. Nie powinien on podejmować się zadania związanego z oceną wniosku lub sprawy, gdy wykracza to poza zakres jego naukowego doświadczenia i kompetencji. Powinien odmówić udziału w procesie oceny, gdy występuje konflikt interesów pomiędzy nim a stroną postępowania, w szczególności gdy: recenzent jest współautorem prac naukowych strony postępowania; uczestniczył lub uczestniczy wspólnie ze stroną postępowania w zespołach badawczych realizujących projekty finansowane w drodze konkursów krajowych lub zagranicznych; prowadził lub prowadzi wspólnie ze stroną postępowania prace naukowe w instytucjach naukowych; między recenzentem a stroną postępowania zachodzi stosunek nadrzędności służbowej; występują inne okoliczności określone w szczególności w art. 24 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego.

Recenzje powinny być kompletne, rzetelne, dokładne i obiektywne, a oceny odpowiednio uzasadnione. Nieuzasadnione recenzje pozytywne należy uznać za równie niewłaściwe, jak i nieuzasadnione recenzje negatywne. Recenzenci powinni zachowywać swoje opinie w poufności w stosunku do strony postępowania oraz podmiotów nieuczestniczących w danym postępowaniu o awans naukowy do czasu zakończenia tego postępowania.

Ponadto recenzent nie powinien pozostawiać ze stroną postępowania w takim stosunku prawnym, aby wynik sprawy mógł mieć wpływ na jego prawa lub obowiązki. Nie powinno się także oceniać dorobku

swego małżonka oraz krewnych i powinowatych do drugiego stopnia, a także osób związanych z tytułu przysposobienia, opieki lub kurateli. Nie należy podejmować się recenzowania, jeżeli wypowiedało się już w danej sprawie w ramach innego postępowania.

Kwestia wybitności osiągnięć naukowych kandydatów do tytułu profesora pojawiła się w regulacjach ustawowych po raz pierwszy w ustawie z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Do dziś interpretacja tego kryterium wzbudza wątpliwości. Po pierwsze, nie występuje formalna, ustawowa definicja wybitności. Nie jest to jednak sytuacja wyjątkowa, gdyż w ustawie występuje wiele określeń o podobnym charakterze, takich jak: znaczący dorobek naukowy lub artystyczny, znaczny wkład w roz-

wój dyscypliny, najwyższa jakość osiągnięć naukowych, oryginalne rozwiązanie problemu naukowego.

Po drugie, w takiej sytuacji mamy do czynienia z rozumieniem domyślnym, intuicyjnym i częściowo subiektywnym, które jest indywidualnym wyrazem odpowiedzialności każdego recenzenta. Jednocześnie należy mieć na uwadze, że przy interpretacji pojęć niezdefiniowanych ustawowo, należy przyjmować znaczenie, jakie pojęcia te mają w języku prawniczym, który w takiej sytuacji w pierwszej kolejności odwołuje się do wykładni językowej. W tym kontekście przez wybitne osiągnięcia, uwzględniając powszechne znaczenie słowa „wybitność”, należy rozumieć dorobek naukowy, który „wybija się ponad przeciętność” oraz jest „znaczny co do rozmiaru lub natężenia” (*Słownik Języka Polskiego PWN*, dostęp: 28.12.2024 r.). Podstawową dyrektywą oceny osiągnięcia naukowego jako wybitnego powinno być zatem kryterium merytoryczne.

Po trzecie, niektórzy recenzenci mają tendencję do unikania posługiwania się explicite terminem wybitności. Zamiast tego wolą stwierdzić spełnienie przesłanki ustawowej zawartej w określonym przepisie ustawy (art. 227, ustęp 1, punkt 1a). Praktyka taka zauważalna jest zwłaszcza w recenzjach niejednoznacznie pozytywnych.

Po czwarte, czasami podnoszona jest wątpliwość odnośnie do tego, czy wybitność dotyczy całości dorobku, czy tylko jego części oraz jak znaczący jest udział wybitnych osiągnięć w całości dorobku (w tym kontekście można mówić o wybitności całościowej versus wybitności częściowej albo sfragmentaryzowanej).

Po piąte, w obliczu braku ustawowej definicji wybitności niektórzy recenzenci podejmują się sformułowania własnych kryteriów wybitności i testują je przy ocenie dorobku. Wśród tych kryteriów znajdują się: nowość i oryginalność osiągniętych wyników badań, ogła-



szanie wyników badań w prestiżowych czasopismach, widoczny ślad uzyskanych wyników badań w literaturze głównego nurtu (cytowania), łączna liczba cytowań itp. Formułowanie podobnych kryteriów powinno pełnić co najwyżej rolę wspomagającą proces oceny, a bezwzględne wymaganie ich spełnienia byłoby sprzeczne z ustawą.

Istotną kwestią jest rola bibliometrii w sporządzaniu recenzji. Artykuły w czasopismach naukowych albo monografie same w sobie nie są osiągnięciami naukowymi, a tym bardziej wybitnymi osiągnięciami. Osiągnięciami takimi mogą być uzyskane i opisane w artykułach lub książkach wyniki badań i wyciągnięte na ich podstawie wnioski. Osiągnięcia te powinny wynikać z działalności naukowej kandydatów, a nie głównie współautorów ich publikacji.

O wartości naukowej osiągnięcia nie decydują wskaźniki bibliometryczne ani żadne inne parametry naukometryczne. Decyduje o niej treść publikacji opisującej uzyskane wyniki i wyciągnięte wnioski. Przy rozpatrywaniu wniosków o tytuł profesora kluczowa jest także rola osoby ubiegającej się o ten tytuł w powstaniu dzieł opisujących osiągnięcia. O wartości naukowej osiągnięcia nie decyduje miejsce jego opublikowania (czasopismo, wydawnictwo), ale treść pracy. RDN nie ma kompetencji ani żadnych zadań związanych z oceną czasopism i wydawnictw naukowych, zatem żadne współczynniki (typu Impact Factor, punkty MNiSW i inne) ani tytuł czasopisma czy nazwa wydawnictwa nie mogą być kluczowe przy ocenie wniosku awansowego.

Rada nie oczekuje od recenzentów analizy bibliometrycznej prac naukowych kandydatów ani punktowej oceny ich dorobku. Tego typu analiza nie wymaga żadnych kompetencji ani wiedzy w zakresie danej dyscypliny naukowej i mogłaby być dokonana przez dowolnego pracownika administracyjnego w Biurze RDN. Jest ona jednak bezużyteczna przy rozpatrywaniu wniosków o nadanie tytułu profesora.

Za to Rada oczekuje od recenzentów analizy merytorycznej osiągnięć naukowych kandydatów, zapoznania się z ich publikacjami i stwierdzenia, czy rezultaty ich aktywności naukowej wniosły istotny wkład do nauki, a ich osiągnięcia można określić jako wybitne. Każdy specjalista w danej dyscyplinie posiadający tytuł profesora powinien być zdolny do dokonania takiej oceny merytorycznej bez konieczności analizy bibliometrycznej.

Jednak niektóre wskaźniki bibliometryczne mogą być pomocne w ocenie osiągnięć kandydatów, np. wysoka liczba cytowań ich prac może (ale nie musi) świadczyć o ich rozpoznawalności w środowisku naukowym. Niemniej wskaźniki te powinny być traktowane z dużą ostrożnością oraz jedynie jako informacje pomocnicze o dorobku kandydatów, jednak nie decydujące o poparciu albo odmowie poparcia wniosku o tytuł profesora.

Przedstawione powyżej problemy zostały omówione w opracowaniach: *Recenzje w postępowaniach o awans naukowy. Poradnik*, który przygotowała i opublikowała Rada Doskonałości Naukowej, Warszawa 2022; *Dobre praktyki w procedurach recenzyjnych w nauce*, które zostały opracowane przez Zespół do spraw Etyki w Nauce przy MNiSW w latach 2009–2010; *Kodeks Etyki Pracownika Naukowego*, opracowany przez Komisję do spraw Etyki w Nauce, uchwalony przez Zgromadzenie Ogólne Polskiej Akademii Nauk 25 czerwca 2020 r. Są one dostępne na stronie Rady Doskonałości Naukowej www.rdn.gov.pl.

Nierówny tunel

Opublikowano właśnie projekt rozporządzenia określającego wielkości tzw. tunelu, czyli ograniczeń maksymalnego spadku lub wzrostu (rok do roku) wartości subwencji na utrzymanie potencjału dydaktycznego i badawczego dla instytucji szkolnictwa wyższego i nauki. To mechanizm, zgodnie z którym dany podmiot nie może otrzymać subwencji ani poniżej, ani powyżej progu określonego względem wartości z poprzedniego roku. Wysokość widełek każdego roku określa minister nauki w rozporządzeniu. W tym roku po raz pierwszy wartości zostały zróżnicowane w zależności od typu instytucji naukowej.

W ubiegłym roku „tunel” miał rozpiętość od 100 do 106%. Oznacza to, że żadna instytucja naukowa, niezależnie od tego, jaką subwencję wyliczono na podstawie algorytmu, nie mogła dostać poniżej 100% subwencji za rok 2023, ale też powyżej 106%, o ile algorytm wskazał wartość przekraczającą 106% subwencji z roku 2023.

Zgodnie z najnowszym projektem rozporządzenia, w przypadku dziesięciu laureatów programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza pojemność „tunelu” pozostanie bez zmian, czyli wyniesie 100–106% wysokości subwencji z roku ubiegłego. Dla pozostałych uczelni publicznych dolna granica wyniesie 100%, a górna 105%, co oznacza ograniczenie wzrostu subwencji o punkt procentowy w stosunku do wartości z ubiegłego roku. Ministerstwo Nauki specjalnie potraktowanie laureatów programu IDUB uzasadnia następująco: „Z uwagi na fakt, że [uczelnie IDUB] tworzą grono wiodących polskich uczelni, działalność których jest ukierunkowana na modernizację i integrację z globalnym systemem szkolnictwa wyższego i nauki, uznano za

zasadne zastosowanie górnej wartości tunelu 106% (jak w roku poprzednim, a nie 105%) w celu wsparcia tych uczelni, które osiągają najwyższe parametry w swojej działalności dydaktycznej i badawczej”.

Subwencja instytutu PAN i instytutu międzynarodowego nie będzie mogła być niższa niż 100% i wyższa niż 110% (w 2024 r. widełki wyniosły od 100 do 106%). Dla nowo utworzonych instytutów, nie posiadających jeszcze kategorii naukowej w żadnej z dyscyplin naukowych lub artystycznych, bądź tych, które mają kategorię C, górną granicę ustalono na poziomie nie wyższym niż 100% subwencji (dolnej granicy nie ustalono). Natomiast do niepublicznych uczelni akademickich oraz instytutów badawczych stanowiących grupę podmiotów nienależących do sektora finansów publicznych, podobnie jak w roku 2024, zastosowano wartości graniczne 95–110%. Ministerstwo większą rozpiętość widełek uzasadnia tym, że dla niepublicznych uczelni akademickich oraz instytutów badawczych spoza sektora publicznego subwencja na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego nie stanowi głównego źródła finansowania ich działalności (w przeciwieństwie do jednostek sektora finansów publicznych), a jedynie ma na celu dofinansowanie działalności badawczej, w szczególności kształcenia doktorantów w szkołach doktorskich i prowadzenia badań naukowych.

Do podziału w formie subwencji na rok 2025 MNiSW dysponuje kwotą 22 mld 305 mln zł. Oznacza to, że w porównaniu z rokiem 2024 rośnie ona o ponad 4,4 mld zł, czyli o 24,8%.

MK

Papiernie i etyka naukowa.

Glosy

Prof. Jakub Z. Lichański, literaturoznawca z Uniwersytetu Warszawskiego, były dyrektor Biblioteki Narodowej, członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, jeden z twórców Polskiego Towarzystwa Retorycznego, proponuje, aby instytucje naukowe włączyły do swojego dorobku także publikacje emerytowanych pracowników.

Od kilku tygodni z łam czasopism nie schodzi temat tzw. papierni oraz etyki naukowej. Sądzę, że problem dotyczy czterech różnych kwestii. Pierwsza to zagadnienie nieuczciwości, więcej: nierzetelności recenzentów w postępowaniach o stopnie i tytuł (znam takie wypadki), a także rad naukowych, gdy zastanawiają się one, jak – delikatnie mówiąc – ominąć problem wskazany w recenzji (znam sytuacje, które kończą się pretensją do recenzenta, że taką nierzetelność wskazał).

Druga kwestia to konieczność odejścia od anonimowości recenzentów w postępowaniach grantowych czy ocenach artykułów. Gdy mam uwagi krytyczne, zawsze sugeruję, żeby osobie ocenianej podać moje „namiary”, bowiem negatywna ocena może wynikać z jakiegoś mojego błędu w spojrzeniu na pracę albo niejasno sformułowanej uwagi, a cała rzecz polega na zwykłym nieporozumieniu. W wypadku grantów sprawa jest o tyle istotna, że osoba oceniająca może po prostu nie znać dorobku ocenianej osoby albo nie w pełni rozumieć zakres badań, jaki jest w projekcie proponowany.

Trzecia sprawa dotyczy wycofania artykułu skierowanego do publikacji. Taka sytuacja źle świadczy o redakcji czasopisma bądź wydawcy (gdy chodzi o artykuł składany do tomu zbiorowego). Zdara się, że wycofanie tekstu wynika np. z oceny recenzenta, którego zdaniem autor kwestionuje opinię uznanego autorytetu, który może być wyłącznie chwalony.

Ostatnia, czwarta kwestia dotyczy pisania na zamówienie i podpisywania innym nazwiskiem, tzw. papiernia lub raczej tzw. ghostwriting, który, jeśli chce się zarejestrować pismo w renomowanej bazie, musi zostać jednoznacznie, na stronie www czasopisma, odrzucony. Jest to zatem przestępstwo, za które można wytoczyć autorowi proces, co w konsekwencji może prowadzić do utraty stopnia bądź tytułu naukowego, zwolnienia z pracy itp.

Rzecz sprowadza się do kompetencji i rzetelności recenzentów (a także redaktorów czasopism bądź tomów zbiorowych). Problem może częściowo rozwiązać propozycja, aby artykuł proponowany do publikacji szedł najpierw do tzw. preprintów. Taką możliwość oferuje część czasopism i wydawców, a także m.in. organizatorów konferencji. Wtedy podajemy się ocenie środowiska naukowego i dopiero po uzyskaniu aprobaty możemy rozważać naniesienie poprawek i ewentualną publikację.

Pojawia się jednak inny problem, a mianowicie: czy redakcja, wydawca lub organizator konferencji może sobie pozwolić na publikację preprintów, co generuje koszty utrzymania strony www publikującej takowe, która musi być w Open Access. Sądzę, że tego typu koszty mogłyby być w Polsce finansowane przez Ministerstwo Nauki i per saldo nie byłyby wysokie. Korzyści natomiast byłyby obojętne: dla autora i zatrudniającej go instytucji i dla redakcji, a także dla MNiSW, bowiem wszyscy zainteresowani mieliby bezpośredni wgląd w teksty i ich obiektywną ocenę ze strony środowiska naukowego (w zależności od języka – narodowego lub międzynarodowego).

Pojawiła się ostatnio propozycja, aby NCBR przeznaczyło 100 milionów złotych (z Funduszy Europejskich) na podnoszenie kompetencji i kwalifikacji uczelnianej kadry w konkursie „Dokonałość dydaktyczna”. Środki te raczej warto byłoby, w jakiej części, przeznaczyć na zbudowanie kolejnej bazy preprintów

dla nauk humanistycznych (dla nauk biologicznych oraz matematyczno-fizycznych takie bazy istnieją i Polska w nich uczestniczy). Mogłaby ona być związana np. z BazHum. Potencjalni autorzy mieliby wybór: albo dają swój tekst do preprintów i czekają na głosy środowiska, albo składają w redakcji. Może być i tak, że redakcje, w wyniku wstępnej oceny, same sugerują autorowi publikację w postaci preprintu.

Cały problem, poza zwykłą nieuczciwością części osób, wynika także z faktu nadmiernych obciążeń kadry dydaktycznej obowiązkami administracyjnymi oraz „pogonią za punktami”. Tymczasem jest spora grupa badaczy niezwiązanych z instytucjami (w tym emerytów, którym się jeszcze chce pracować), których dorobek naukowy nie jest przez uczelnie wykorzystany. Trzeba by ich ponownie wciągnąć w skład pracowników uczelni, a ich dorobek punktowy kwitować grantami uczelnianymi bądź umowami o dzieło. Mogliby oni prowadzić także bardzo ważne, a niewdzięczne zajęcia typu nauki pomocnicze historii, językoznawstwa, literaturoznawstwa itp., gdzie potrzebne jest doświadczenie także we współpracy z wydawnictwami, zarówno polskimi, jak i obcymi.

I to by było na tyle – jak mawiał śp. „profesor mniemanologii stosowanej” Jan Tadeusz Stanisławski.



Jak zabić wolność naukowca

Dr hab. Piotr Pawlak, profesor Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, kierownik Katedry Genetyki i Podstaw Hodowli Zwierząt, posługując się kulinarną metaforą zbiorowego żywienia, marzy o zmianie paradygmatu uprawiania nauki.

Ten tytuł mógłby wybrzmieć na kilka sposobów: „jak zabić wolność nauki”, „jak ustawą zabić wolność naukowca”, „kiedy nauka była wolna” itd. Nigdy jednak nie powinien (i oby tak się nie stało), brzmieć: „jak nauka zabija wolność”. Zawód naukowca nieodłącznie kojarzy się z wolnością, bo tylko otwarte umysły, a więc wolne, będą sięgały znacznie szerzej, dalej, głębiej i wyżej. Tytuł brzmi jak przepis z modnych we wszystkich środowiskach przekazu – instastories, wallach, threadsach i tiktokach – contentów kulinarnych. Tym razem przepis wydaje się raczej mało kuszący, z założenia nieapetyczny i nieudany. Ale zdaje się, że zaczynamy żyć w takiej rzeczywistości, gdy codzienność naukowca coraz częściej kojarzy się z pracą na akord niż wolnym (nie mylić z powolnym), koncepcyjnym, twórczym procesem odkrywania, tworzenia, poznania. I to jest ważny, państwowy problem, a nie odgrzewany kotlet.

Przejdźmy jednak do kuchni naukowej. Potrzeba było parę lat, by głośno mówić o tym, jak zapisy ustaw sprowadzą pracę naukowca do szybkiej produkcji wyników w miejsce kompleksowego przedstawiania osiągnięć. W codziennej dyskusji najczęściej wybrzmiewa wątek finansowy, który będzie ważny dla „A+” rektorów, „A” dziekanów, „B+” przewodniczących rad dyscyplin, „B” kierowników i „C” dyrektorów. Przy dramatycznym niedofinansowaniu nauki, w silnie rozwijającym się państwie, ostatecznie wątek finansowania badań naukowych będzie jednak równie ważny dla każdego uczonego chcącego pracować na najnowszym sprzęcie, najnowszych odczynnikach, dużych danych czy w dużych grupach badawczych. Spada zatem na nich olbrzymi stres. Wynika on przede wszystkim z naturalnej chęci starania się o granty, które pozyskać jest trudno ze względu na zamrożony budżet i przez to niski wskaźnik sukcesu w najważniejszej krajowej agencji grantowej. Kilkanaście lat temu, wrażenie robił projekt za pół miliona złotych, dziś nikogo nie dziwi grant w tej samej dyscyplinie za dwa miliony. Gdy projektu nie ma, cały czas nie znika konieczność publikowania, jak nie prac oryginalnych, to przeglądowych, jak nie przeglądowych to jakichkolwiek: popularnonaukowych, branżowych, udowadniających pomost nauki i badań z biznesem, społeczeństwem itp., itd. Za 200, 140, 100 pkt, o innych lepiej nie myśleć, mimo że nad listą czasopism punktowanych chyba tylko płakać można, bo śmieszna ona niestety nie jest, dokładnie jak tytuł tego felietonu.

Istotą istnienia uniwersytetu jest aktywny badacz, który kształci studentów w oparciu o swoje doświadczenie. Dziś środowi-

ska naukowe strzela gola do własnej bramki, gdy zmuszone ustawami i koniecznością udowodnienia władzom publicznym (Ministerstwu Nauki) jak dobrą jest jednostką, uniwersytetem, instytutem, publikuje szybko i niestety często byle gdzie. Ale system jest przecież nieubłagany, a instytucje naukowe potrzebują napęlić sakiewkę. Bo potrzeba punktów, bo doktoraty trzeba skończyć, bo szybkie recenzje, bo tanio. Przy skali publikowania artykułów w drogiej czasopiśmie martwi mnie, jak kolejne pokolenia naukowców rozpoznają, który artykuł wnosi cokolwiek merytorycznego. Coraz trudniej przekopać się przez bazy danych, aby nie filtrując wyszukiwania, uniknąć setek niepotrzebnych tytułów, na które wydano, ze zniżką czy bez, setki tysięcy lub milionów złotych. Podczas jednego z seminariów magisterskich studenci chyba sami zauważyli zaskoczenie na mojej twarzy, gdy przypadkowo wpisane jedno z haseł genetycznych w bazie PubMed wskazało wśród pierwszych 100 rekordów blisko 50% artykułów opublikowanych w czasopiśmie z tzw. listy drapieżników.

Pomimo wszystko, żeby nie było aż tak pesymistycznie, widać po wielu reformach w ciągu ostatnich lat, że nauka ma się nieźle, a naukowcy potrafią odnaleźć się w każdym systemie. Po co jednak gotować tę żabę? Może czas postawić na system stworzony przez naukowców, którzy czują ducha nauki, a nie ministrów. Przez naukowców, dla naukowców i dla nauki. Ten zawód przeważnie wiąże się z olbrzymią samoświadomością, motywacją, wewnętrzną chęcią eksploracji. Ale to właśnie wolność naukowca, poczucie komfortu i spełnienia napędzi kolejne osiągnięcia. Truizmem jest twierdzenie, że praca naukowa wiąże się z chęcią i gotowością publikowania wyników, które możemy tracić, jeśli ktoś trzyma nad nami stoper. Mobilizacja i motywacja, by ktoś nas z publikacją nie uprzedził, to zupełnie co innego niż rozczłonkowanie wyników i publikowanie bez odpowiedzi na piętrzące się pytania. Kto kupi przepis na szarlotkę bez jabłek?

Może nie bez powodu, acz podświadomie, kuchnia zakradła się do tego artykułu. Dajmy naukowcom robić ich robotę, nie odciągajmy od niej ich uwagi zadaniami administracyjnymi i ewaluacyjnymi słupkami. Zamiast tego poszukajmy rozwiązań umożliwiających współistnienie świetnej nauki i inspirującego uniwersytetu, a więc tworzenia dobrych warunków pracy dla naukowców i dydaktyków. Szefom kuchni oddajemy chętnie zawartość lodówki. Gwiazdki Michelina już są. Niekoniecznie w restauracjach, gdzie trzeba wydać 400 dań dziennie.



@forumakademickie.bsky.social



@ForumAkademickie



@ForumAkad

Nagrody naukowe

W roku 2015 Uniwersytet Łódzki, ustanowił Nagrodę im. Tadeusza Kotarbińskiego za wybitne dzieło z zakresu humanistyki. To była pierwsza nagroda naukowa nie tylko o dużym prestiżu, ale i o wysokiej wartości finansowej, przyznawana przez pojedynczą uczelnię. W roku 2021 Politechnika Wrocławska ustanowiła Europejską Nagrodę im. Stanisława Lema, tym razem nagrodę międzynarodową za badania naukowe, które mogą pozytywnie wpłynąć na przyszłość naszej cywilizacji, a uprawiane są w państwach europejskich.

Piotr Kieraciński

Lem mógłby być patronem uczelni

Prof. dr hab. inż. Arkadiusz Wójs, rektor Politechniki Wrocławskiej, mówi skąd się wzięła Europejska Nagroda im. Stanisława Lema (Lem Prize) i jakie ma znaczenie dla uczelni, która ją ustanowiła.

Gdy zostałem rektorem Politechniki Wrocławskiej postawiłem sobie za cel zwiększenie ekspozycji uczelni na kontakty międzynarodowe. Pracując kilka lat za granicą, w Wielkiej Brytanii, USA czy Kanadzie, zauważyłem, że istnieje pewna asymetria w traktowaniu naukowców z Polski i z krajów Zachodu. To myśmy jeździli do nich na staże i stypendia, konferencje, publikowali w zachodnich czasopiśmie i dostawali zachodnie nagrody naukowe. Natomiast nie było ruchu w drugą stronę. Wydawało mi się jednak, że już jesteśmy na tyle rozwinięci, że powinniśmy zacząć doceniać doskonałość u innych, a nie tylko czekać, aż ktoś doceni i nagrodzi nas. Wyrazem tego jest pomysł ustanowienia nagrody naukowej dla badacza europejskiego. Naukowcy z PWr w ogóle są wykluczeni z tej nagrody. Kapituła nagrody jest międzynarodowa, z przewagą jurorów zagranicznych. Wybieramy wybitnego europejskiego młodego naukowca za to, że zrobił coś znakomitego. Kolejny istotny element jest taki, że ten wybitny naukowiec musi do nas przyjechać i spędzić u nas trochę czasu, na przykład dwa tygodnie. Spotkać się z naszymi młodymi naukowcami, żeby porozmawiali o tym, czym się zajmują, bo może z tego wynikać jakaś współpraca, pojawią się jakieś inspiracje?

Oczywiście nie fundujemy nagrody z własnych pieniędzy. Znajdujemy sponsorów na pokrycie kosztów samej nagrody, jak i tych związanych z jej przyznaniem, a łącznie to jest sporo ponad sto tysięcy złotych rocznie. Politechnika byłaby w stanie zafundować nagrodę, ale przy okazji chcemy zrealizować kilka innych celów. Uczelnia ma być otwarta na otoczenie, wykonując prace naukowe i kształcąc na rzecz gospodarki, ale także ma być pomostem między nauką europejską a naszymi firmami. Nagrodę sponsoruje pięć firm: Zakłady Chemiczne PCC Rokita, poprzez swoją fundację PKO Bank Polski, KGHM, Impel i Bergman Engineering. Dzięki temu ich logo jest związane z wybitną nauką europejską.

W tej nagrodzie chodzi nam o kilka rzeczy: o młodość, o wybitność, o to, żebyśmy nauczyli się być na równi z najlepszymi, gdyż nasze aspiracje są europejskie, a nie zaściankowe. Wreszcie sam Stanisław Lem. Nagrodę ustanowiliśmy w setną rocznicę jego urodzin. Lem jest doktorem honoris causa Politechniki Wrocławskiej, ale jest też idealnym patronem dla nowoczesnej uczelni ze względu na wizjonersko-technologiczne podejście do świata oraz widoczne w jego twórczości zatroskanie o wpływ rozwoju technologii na kondycję człowieka i świata. Myśmy uczynili ze Stanisława Lema patrona strategii Politechniki Wrocławskiej; cytat z Lema jest również jej mottem. Mamy

też na uczelni pomnik z twarzą Lema. Jakby nie patrzeć, on jest bardziej znany na świecie niż nasza uczelnia.

W kapitule Nagrody im. Stanisława Lema jest sześć osób z politechniki: troje to reprezentujący różne dyscypliny i zmieniający się co roku profesorowie obdarzeni godnością „Magnusa”, kolejna trójka to młodzi badacze wybrani z grona 48 członków Akademii luvenum. Większość stanowią wybitni badacze zagraniczni, a jej przewodniczącym jest prof. Maciej Lewenstein, wybitny fizyk pracujący od lat w Hiszpanii. Honorowym członkiem kapituły jest Tomasz Lem, syn pisarza.



Dotychczas przyznaliśmy cztery nagrody. Każdego roku otrzymał ją specjalista z nieco innego obszaru badań. Pierwszym laureatem Lem Prize został prof. Randall J. Platt z ETH w Zürichu, ekspert w dziedzinie inżynierii genetycznej. W roku 2022 statuetkę odebrał prof. Samuel Stranks z Uniwersytetu w Cambridge, specjalista w dziedzinie optoelektroniki, a w 2023 dr Ido Kaminer, fizyk doświadczalny z Technion (Izrael). W 2024 kapituła wybrała dr. Tobiasa Dornheima, fizyka teoretycznego z Helmholtz-Zentrum Dresden-Rossendorf. Natomiast nominacji jest zawsze między 20 a nieco ponad 30 i w tej grupie reprezentowani są przedstawiciele wielu różnych dziedzin nauki. Zawsze jest kilka wniosków z Polski, ale na razie żaden się nie przebił. Pierwszy raz w 2024 roku wniosek z Polski został oceniony bardzo wysoko na tle aplikacji zagranicznych i dlatego kapituła zdecydowała się wystąpić o wyróżnienie. Jego laureatem został chemik, dr hab. inż. Krzysztof K. Fic, prof. Politechniki Poznańskiej. Laureaci Lem Prize, choć są jeszcze tak młodzi, mogą się pochwalić imponującymi osiągnięciami i dorobkiem, których mogą im pozazdrościć także nasi najbardziej doświadczeni badacze.

Od aplikujących nie wymagamy, żeby przedstawili cały swój dorobek, ale trzy najważniejsze publikacje z ostatnich dwóch lat, a zatem chodzi nam tylko o wyniki najlepsze i aktualne, a nie jakieś dawne. To nagroda za jedno odkrycie, a nie za całą dotychczasową karierę. Odkrycie zwykle zawiera się w jednej publikacji, a czasami w serii dwóch-trzech prac. Dotychczas były to w zasadzie same artykuły w „Nature” bądź „Science”.

W tym roku konkurs o Nagrodę Naukową im. Stanisława Lema ogłosimy po raz piąty. Ufam, że laureatem zostanie również wybitny młody badacz lub badaczka, co w poprzednich czterech latach.

Notował Piotr Kieraciński

Chcemy wyjść z pokoi, w których piszemy książki

Prof. Rafał Matera, rektor Uniwersytetu Łódzkiego, mówi o roli Nagrody im. Tadeusza Kotarbińskiego w promowaniu wartości humanistycznych.

Nagroda im. Profesora Tadeusza Kotarbińskiego przyznawana jest przez nasz uniwersytet od 2015 roku, a w roku 2024 została przyznana po raz dziesiąty. Nie zrobiliśmy przerwy na pandemię, choć wręcz nie nagrody nie miało wtedy tak uroczystego charakteru, jak zwykle.

Prof. Tadeusz Kotarbiński był wybitnym filozofem i logikiem, wielkim humanistą oraz pierwszym rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, a zatem jak najbardziej zasługuje na to, by patronować nagrodzie za osiągnięcia w dziedzinie nauk humanistycznych. Wypada przypomnieć, że inicjatorem tej nagrody był ówczesny kanclerz UŁ Rafał Majda, który namówił do tego przedsięwzięcia rektora, prof. Włodzimierza Nykiela. Stało się to przy okazji jubileuszu 70-lecia Uniwersytetu Łódzkiego. Tę tradycję kontynuowali kolejni rektorzy, profesorowie Antoni Różalski, który jest biologiem, i Elżbieta Żądzińska, antropolożka biologiczna. Proszę też zauważyć, że nasz uniwersytet jest najbardziej humanistyczny z klasycznych uniwersytetów. Nie mamy części medycznej, a nauki ścisłe i przyrodnicze stanowią mniejszość, zarówno jeśli chodzi o liczbę pracowników, jak też studentów. To dyscypliny humanistyczne i społeczne dźwierzą u nas palmę pierwszeństwa. Zatem nagroda promująca, wbrew nazwie, nie tylko humanistykę, ale również nauki społeczne jest jak najbardziej na miejscu w naszym uniwersytecie.

Twórcy Nagrody Kotarbińskiego chcieli, żeby miała ona zarówno znaczący wymiar naukowy, jak i finansowy. W 2015 roku 50 tysięcy złotych to była spora suma. Właśnie ogłosiliśmy nabór książek do XI edycji konkursu, jest to 70 tys. zł na dalsze badania naukowe. Doceniamy również książki nominowane, bo ich wartość poznawcza jest ogromna, a czasami wskazanie z ich grona laureata jest naprawdę trudne. Decyzją Kapituły wyróżnienia i nagrody w wysokości 5 tys. zł otrzymają także pozostali finaliści konkursu.

Uniwersytet stać na to, żeby tę nagrodę ufundować, ale mamy sponsorów, firmy, których szefowie to ludzie światli, rozumiejący znaczenie humanistyki, a może także współpracy z uniwersytetem, a w końcu – czytający książki. Oni chętnie sięgają po nagrodzone prace i lubią z nami o nich rozmawiać. Głównym partnerem nagrody w minionych X edycjach była firma Amcor, ale są też inni sponsorzy.

Spośród 70-80 prac co roku przysyłanych przez wydawnictwa lub uniwersytety wybieramy pięć, które nominujemy do nagrody. Jest o to w gronie ekspertów dość zażarta batalia. Podobnie jak później przy wyborze laureata – tak naprawdę nagradzamy badaczy za książki, a nie same książki. To też humanistyczny rys tej nagrody. W kapitule mieliśmy dotąd sporą przewagę mężczyzn. Właśnie poszerzyliśmy jej skład o dwie znakomite naukowczynie: prof. Małgorzatę Sugierę z Katedry Performatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz prof. Krynę Pietrych, literaturoznawczynię i krytyczkę z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Począwszy od XI edycji konkursu pożegnaliśmy natomiast ks. prof. Andrzeja Szołka, zasiadającego w kapitule od początku powołania nagrody. Serdecznie dziękuję księdzu profesorowi za jego dotychczasowy wkład w rozwój nagrody,

dystans, humor i krytyczne, choć zawsze podnoszące na duchu opinie. Powołaliśmy również funkcję rzeczniczki naukowej nagrody, którą objęła prof. Katarzyna de Lazari-Radek, filozofka i etyczka z UŁ.

Każdy członek kapituły dostaje kilka z nadesłanych na konkurs książek i spośród nich wskazuje jedną lub dwie, jego zdaniem godne nominacji czy po prostu nagrody. Potem cała kapituła dyskutuje o tym, które z nich nominujemy, przekonujemy się wzajemnie.

Można powiedzieć, że każdego roku jest jakaś niespodzianka, bo to albo historia sztuki, jak w roku ubiegłym, albo antropologia, jak kilka lat temu, czy jak dwa lata temu bardzo mocna interdyscyplinarna książka Jakuba Gałęziowskiego o dzieciach urodzonych z powodu wojny.

Nagroda ma być promocją humanistyki. Chcieliśmy się z pracami nominowanymi, a zwłaszcza książką laureata, przebić poza ścisłe grono specjalistów, wyjść z pokoi, w których piszemy książki co prawda opatrzone silnym aparatem naukowym, ale poruszające na tyle ważne tematy, że mogą zainteresować większą część społeczeństwa.

W ciągu 10 lat do konkursu zgłoszono ponad 620 książek ze 145 ośrodków naukowych i wydawnictw. Nominowaliśmy do nagrody autorów 50 z nich, a 10 naukowców zostało laureatami.

Myszę, że bez konkursu o Nagrodę Kotarbińskiego te książki mogłyby nie zostać zauważone poza wąskimi kręgami badaczy z danej specjalności. To jest zatem także promocja autorów. Wiem o dwóch, którzy przeznaczyci nagrody na cele charytatywne, co stanowi niezwykłą wartość, z uznaniem patrzmy na takie wydarzenia.

Może warto wspomnieć o szczególnej roli książki w humanistyce, w badaniach humanistycznych. Monografia to nie tylko zapis wyniku badań naukowych, ale także świadectwo dojrzałości intelektualnej autora. W dobie agresywnej ekspansji artykułu wysiłek włożony w spisanie wyników badań i własnych refleksji na temat pracy jest szczególnie cenny. Ratuje w nas człowieczeństwo, jest w jakimś sensie istotą humanistyki. W tym kontekście nagradzanie tego rodzaju aktywności jest szczególnie ważne. Nie chodzi bowiem autorom o kontekst ewaluacyjny, ale o głębszą refleksję nad problemami, które badają. Książki, które trafiają na konkurs, przekraczają ramy pracy awansowej, nawet jeśli wyrastają z doktoratów czy habilitacji, i na tym właśnie polega ich wartość. Ręce same składają się do okłasków, że jeszcze są autorzy, którzy potrafią przekroczyć ramy walki o naukowy byt i spojrzeć na przedmiot swoich badań z głębokiej, ludzkiej perspektywy.

Pamiętajmy, że obok Nagrody Kotarbińskiego jest także Kolegium Refleksji Humanistycznej. Co roku dotychczasowi nominowani i laureaci nagrody są zapraszani na uniwersytet, by dyskutować o sprawach ważnych nie tylko dla świata akademickiego, ale dla całego społeczeństwa. Zadajemy pytania, jaka jest rola wspólnoty akademickiej, co możemy dać społeczeństwu, co oznacza bycie humanistą dzisiaj, jaka jest rola humanistyki w dobie rozwoju sztucznej inteligencji?

Mamy już naprawdę świetną drużynę.

Notował Piotr Kieraciński

Rozmowa z prof. Piotrem Tryjanowskim, ornitologiem i biologiem środowiskowym z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Naukowiec z lornetką

O poważnej ornitologii i lekcjach, jakie dają nam ptaki

Jak znajdują drogę na zimowiska oddalone o tysiące kilometrów? Czemu jedne gatunki migrują, a inne zostają? Ptaki nie tylko same w sobie są fascynujące, one wręcz prowokują do refleksji i badań. Jak więc obok nich przejść obojętnie?

Dlaczego ptaki to fascynujący temat?

Nie ma drugiej grupy zwierząt, która tak konsekwentnie przyciągałaby uwagę ludzi od zarania dziejów. Są wszędzie: w mitologiach, religiach, sztuce, i to w każdej epoce. Od prehistorycznych malowideł naskalnych, przez hieroglify w piramidach egipskich, aż po pejzaże Chełmońskiego i... dzisiejsze graffiti, nie zawsze najwyższych lotów. Ale to nie tylko kwestia symboliki i estetyki. Ptaki są po prostu niezwykle widowiskowe. W przeciwieństwie do większości ssaków są aktywne w dzień, widzimy je wokół siebie, a nie ukrywają się gdzieś w norach czy w gęstwinach. A do tego śpiewają. I to jak! Nie przypadkiem muzycy inspirowali się ptakami od wieków: od Vivaldiego, przez Messiaena, aż po Beatlesów. W końcu, kto by się nie zachwycił skomplikowanym śpiewem słowika czy melodyjną gwizdaną wilgi? A jeśli do tego dodamy, że ptaki potrafią tańczyć – nie tylko w przenośni – to mamy gotowy przepis na fascynację. Wystarczy spojrzeć na toki żurawi, paradne tańce rajszych ptaków czy widowiskowe ruchy bekasów w powietrzu. A już albatrosy i ich rytuały godowe to mistrzostwo choreografii. Do tego wszystkiego dochodzi ich zdolność latania, coś, czego my, jako gatunek, który musiał wynaleźć samoloty, aby wzbic się w powietrze, od zawsze im zazdrościliśmy. I wreszcie ich tajemnicze wędrówki. Skąd wiedzą, dokąd lecieć? Jak znajdują drogę na zimowiska oddalone o tysiące kilometrów? Czemu jedne gatunki migrują, a inne zostają? Ptaki nie tylko same w sobie są fascynujące, one wręcz prowokują do refleksji i badań. Jak więc obok nich przejść obojętnie?

Kiedy i od czego zaczęło się pańskie zainteresowanie ptakami?

Przyroda fascynowała mnie chyba od zawsze, ale ptaki stały się moim głównym obiektem zainteresowania mniej więcej gdy byłem w wieku 12-13 lat. Pamiętam nawet swój pierwszy zapis w notesie ornitologicznym: 19 kwietnia 1983 roku. Kluczową rolę odegrali dwaj szkolni koledzy, Piotr Potworowski i Krzysztof Mączkowski, którzy wciągnęli mnie w obserwacje ornitologiczne właśnie. Co ciekawe, nie pociągało mnie poszukiwanie rzadkich gatunków, od początku interesowały mnie ptaki

krajobrazu rolniczego, ich ekologia, zachowanie i wpływ działalności człowieka na ich populacje.

Czy badanie ptaków to tylko wędrówki po lasach i łąkach?

Oj widzę, że to wciąż popularny obraz ornitologa: lornetka, notes, aparat. I rzeczywiście, terenowe obserwacje są kluczowe, bo żeby dobrze badać ptaki, trzeba je znać i rozumieć. Ale współczesna ornitologia to także skomplikowane analizy statystyczne, modelowanie populacji, telemetryczne śledzenie migracji czy genetyka. To przede wszystkim teren jest naszym laboratorium, ale jak to w labie, metodyka badań musi być precyzyjna i powtarzalna. Z drugiej strony, dla mnie osobiście wyjście w teren to także sposób na dbanie o kondycję – fizyczną i psychiczną. Nie ma lepszej terapii niż kontakt z przyrodą.

Co nam mówią ptaki? O czym nas informują?

Przed wszystkim ptaki są doskonałymi bioindykatorami. Można powiedzieć, że to „żywe sensory” zmian zachodzących w środowisku. Obserwując ich liczebność, zachowanie czy trasy migracji, otrzymujemy niezwykle cenne dane o stanie ekosystemów, zmianach klimatycznych i skutkach działalności człowieka. Przykładowo: gwałtowny spadek liczebności ptaków krajobrazu rolniczego – takich jak skowronek czy potrzuszc – to sygnał, że intensyfikacja rolnictwa i stosowanie pestycydów negatywnie wpływają na bioróżnorodność. Z kolei ptaki morskie zdradzają nam, ile plastiku trafia do oceanów, a ptaki miejskie pokazują, jak bardzo nasze miasta nadają się (lub nie) do życia, i to nie tylko dla nich, ale i dla nas. Ptaki pomagają także badać wpływ hałasu, zanieczyszczeń powietrza czy sztucznego oświetlenia. W miastach można zaobserwować, jak zmieniają godziny śpiewu w odpowiedzi na światła uliczne i natężenie ruchu. Nawet ich śpiew daje nam wskazówki, na przykład skomplikowane pieśni słowików czy sikor mogą sygnalizować ich dobrą kondycję, ale gdy środowisko się pogarsza, repertuar dźwiękowy się upraszcza.

Ale ptaki to nie tylko wskaźniki środowiskowe, ich biologia coraz częściej inspiruje badania o znacznie szerszym znaczeniu. Coraz bardziej fascynują mnie ptaki jako modele zwierzęce, które w niektórych dziedzinach stają się lepszą alternatywą

dla tradycyjnych zwierząt laboratoryjnych, takich jak myszy czy szczury. Szczególnie obiecujące są badania nad pamięcią i procesami starzenia się. Ptaki, zwłaszcza krukowate i papugi, wykazują zadziwiające zdolności poznawcze, a niektóre gatunki, jak albatrosy, starzeją się w sposób, który może dostarczyć cennych wskazówek dla badań nad długowiecznością. Przekornie powiem, że to dobrze wyjaśnia, skąd u mnie pojawiło się zainteresowanie tą tematyką (śmiej).

Ornitologia to praca indywidualna czy zespołowa?

Zdecydowanie zespołowa. Ostatni samodzielny artykuł opublikowałem zaraz po doktoracie. Od tego czasu zawsze pracuję w grupie. Współczesna nauka wymaga współpracy: ktoś opracowuje koncepcję, ktoś zbiera dane, ktoś inny analizuje wyniki, jeszcze ktoś odpowiada za interpretację czy pisanie publikacji. Każdy wnosi coś innego, a badania są tak skomplikowane, że nie sposób ogarnąć ich w pojedynkę. Ornitologia może nie osiągnęła jeszcze skali współautorstwa znanej z badań medycznych czy fizyki jądrowej, gdzie w jednym artykule może być kilkadziesiąt nazwisk, ale kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu autorów w jednej pracy nikogo już nie dziwi. Co więcej, sama nauka to już nie tylko zbieranie danych i formułowanie hipotez, ale także umiejętność organizacji środków i zarządzania zespołem. Trzeba zdobyć finansowanie, zaplanować logistykę badań terenowych, skoordynować analizy laboratoryjne i komputerowe – bez dobrej organizacji można się w tym łatwo pogubić. Choć... jak patrzę na stada ptaków, zwłaszcza wielotysięczne kluźce czy murmuracje szpaków, to zastanawiam się, jak one to robią. Żadnych szefów, żadnych grantów, a i tak latają w doskonałej synchronizacji.

Jak dużą rolę odgrywają amatorzy w badaniach nad ptakami?

Ogromną. Obserwacje ptaków są na tyle powszechne i fascynujące, że wielu ludzi niezwiązanych zawodowo z nauką prowadzi bardzo cenne rejestry. Dzięki amatorom wiemy np. jak zmieniają się migracje, jak różne gatunki reagują na zmiany klimatyczne czy jak rzadkie ptaki pojawiają się w nietypowych miejscach. Nie przypadkiem na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu prowadzimy kurs Ornitologia i birdwatching, żeby podkreślić różnice między naukowym podejściem, a hobbyistycznymi obserwacjami, ale też wskazać obszary współpracy. Zresztą, to mówię publicznie pierwszy raz, od dawna myślę o napisaniu książki „Zaproszenie do ornitologii” – nie podręcznika, nie „wprowadzenia”, tylko właśnie zaproszenia. Chciałbym, żeby każdy, kto interesuje się ptakami, mógł „krakać ich językiem”, czyli przynajmniej spróbować zrozumieć, co się dzieje w świecie ornitologii. A przy okazji, żeby mógł u cioci na imieninach opowiedzieć o ptakach tak, by wszyscy chcieli słuchać, a może nawet ktoś poczęstował go dobrą sałatką i lampką wina.

Wspomniał pan o skowronkach i potrzaszczach. Krajobraz rolniczy, który pana interesuje, ogromnie zmienił się w ostatnich latach: wielkość pól, rodzaje upraw i technologie rolnicze. Jak to wpłynęło na gatunki związane z tego typu środowiskiem?

Zmiany w krajobrazie rolniczym w ostatnich dekadach – powiększanie pól, intensyfikacja upraw, stosowanie środków ochrony roślin i mechanizacja – wpłynęły na ptaki w sposób najczęściej negatywny, choć nie tak jednoznaczny. Większość gatunków, takich jak wspomniany skowronek, traci na tych przemianach, ale niektóre, jak potrzaszcz, radzą sobie lepiej. Skowronek wymaga mozaikowego krajobrazu, z niską roślinnością w okresie lęgowym i łatwym dostępem do owadów. Roz-



Fot. Marta K. Nowak

Prof. dr hab. **Piotr Tryjanowski** (ur. 1970) jest jednym z najczęściej cytowanych polskich biologów. Kieruje Katedrą Zoologii na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu, obecnie jest także profesorem wizytującym w Instytucie Studiów Zaawansowanych IAS TUM w Monachium. Bada ptaki krajobrazu rolnego, faunę miast, przede wszystkim zaś interakcję zwierząt i ludzi. Pracował w projektach Międzyrządowego Panelu ds. zmian Klimatu (IPCC) i Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN). Odbył staże postdoktorskie w Izraelu, Wielkiej Brytanii i Czechach. Wykładał na uniwersytetach w 12 krajach. Należy do Academia Europaea. Otrzymał doktorat honoris causa Czech University of Life Sciences. Wypromował 12 doktorów w kraju i za granicą; część z nich jest już po habilitacjach, a jeden uzyskał tytuł profesorski. Opublikował 20 książek i ponad 400 artykułów naukowych w najlepszych czasopismach o międzynarodowym zasięgu. Jest współautorem książki *Ornitologia terapeutyczna* oraz kilkunastu prac o faunie i florze miast, ale także o tym, jak kontakt z przyrodą wpływa na pracę mózgu i ogólny dobrostan. W wolnych chwilach uwielbia obserwować ptaki, pić dobre morawskie wina, jeść sery i zachwycać się beczaniem owiec.

ległe monokultury, rzadkie ugory i wzrost chemizacji rolnictwa sprawiają, że jego siedliska są coraz mniej odpowiednie. Potrzaszcz natomiast korzysta na przesuszonych otwartych przestrzeniach, w tym na polach obsianych kukurydzą i rzepakiem, gdzie może znaleźć pokarm w postaci nasion chwastów czy resztek poźniwnych. Jego liczebność nawet wzrasta, choć nadal podlega lokalnym wahaniom.

Współczesne rolnictwo to nie tylko większe pola i intensyfikacja upraw – zmiany sięgają głębiej, wpływając na samą strukturę ekosystemów wiejskich. Nawet to, jakie odmiany zbóż uprawiamy, ma znaczenie. Dzisiejsza pszenica jest twardsza niż dawniej, a kukurydza ma większe nasiona – zmiany te mogą wpływać na dostępność pokarmu dla ptaków. Uprawy pod folią, które z roku na rok zajmują coraz większe powierzchnie, całkowicie eliminują siedliska dla wielu gatunków. Do tego dochodzi gwałtowna modernizacja wsi – zamykanie zwierząt gospodarskich w budynkach, co oznacza mniej resztek pokar-

mowych, mniej owadów, a w rezultacie mniej ptaków, które kiedyś żerowały w obejsiach. Pojawienie się farm fotowoltaicznych to kolejny temat. Z jednej strony zajmują miejsce dawnych użytków zielonych, z drugiej mogą tworzyć nowe mikrośrodowiska, np. chroniąc glebę przed nadmiernym wysychaniem i dając schronienie niektórym gatunkom. Jak zwykle w przyrodzie – nie ma jednoznacznych odpowiedzi, ale zmiany są ogromne i wymagają badań.

Skowronek i potrzęsacz to klasyczne przykłady ptaków otwartego krajobrazu rolniczego, ale dzierzba gąsiorek podchodzi do tego środowiska zupełnie inaczej. To gatunek, który łączy w swoim życiu różne elementy mozaiki rolniczej – potrzebuje zarówno terenów otwartych, jak i kęp krzewów i zadrzewień, w których zakłada gniazda i poluje. Nie pasuje do żadnej skrajności – nie odnajdzie się ani w zbyt intensywnym rolnictwie, gdzie krzewy są usuwane, ani w terenach całkowicie porzuconych przez rolnictwo, gdzie sukcesja leśna stopniowo eliminuje otwarte przestrzenie. Pod względem behawioralnym – podobnie jak wszystkie dzierzby – gąsiorek to fascynujący ptak. Poluje jak drapieżnik – jego strategia łowiecka przypomina metody sokołów czy jastrzębi, ale dodatkowo ma w zanadrzu pewien unikalny trik: magazynowanie ofiar. Gąsiorki nabijają złapane owady i małe kręgowce na ciernie lub drut kolczasty, tworząc swoiste „spizarnie” na gorsze czasy. To jedno z najbardziej intrygujących zachowań w świecie ptaków i temat wielu moich badań.

Pamiętam konferencję w Lublinie poświęconą ptakom i wiatrakom, czyli tematowi wciąż ważnemu i kontrowersyjnemu. Doszło wtedy do spotkania naukowców, ornitologów amatorów i urzędników, zajmujących się energetyką wiatrową. Proszę powiedzieć więcej o tym problemie.

Temat farm wiatrowych i ich wpływu na ptaki wciąż budzi emocje. Pamiętam oczywiście konferencję w Lublinie – oj, stare, dobre czasy! – gdzie ścierały się różne punkty widzenia: naukowców, inwestorów i miłośników przyrody. Od tamtej pory technologia poszła naprzód, a my mamy lepsze dane o rzeczywistych skutkach oddziaływania turbin. Z jednej strony farmy wiatrowe mogą powodować kolizje ptaków, zwłaszcza dużych, wolno latających gatunków, jak bieliki. Z drugiej strony są pewnie lepszą alternatywą dla energetyki węglowej, której skutki środowiskowe są znacznie poważniejsze. Jestem na tyle wiewkowo zaawansowany, że naprawdę pamiętam trudną sytuację Gór Izerskich. Nie ma bowiem energetyki bez wpływu na przyrodę: od prostego zbierania chrustu, poprzez wycinanie lasów na biomasę, przez emisję CO₂, po ryzyka związane z energetyką jądrową. W kontekście zadanego pytania – kluczowe jest odpowiednie planowanie: unikanie budowy farm na trasach migracyjnych i stosowanie systemów detekcji, które mogą ograniczać kolizje. Co do roli amatorów w tej dyskusji, ich pasja jest bezcenna, ale zdecydowanie brakuje im pełnego obrazu problemu, dlatego warto, aby ochrona ptaków i rozwój odnawialnej energii szły w parze, zamiast stawać naprzeciwko siebie w niepotrzebnym konflikcie.

Wspomniał pan o tajemniczości ptasich migracji. Zapewne także w poznaniu tego zjawiska pomocne mogą być nie tylko nowoczesne metody i techniki, ale także współpraca z amatorami – choćby przy obrączkowaniu – jak i współpraca międzynarodowa?

Badania ptasich migracji przeszły rewolucję. Kiedyś obserwacje przelotu, później obrączkowanie były jedynymi metodami ich śledzenia, dziś mamy GPS, telemetryczne nadajniki satelitarne, analizy izotopowe i inne nowoczesne techniki. Obrączkowanie nadal jest istotne, ale jego znaczenie zmie-

niło się, teraz pozwala raczej na identyfikację długoterminowych trendów niż śledzenie pojedynczych osobników. Po co badać migracje? Po pierwsze, to nadal jeden z największych cudów natury. Chcemy zrozumieć, jak ptaki odnajdują drogę, dlaczego wybierają konkretne trasy i co decyduje o ich sukcesie. Po drugie, migracje odzwierciedlają stan środowiska – analizując je, widzimy wpływ zmian klimatu, dostępność pokarmu i zmiany siedlisk. Po trzecie, lepsze poznanie tras migracyjnych może pomóc w skuteczniejszej ochronie ptaków, np. poprzez tworzenie sieci obszarów chronionych na kluczowych przystankach migracyjnych. No i wreszcie ich poznanie pozwala unikać kolizji z lotnictwem czy wspomnianymi turbinami wiatrowymi. Oczywiście współpraca międzynarodowa i zaangażowanie amatorów pozostają kluczowe, nie da się badać migracji ptaków, zamykając się w jednym kraju czy instytucji. Wspólnymi siłami możemy rozwikłać kolejne tajemnice skrzydlatych podróżników.

Określa się pan jako biolog środowiskowy, nie ma takiej dyscypliny jak ornitologia – i nigdy nie było. Kim właściwie są zawodowi badacze ptaków?

Ornitolog to naukowiec zajmujący się jedną, konkretną grupą zwierząt – ptakami. W świecie nauki to dość niezwykle, bo większość dziedzin koncentruje się na szerokich obszarach – ekologia, zoologia, biologia ewolucyjna – a nie na jednej, wyodrębnionej gromadzie organizmów. A jednak, ornitologia, wbrew biurokratycznym podziałom, od lat funkcjonuje jako odrębna dyscyplina – i to nie tylko w tradycji akademickiej, ale także w najbardziej prestiżowych bazach danych, takich jak *Web of Science*. Wielu badaczy z innych dziedzin nauki zazdrości ornitologii tej wyraźnej odrębności i silnej pozycji w świecie nauki. Co ciekawe, choć większość ornitologów kończy biologię, to nie jest to jedyna droga. Wśród specjalistów zajmujących się ptakami są także absolwenci leśnictwa, zootechniki, weterynarii czy ochrony środowiska. Każda z tych ścieżek wnosi do ornitologii inne spojrzenie – leśnicy patrzą przez pryzmat gospodarki leśnej, zootechnicy i weterynarze koncentrują się na zdrowiu i fizjologii ptaków, a ekolodzy analizują ich rolę w ekosystemach. To wszystko sprawia, że ornitologia jest bardziej interdyscyplinarna, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Oczywiście niektórzy trzymają się sztywnych ram i biurokratycznych definicji, ale czy warto? Lepiej samemu określić, czym się zajmujemy, i nie bać się wychodzić poza schematy. Ornitologia to nie tylko badania, ale i pasja, która łączy profesjonalistów i amatorów, akademików i miłośników ptaków. To nauka, która żyje – dosłownie i w przenośni – i której rozwój zależy od ludzi, którzy mają odwagę myśleć szerzej.

Ptaki się Panu nie znudziły?

Podobno moja fascynacja ptakami jest niemal dziecięca, przynajmniej tak twierdzą najbliżsi, choć nie zawsze widzą w tym same pozytywne. Ale szczerze? Naprawdę nie wyobrażam sobie wypalenia zawodowego. Każdego ranka budzę się z głową pełną pomysłów, a lista pytań badawczych zdaje się nie mieć końca. Ornitologia to dziedzina, która nie pozwala na nudę, co chwilę pojawiają się nowe technologie, odkrycia, metody analizy, a każdy nowy wynik rodzi kolejne pytania. Przecież ktoś te nowe projekty musi realizować. A jeśli chodzi o plany? Mam ich mnóstwo, zarówno badawczych, jak i popularyzatorskich. Kolejne badania, kolejne wyzwania organizacyjne, bo ptaki nie czekają. Latają, śpiewają, migrują. A my, jako badacze, możemy tylko próbować nadążyć.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Katarzyna Wojczulanis-Jakubas

Koordinacja działań rodzicielskich u ptaków

Projekt ACORD

Różne modele teoretyczne, ale też i empiryczne badania pokazują, że przyjmując konflikt płci jako punkt odniesienia, wspólny wysiłek obojga płci w układach dwurodzicielskiej opieki jest efektem wypracowanej ewolucyjnie strategii każdego z rodziców, gdzie ich indywidualny wkład jest zależny od wkładu partnera. W praktyce oznacza to, że oboje partnerzy powinni monitorować nawzajem swoje wysiłki rodzicielskie i angażować się w opiekę tak długo jak „ustalony porządek rzeczy” nie zostanie naruszony.

Każdy ornitolog, czy to amator, czy profesjonalista, zapytany o ptaki będzie podkreślał ich wyjątkowość. Jakkolwiek ta opinia nie byłaby subiektywna, patrząc na system opieki rodzicielskiej, można jednak powiedzieć, że ptaki są rzeczywiście wyjątkowe. Zdecydowana większość gatunków ptaków realizuje dwurodzicielską opiekę, podczas gdy powszechnie wśród zwierząt, jeśli w ogóle występuje opieka nad potomstwem, to jest ona realizowana przez jednego rodzica. Nic więc dziwnego, że badania dotyczące ewolucji systemów dwurodzicielskich często opierają się na ptakach.

Ponieważ opieka nad potomstwem (u ptaków) wiąże się ze znacznymi inwestycjami czasu i energii ze strony rodziców, a samiec i samica mają inny potencjał reprodukcyjny, zaangażowanie każdej z płci w opiekę jest często postrzegane w kontekście konfliktu płci, napędzanego przez dobór płciowy. W tym kontekście, patrząc tylko przez pryzmat liczby produkowanych przez każdą z płci gamet, samiec ma wyższy potencjał reprodukcyjny niż samica, a więc powinien maksymalizować swoje dostosowanie poprzez kojarzenie się z kolejnymi samicami; jego zaangażowanie w opiekę będzie odbywać się kosztem redukcji tego potencjału rozrodczego. Dla samicy produkującej znacznie mniejszą liczbę gamet, dobór płciowy będzie faworyzował zaangażowanie w opiekę nad potomstwem, bo jest ona znakomitym sposobem na podniesienie dostosowania samicy (lepszym niż kojarzenie się z kolejnymi samcami), ale nadmierne zaangażowanie w opiekę może to dostosowanie obniżyć. Taka sytuacja generuje konflikt między partnerami rozrodczymi – kto i jak bardzo powinien się zaangażować w opiekę nad potomstwem. Kolkwalnie rzecz ujmując, samiec powinien angażować się w opiekę „niechętnie”, bardziej rozglądając się za okazją do zapłodnienia kolejnych samic, samica zaś powinna skłaniać się do opieki, ale też „uważać”, aby nie zostać wykorzystaną w tej interakcji.

Założenia o konflikcie płci generują wiele pytań dotyczących ewolucyjnej stabilności układów rodzicielskich. Niemniej dla wielu gatunków (nie tylko ptaków) taka interpretacja znajduje uzasadnienie. Różne modele teoretyczne, ale też i empiryczne badania pokazują, że przyjmując konflikt płci jako punkt odniesienia, wspólny wysiłek obojga płci w układach dwurodzicielskiej opieki jest efektem wypracowanej ewolucyjnie strategii każdego z rodziców, gdzie ich indywidualny wkład jest zależny od wkładu partnera. W praktyce oznacza to, że oboje partnerzy powinni monitorować nawzajem swoje wysiłki rodzicielskie i angażować się w opiekę tak długo jak „ustalony porządek rzeczy” nie zostanie naruszony. Dobrą ilustracją tej sytuacji może być zachowanie pospolitych sikor (bogatek), gdzie samiec i samica wykonują karmienia piskląt naprzemiennie, tj. raz gniazdo odwiedza samiec, raz samica itd. (Johnstone, R. A., A. Manica, A. L. Fayet, M. C. Stoddard, M. A. Rodriguez-Gironés, and C. A. Hinde (2014). *Reciprocity and conditional cooperation between great tit parents*. „Behavioral Ecology” 25:216–222.) Jeśli jednak w pewnym momencie z jakiś przyczyn jedna z płci wstrzymuje karmienie, dajmy na to samica, wtedy samiec odpowiada na takie zachowanie wydłużeniem czasu dostawy kolejnej porcji pokarmu do gniazda, niejako „czekając” na to, co zrobi dalej samica. Tak więc partnerzy obserwują się nawzajem, a w sytuacji potencjalnego nadużycia reagują odpowiednio. Takie postępowanie rodziców może oczywiście odbijać się negatywnie na ich sukcesie rozrodczym, ale też dzięki temu każde z nich będzie unikać sytuacji, w której ich wkład mógłby być „zakwestionowany” przez drugą stronę.

Istnieje szereg gatunków i sytuacji, gdzie konflikt płci w opiece rodzicielskiej nie jest jednak tak oczywisty, tj. podstawowe różnice w potencjale rozrodczym samca i samicy przestają mieć znaczenie. W trudnych warunkach środowiskowych,



Fot. Karolina Wojczulan - jakubas

gdzie wychowanie piskląt wymaga pełnego zaangażowania obu rodziców, dobór naturalny będzie silniejszy niż dobór płciowy, faworyzując osobniki, które silnie angażują się w opiekę, bo takie będą miały najwyższe dostosowanie. Względnie niedawno w ekologii ewolucyjnej i behawioralnej pojawił się pewien trend interpretacyjny dla opieki rodzicielskiej, w którym interakcja rodziców postrzegana jest w perspektywie ich współpracy. W tym kontekście obaj partnerzy działają w taki sposób, aby zapewnić jak najwyższy wspólny sukces rozrodczy. To nie tylko w sposób oczywisty pozytywnie wpływa na kondycję potomstwa, ale też każdego z rodziców, a to z kolei stabilizuje więź pomiędzy partnerami, co samo w sobie może być dodatkowo korzystne. Na przykład w sytuacji, gdy warunki środowiskowe są tak trudne/specyficzne, że odpowiednia opieka rodzicielska nie tylko jest kwestią ilości dostarczonego pokarmu, ale też sposobu, w jaki ta dostawa jest realizowana, partnerzy, którzy ze sobą realnie współpracują, mogą lepiej dostosować swoje rodzicielskie zachowanie. Dobrą ilustracją są tu kapturki (Leniowski, K., and E. Węgrzyn (2018). *Synchronisation of parental behaviours reduces the risk of nest predation in a socially monogamous passerine bird*. „Scientific Reports”: 1–9), gdzie samiec i samica dostarczające pisklątom pokarm pojawiają się przy gnieździe w tym samym czasie. Synchroniczne pojawienie się obojga rodziców redukuje ogólną liczbę wizyt przy gnieździe, co z kolei zmniejsza ryzyko wykrycia gniazda przez ewentualne drapieżniki.

Przy badaniu kwestii współpracy rodziców ciekawym i całkiem sensownym podejściem jest analiza wzajemnej koordynacji działań rodzicielskich. Rosnąca liczba badań pokazuje, że ptasi rodzice rzeczywiście potrafią koordynować swoje działania względem siebie, czy to w okresie inkubacji, czy wychowu piskląt. Jeśli rozważyć dla przykładu wizyty każdego z rodziców z pokarmem w gnieździe, mogą się one układać naprzemiennie lub synchronicznie. Czy taka koordynacja jest przejawem konfliktu płci (jak to zostało zilustrowane z pomocą sikory bogatki), czy też współpracy (patrz wspomniana kapturka) stanowi wyzwanie badawcze.

Jednym z celów projektu ACORD, który niedawno otrzymał finansowanie Narodowego Centrum Nauki, jest kompleksowa analiza różnych form koordynacji działań rodzicielskich obserwowanych u rozmaitych gatunków ptaków z odniesieniem do cech historii życia danego gatunku (długość życia, czas trwania więzi par, wskaźnik ojcostwa poza parą, wiel-

kość lęgu) i ekologii jego rozrodu (dostępność pożywienia, presja drapieżnicza). W każdej pracy publikowanej na temat koordynacji zachowań rodzicielskich u ptaków określone wzorce zachowań są interpretowane przez autorów w odniesieniu do biologii i ekologii określonego gatunku. Te interpretacje, w świetle istniejącej wiedzy o gatunku, są jak najbardziej prawidłowe, ale patrząc na pojedyncze gatunki, trudno formułować bardziej ogólne wnioski dotyczące zachowań ptasich rodziców. U jednego gatunku będziemy mieli do czynienia z synchronizacją rodzicielskich wizyt z pokarmem, tak jak u przywoływanej wyżej kapturki, ale u innego gatunku, taka synchronizacja nie będzie widoczna (tu przykładem może być trzcinniczek, gatunek

całkiem podobny do kapturki w sensie biologii lęgowej, ale najwyraźniej na tyle różny, że synchronizacja wizyt w gnieździe nie została u niego stwierdzona). Co jest wyjątkiem, a co regułą, stanie się jasne, jeśli dostępne badania zostaną przeanalizowane łącznie. Tak więc w projekcie ACORD planuje się meta-analityczne podejście, które pomoże wskazać czynniki decydujące o konkretnym wzorcu zachowań koordynacyjnych, a to z kolei pomoże w interpretacji wpływu doboru płciowego i naturalnego na zachowania rodzicielskie. Zakłada się tutaj bowiem, że jeśli wzorec koordynacji rodzicielskiej (synchronizacja/naprzemiennosc/lub inne) czy też jej poziom u danego gatunku jest związany z jego cechami historii życia i/lub warunkami ekologicznymi, w których funkcjonuje, to jest to efekt adaptacji gatunku.

Niezależnie od gatunku, analizując zachowania koordynacyjne rodziców, można dostrzec, że różne pary wykazują różny stopień tej koordynacji. W standardowym podejściu analitycznym takie różnicowanie jest swojego rodzaju szumem, który się po prostu ignoruje. Jest to słuszne podejście, gdy badamy określone kwestie danego zachowania i nie mamy dostępu do wszystkich możliwych zmiennych wpływających na to zachowanie. Na przykład, gdy chcemy zobaczyć, czy natężenie synchronizacji wizyt rodziców z pokarmem w gnieździe zmienia się wraz z zaawansowaniem wieku piskląt, ważna jest średnia wartość indeksu synchronizacji w danym momencie życia piskląt, a zmienność poszczególnych par co najwyżej określa stopień ufności dla oszacowania tej średniej. Niemniej ta zmienność sama w sobie jest interesująca, bo silnie sugeruje, że koordynacja działań rodzicielskich może być związana z pewną charakterystyką partnerów. Badanie przyczyn tej zmienności może pomóc w zrozumieniu czynników wpływających na zachowanie rodziców na poziomie osobniczym, rzucając w ten sposób również światło na mechanizmy rządzące określonym zachowaniem.

Ponieważ kwestia koordynacji zachowań rodzicielskich jest względnie nowa, istniejące badania skupiają się przede wszystkim na jej zbadaniu na ogólnopopulacyjnym poziomie. W pracach naukowych po pierwsze stwierdza się, że koordynacja zachowań nie jest losowa, a potem, że zmienia się jej natężenie na określonych etapach sezonu lęgowego, czy też w określonych warunkach środowiskowych. Kwestie różnicowania poziomu koordynacji między parami są tylko sygnalizowane w niektórych pracach, lub niemo przedstawiane na wykre-

sach w postaci szerokich rozstępów kwartalowych, gdyby to określać statystycznie. Istnieje zatem potrzeba podjęcia skonkretyzowanych działań badawczych, nastawionych na analizę przyczyn różnicowania międzyosobniczego w realizowanych zachowaniach rodzicielskich. W takim układzie rzeczy najlepszym podejściem jest analiza konkretnego przypadku. W tym celu wybiera się gatunek, który w jakimś sensie jest reprezentatywny/modelowy i bada się poziom koordynacji rodzicielskiej reprezentowany przez poszczególne pary, dociekając przyczyn tego różnicowania.

W projekcie ACORD dodatkowym celem badawczym jest rozpoznanie mechanizmów regulujących działania koordynacyjne rodziców na poziomie osobniczym, gdzie gatunkiem modelowym jest alczyk. Wybór gatunku nie jest przypadkowy, co więcej – stanowi pewien atut projektu. Większość prac badawczych dotyczących koordynacji zachowań rodzicielskich oparta jest na gatunkach o tzw. krótkiej historii życia. Formułowanie generalnych wniosków na takiej grupie narzuca pewną perspektywę (np. postrzeganie interakcji między partnerami rodzicielskimi głównie w kontekście konfliktu płci). Jeśli jednak rozszerzyć horyzonty badawcze, wprowadzając gatunki o innej charakterystyce, perspektywa może się zmienić. Alczyk to monomorficzny, pelagiczny ptak morski Arktyki Wysokiej, o tzw. długiej historii życia, czyli ptak długowieczny, socjalnie i genetycznie monogamiczny z długą i intensywną opieką obojga rodziców nad lęgiem zredukowanym do jednego jaja/pisklęcia. W takim systemie można oczekiwać silnej współpracy między partnerami rozrodczymi. Dobór płciowy działa tu w ograniczonym zakresie (brak różnic fenotypowych między płciami i monogamia genetyczna sugerują, że konkurencja między samcami o dostęp do samicy jest względnie niewielka), za to dobór naturalny decyduje o sukcesie rozrodczym (niska temperatura otoczenia wymaga ciągłej obecności rodzica na wczesnych etapach rozwoju – jajo, młode pisklę – a koszty karmienia pisklęcia są wysokie, bo żerowiska oddalone są od miejsca gniazdowania o dziesiątki kilometrów). Empiryczne badania rzeczywiście pokazują, że tylko pełne zaangażowanie obojga rodziców w opiekę prowa-



Fot. Dariusz Jakubas

dzi do sukcesu reprodukcyjnego. Co ważne, badania pokazują również, że samiec i samica alczyka koordynują swoje działania rodzicielskie. W czasie inkubacji tak dopasowują swoje dyżury inkubacyjne i wymieniają się na gnieździe, aby jajo było wysiadywane w sposób ciągły (inaczej niskie temperatury mogą wstrzymać rozwój embriona), a w czasie karmienia pisklęcia tak układają loty żerowiskowe (trwające kilka, kilkanaście godzin) względem siebie nawzajem, aby zapewnić pisklęciu regularną dostawę pokarmu (z krótkimi okresami oczekiwania pomiędzy karmieniami). W końcu, dotychczasowe badania wyraźnie pokazują, że poziom koordynacji rodzicielskiej u alczyka jest całkiem zmienny między parami, a to z kolei stwarza doskonały grunt dla badania mechanizmów koordynacji rodzicielskiej na poziomie osobniczym.



Fot. Dariusz Jakubas

Dobłą miarą dla zbadania mechanizmów rządzących zachowaniami osobnika, w tym rodzicielskimi, są hormony. W kontekście opieki rodzicielskiej u ptaków szczególnie adekwatnymi hormonami są prolaktyna i kortykosteron. Rozmaite badania (nie tylko na ptakach) pokazują, że poziom prolaktyny w krwi obwodowej w dużej mierze decyduje o zaangażowaniu rodzica w opiekę. Na przykład, u gołębi poziom prolaktyny wzrasta na skutek kontaktu jego skóry w miejscu plamy łęgowej z jajem. Co ważne, stężenia prolaktyny (w szczególności zmiany wywołane stresem) są osobniczo specyficzne, a to z kolei oznacza, że różnice międzypersoniczne w stężeniu prolaktyny powinny przekładać się na różnice międzypersoniczne w zaangażowaniu w zachowania rodzicielskie. Kortykosteron z kolei jest hormonem, którego poziom istotnie wzrasta w odpowiedzi na stres. W sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia osobnika, gwałtowny wzrost poziomu kortykosteronu u osobnika rodzicielskiego powoduje, że porzuca on wszelkie aktywności związane z rozrodem, celem ratowania życia. Niemniej gdy stresor znika, a poziom kortykosteronu powraca do niskiego stężenia, aktywność rodzicielska jest wznawiana. Jednak gdy stres jest przewlekły (np. z powodu ciągłej presji drapieżników, niedoborów żywności itp.), poziom kortykosteronu będzie pozostawał wysoki, co może doprowadzić do redukcji opieki rodzicielskiej. Tak więc bazowy poziom kortykosteronu i jego zmiany w odpowiedzi na stres są dobrze poznanym układem hormonalnym regulującym opiekę rodzicielską.

Gdy opieka rodzicielska jest rozpatrywana z perspektywy koordynacji rodzicielskiej, ważne jest, aby zmierzyć także siłę więzi w parze, ponieważ może to wpływać na interakcję między partnerami. Najlepszym hormonem do pomiaru tej kwestii u ptaków jest mezoocyna (odpowiednik oksytocyny u ssaków). Do tej pory hormon ten był rzadko badany u ptaków, ale wiele danych pochodzących od ssaków wyraźnie wskazuje na wpływ neuropeptydów (oksytocyna, mezoocyna) na relacje międzypersoniczne. Dlatego też badanie mezoocyny w celu zbadania podstawowych mechanizmów koordynacji rodzicielskiej wydaje się być bardzo odpowiednim i nowatorskim podejściem.

Podobieństwo między poziomami hormonów (podstawowy/wywołany stresem) u partnerów rozrodczych może

mieć kluczowe znaczenie dla realizacji opieki rodzicielskiej, a zatem może też kształtować koordynację rodzicielskich działań. Nie jest jasne, jak dokładnie miałyby to działać. Na przykład, jeśli wyjściowy poziom prolaktyny byłby wysoki u obojga rodziców, to oboje powinni być silnie zaangażowani w działania rodzicielskie. Czy skutkowało by to wyższą koordynacją rodzicielską, nie jest takie pewne, ponieważ wysoka motywacja obu osobników do wykonywania obowiązków rodzicielskich może w rzeczywistości pogorszyć sytuację. Z pewnością obserwuje się różnicowanie między parami zarówno pod względem podobieństwa partnerów w poziomie hormonów, jak i koordynacji działań rodzicielskich u różnych gatunków ptaków, w tym alcyzka, i jest wysoce prawdopodobne, że te zmienności są ze sobą powiązane. W projekcie ACORD, analizując stężenie trzech hormonów istotnych dla opieki rodzicielskiej i więzi w parze i zestawiając to z zachowaniami rodzicielskimi, planuje się zatem ocenę fizjologicznych mechanizmów koordynacji rodzicielskiej. Jest to dość ambitne przedsięwzięcie, ale za to obiecuje interesujące wyniki.

Koordynacja działań ptasich rodziców jest interesującym tematem, co znów mogłoby stanowić subiektywną opinię, gdyby nie fakt, że temat ten jest coraz częściej podejmowany przez naukowców, skutkując rosnącą liczbą prac badawczych ukazujących fenomen. Co ważne, istniejące prace wykazują dużą zmienność wzorców/poziomu koordynacji, ale przyczynowość tej zmienności wciąż jest niejasna. Projekt ACORD, mający na celu zbadanie różnorodności zachowań koordynacyjnych oraz czynników wpływających na te zachowania, ma zatem potencjał do zrozumienia podstawowych mechanizmów tego zjawiska. Dzięki szerokiemu i złożonemu podejściu (metaanaliza i standardowe metody terenowe/laboratoryjne), projekt ma szansę zakończyć się ogólnym modelem wyjaśniającym koordynację rodzicielską u ptaków, w ten sposób znacznie poszerzając wiedzę na temat opieki rodzicielskiej u ptaków, a tym samym rozwijając ekologię ewolucyjną i behawioralną.

Prof. dr hab. Katarzyna Wojczulanis-Jakubas, Polar Ecology Group, Katedra Ekologii i Zoologii Kregowców, Wydział Biologii, Uniwersytet Gdański



Fot. Dariusz Jakubas

Łukasz Kajtoch

Bastardy w parku i sadzie

W historii Europy istotną rolę odegrały najazdy azjatyckie i bynajmniej nie dotyczyło to tylko ludzi. Także wiele wschodnich zwierząt znalazło odpowiednie warunki w Europie, a jednym z takich najeźdźców jest dzięcioł białoszy (syrjski). Skutkiem pojawienia się tego gatunku na kontynencie było krzyżowanie z pospolitym dzięciołem dużym. Mechanizmy i konsekwencje tego zjawiska są tematem aktualnie realizowanych badań.

Mezalianse wśród ptaków

Ptaki są najczęściej widywanymi zwierzętami, których obecności można doświadczać prawie wszędzie. Jednocześnie są wdzięcznymi obiektami badań naukowych, zarówno z powodu ich wyglądu, głosów, jak i roli jaką pełnią w środowisku. Znanych jest ponad 10 tys. gatunków, ale liczba ta ciągle się zmienia – odkrywane są nowe, a niektóre wymierają. Najwięcej zamieszania robią badania naukowe, w efekcie których znane gatunki są dzielone na kolejne (znacznie rzadziej odrębne gatunki są łączone). Laikom może się to wydawać dzieleniem pióra na czworo. A jednak jest to ważne nie tylko z powodów teoretycznych (poszerzanie wiedzy), ale również praktycznych (np. w ochronie przyrody). Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że ptaki nie bardzo trzymają się ustalonych schematów taksonomicznych i wbrew definicjom około jedna piąta z nich ma za nic ustalone granice gatunkowe. Nie jest to „przypadłość” specyficzna tylko dla ptaków, ale w tej grupie jest stosunkowo dobrze widoczna. Istnienie mieszańców międzygatunkowych – bo to o nich mowa – zwanych też hybrydami lub bastardami, zostało dobrze udokumentowane naukowo.

Dzięcioły są jedną z grup ptaków, w której wiele gatunków może krzyżować się z innymi. Ptaki te są ludziom dobrze znane z uwagi na ich charakterystyczny wygląd, a przede wszystkim zachowanie i związane z tym dźwięki (np. wydawane podczas kucia i werblowania). Powiązanie dzięciołów z drzewami (drewnem) czyni te ptaki szczególnie istotnymi w ekosystemach leśnych na całym świecie. Dzięcioły pełnią trzy ważne funkcje: tworzą dziuple w drzewach, wykorzystywane przez wiele innych organizmów (ptaki, nietoperze, bezkręgowce); ograniczają populacje owadów żerujących w drewnie (w tym tych potocznie uważanych za szkodniki); rozprzestrzeniają grzyby i mikroorganizmy (przez co przyczyniają się do rozkładu drewna i obiegu pierwiastków w przyrodzie). U 19% gatunków dzięciołów udokumentowano istnienie mieszańców międzygatunkowych, a kolejne gatunki są podejrzewane o krzyżowanie międzygatunkowe. Wśród hybrydujących dzięciołów większość krzyżuje się okazjonalnie, ale są i takie, które robią to regularnie i w pewnych rejonach występowania tworzą strefy lub populacje mieszańcowe.

Mieszańce zostały dotychczas dobrze przebadane głównie w Ameryce Północnej, np. intensywnie analizowano wygląd,

zachowanie, ekologię i genetykę tzw. oskomików z rodzaju *Sphyrapicus*, które znane są z wypijania soków z drzew (ang. sapsuckers). Badania czterech gatunków tego rodzaju zdolnych do krzyżowania stały się wręcz modelowe w wyjaśnianiu mechanizmów hybrydyzacji.

Krzyżowanie międzygatunkowe występuje m.in. wśród grupy blisko spokrewnionych dzięciołów pstrych z rodzaju *Dendrocopos*. Wśród nich gatunkiem najczęściej krzyżującym się z innymi jest najszerzej rozpowszechniony dzięcioł duży, najpospolitszy dzięcioł w Eurazji, w tym w Polsce. Dzięcioł ten w niektórych częściach zasięgu współwystępuje z krewniakami takimi jak środkowoazjatyckie dzięcioły białoskrzydłe i pakistańskie czy borealny dzięcioł białogrzbiety. W grupie tej znajduje się także dzięcioł białoszy (potocznie nazywany syryjskim), z którym także krzyżuje się dzięcioł duży. O ile do XIX wieku oba te gatunki miały generalnie odrębne zasięgi, to w XX wieku sytuacja ta zaczęła się zmieniać. Dzięcioł białoszy pierwotnie występował na Bliskim Wschodzie, ale opanował Bałkany oraz Europę Środkową i Wschodnią. Jego ekspansja była może mniej spektakularna niż wszędobylskiej sierpówki, ale niosła ze sobą pewne ciekawe konsekwencje. Dzięcioł białoszy wywodzi się z lasostepu i unika lasów, dlatego zaczął wypierać pokrewnego dzięcioła dużego z zadrzewień miejskich i wiejskich. Doszło do swoistego „zawieszenia broni”: dzięcioł duży pozostał liczny w lasach, a białoszy zaczął dominować na obszarach zamieszkałych przez człowieka. Już w trakcie ekspansji pojawiły się rzadkie doniesienia o obserwacjach par mieszananych tych dwóch gatunków, jednak przez dziesięciolecia wydawało się, że zjawisko to jest marginalne i nie ma znaczenia. Tymczasem sytuacja zaczęła się zmieniać. Aktualnie dzięcioł białoszy wydaje się być w regresie, przynajmniej w niektórych populacjach na skraju zasięgu, m.in. w Polsce. Krajowe trendy jego populacji są niepewne, ponieważ gatunek ten nie jest monitorowany w ramach Państwowego Monitoringu Środowiska – Monitoringu Ptaków Polski nadzorowanego przez Główny Inspektorat Ochrony Środowiska. Z kolei dzięcioł duży, dla którego mamy dobre dane monitoringowe, silnie zwiększa liczebność i wkracza do miast. Jednym z efektów tych zmian są coraz częściej obserwowane pary międzygatunkowe oraz mieszańce. Takie ptaki są widywane szczególnie na peryferiach zasięgu dzięcioła białoszego, od Austrii, przez Morawy, po



Mieszaniec dzięciołów białoszyjnego i dużego - dorosła samica.

Fot. Tobiasz Kajloch

Polskę. Zjawisko to mogłoby być tylko ciekawostką przyrodniczą, ale stwarza też możliwości badawcze i nastrocza problemów konserwatorskich.

Przyczyny i konsekwencje krzyżowania

Z perspektywy naukowej ciekawe i istotne jest zrozumienie mechanizmów tworzenia się par mieszanych oraz to, dlaczego w ogóle powstają. Czy determinują to jakieś cechy środowiskowe (np. dostępność preferowanych zadrzewień)? Czy przyczyną jest lokalizacja geograficzna (bliskość skraju zasięgu), co wiąże się z niskim zagęszczeniem populacji dzięcioła białoszyjnego (trudność w doborze partnera)? A może wpływają na to jakieś czynniki behawioralne związane ze współwystępowaniem dzięcioła dużego (konkurent, ale także alternatywny partner do rozrodu)? Jaka jest skala zjawiska hybrydyzacji wśród dzięciołów? Niejasne są konsekwencje krzyżowania dla przeżywalności i sukcesu reprodukcyjnego mieszańców, chociaż wstępne dane wskazują, że hybrydy są zarówno żywotne, jak i płodne. Poza tymi aspektami poznawczymi krzyżowanie się tych dwóch gatunków dzięciołów może mieć poważne konsekwencje dla ochrony rzadkiego dzięcioła białoszyjnego. Oba dzięcioły, jak większość ptaków krajowych, są chronione, ale dzięcioł białoszyjny dodatkowo ujęty jest w tzw. Dyrektywie Ptasiej UE. Oznacza to, że podlega specjalnej ochronie. Dla wybranych populacji utworzono ostoje w europejskiej sieci Natura 2000. Niestety większość populacji tego gatunku zasiedla miasta i wsie poza tymi ostojami. W praktyce oznacza to, że ochrona takich stanowisk jest iluzoryczna, ponieważ wymaga zachowania starych drzew w parkach, sadach, na cmentarzach czy w alejach. A stare drzewa w miastach i wsiach nie mają łatwo. Być może to zbieg okoliczności, że regres populacji dzięcioła białoszyjnego w Polsce zbiegł się w czasie z tzw. Lex Szyzsko z 2017 r., kiedy to pod piłami padło bardzo wiele drzew na terenach miejskich i wiejskich.

Poza zmianami siedliskowymi postępujące krzyżowanie się tych gatunków może stanowić problem dla ochrony dzięcioła białoszyjnego. Wpływa to na strukturę populacji i może potęgować zanik „czystych” osobników. Kłopot w tym, że polskie prawodawstwo nie dostrzega mieszańców – hybrydy nie są uwzględniane w ochronie gatunkowej. Niemniej jednak mieszańce powstające na drodze naturalnych procesów również powinny być chronione.

Potrzeba badań

Odpowiedzi na ww. pytania wymagają dedykowanych badań naukowych. Paradoksalnie, patrząc na zasięg dzięcioła białoszyjnego, jego bliskowschodnie i bałkańskie populacje nie cieszą się uwagą wśród naukowców, przez co wiedza o biologii tego gatunku w pierwotnym zasięgu jest szczątkowa. Sytuację ratuje tylko nauka obywatelska i dobrze udokumentowane rozmieszczenie populacji, co było możliwe dzięki portalom przyrodniczym (np. eBird, iNaturalist). Doniesienia na temat hybryd zapoczątkował austriacki profesor Hans Winkler, a następnie tematem zajmował się Węgier Gerard Gorman, znany propagator wiedzy o tej grupie ptaków.

Badania nad dzięciołem białoszyjnym w Polsce realizowane są w dwóch ośrodkach naukowych. Dwudziestoletnią tradycję mają prace kierowane przez dr. Jerzego Michalczyka z Uniwersytetu Rzeszowskiego, który bada ten gatunek w Polsce południowo-wschodniej, czyli w krajowym bastionie dzięcioła białoszyjnego. Dzięki tym badaniom znamy ekologię, biologię rozrodu i demografię populacji wiejskich, a także opracowana została metodyka inwentaryzacji tego gatunku.

Dzięcioł białoszyjny jest także obiektem badań w Krakowie w Instytucie Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN (ISEZ PAN). Badania dr. Tomasza Figarskiego i moje uzupełniły wiedzę o ekologii i etologii dzięcioła białoszyjnego, ale tym razem w populacjach miejskich (mazowieckich i małopolskich). Przy



Fot. Lukasz Kajtoch

Mieszaniec dzięciołów białoszyjego i dużego – dorosły samiec.

ale szybko okazało się, że skala hybrydyzacji może być jeszcze większa (intensywniejsza). Zainteresowanie ptakolubów (ornitologów amatorów) hybrydami dzięciołów zaowocowało licznymi doniesieniami z dokumentacją zdjęciową udostępnianą w portalach (np. ornitho.pl).

Projekt badawczy

Wszystko powyższe stało się podstawą grantu Narodowego Centrum Nauki Preludium BIS pt. „Hybrydyzacja z pospolitym krewniakiem – zagrożenie czy szansa dla chronionego gatunku ptaka?” (UMO-2022/47/O/NZ9/02044), realizowanego od 2023 r. przez doktoranta (Antoni Bakai) w ISEZ PAN w Krakowie.

Głównym celem projektu jest wykorzystanie informacji o strukturze populacji sympatrycznych dzięciołów białoszych i dużych do oceny wpływu kojarzenia i krzyżowania międzygatunkowego na zachowanie populacji dzięcioła białoszyjego jako gatunku o szczególnym znaczeniu w UE. Projekt zakłada weryfikację kilku hipotez, koncentrując się na przewidywaniu, że zakres międzygatunkowego parowania i hybrydyzacji jest wynikiem obecnego rozmieszczenia gatunków rodzicielskich i ograniczeń środowiskowych, takich jak dostępność odpowiednich siedlisk i preferencji gatunków do różnych typów krajobrazu. Planowane jest zbadanie zasięgu kojarzenia międzygatunkowego i występowania mieszańców w różnych skalach: europejskiej (w całym zasięgu sympatrycznym dzięcioła białoszyjego z dzięciołem dużym w Europie), regionalnej (badanie wzdłuż gradientu miejsko-wiejskiego w Europie Środkowej) i lokalnej (szczegóły dotyczące ekologii, udziału mieszańców i sukcesu reprodukcyjnego w populacji małopolskiej).

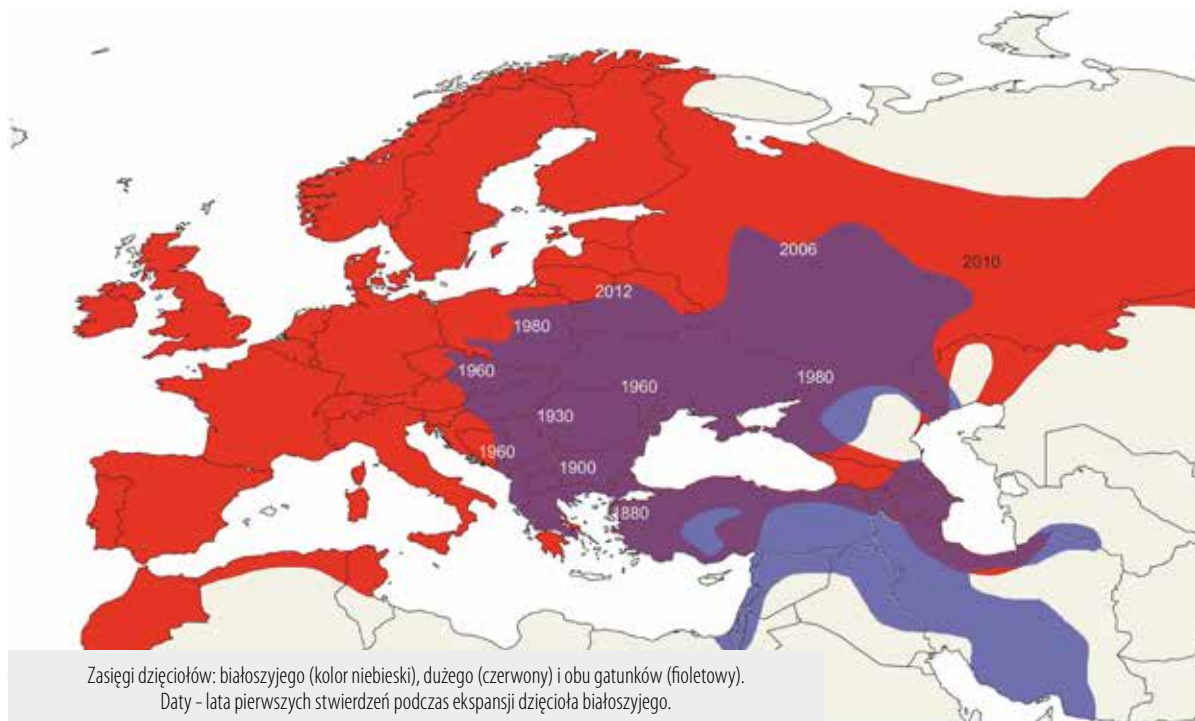
Zagadnienia te zostaną zbadane na podstawie badań terenowych, w tym zebranych na zasadach „nauki obywatelskiej”, dzięki porozumieniu z Ogólnopolskim Towarzystwem Ochrony Ptaków oraz Hungarian Woodpecker Working Group (organizacje partnerskie Birdlife); dotychczas w tę akcję zaangażowanych było około 50 osób z Polski, Czech, Słowacji i Węgier. W ramach projektu współpraca realizowana jest z kilkoma ośrodkami naukowymi w Europie (m.in. Uniwersytet Południowoczeski, gdzie prowadzone są badania nad etologią międzygatunkową dzięciołów). Ponadto dla wybranych populacji

okazji tych badań odnotowaliśmy sporo stwierdzeń mieszańców, szczególnie w populacji krakowskiej, co stało się przyczynkiem do badań terenowych oraz pierwszych prac molekularnych. Prace te wykazały, że po różnicach w upierzeniu (fenotypie) jako mieszańce można zidentyfikować około 5% osobników. Zaskoczeniem jednak były wstępne wyniki badań genetycznych, które wskazywały, że aż 20% ptaków stanowią hybrydy. Aż tak duży udział mieszańców był niespodziewany,



Fot. Lukasz Kajtoch

Mieszaniec dzięciołów białoszyjego i dużego – dorosła samica.



Zasięgi dzięciołów: białoszyjnego (kolor niebieski), dużego (czerwony) i obu gatunków (fioletowy).
Daty – lata pierwszych stwierdzeń podczas ekspansji dzięcioła białoszyjnego.

zbadany zostanie udział mieszańców i krzyżówek wstecznych metodami molekularnymi przy współpracy z Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, specjalizującym się w badaniach filogenetycznych i filogeograficznych. Poza tym w trakcie pierwszego roku realizacji projektu pojawiły się dodatkowe zagadnienia (np. obecność hybryd w lasach, hybrydyzacja jako stymulator plastyczności siedliskowej dzięcioła dużego i jego ekspansji do miast), które stały się celem pracy magisterskiej.

Poza aspektem badawczym projekt ten powinien pozwolić na opracowanie nowej strategii właściwej ochrony dzięcioła białoszyjnego i jego mieszańców (monitoring trendów demograficznych, wyznaczenie obszarów chroniących istotne populacje, zaproponowanie praktycznych zasad ochrony populacji i zarządzania siedliskiem).

Efekty i perspektywy

Projekt realizowany jest dopiero od ponad roku i na wymierne efekty trzeba będzie jeszcze poczekać. Niemniej w oparciu o prowadzoną akcją obywatelską przygotowano już propozycję metodyki monitoringu dzięcioła białoszyjnego i mieszańców wraz z wnioskiem o wdrożenie monitoringu, który będzie wysłany do Ministerstwa Klimatu i Środowiska oraz Generalnego Inspektoratu Ochrony Środowiska. Zgłoszono także jedną propozycję nowej ostoi ptaków (dla m.in. dzięcioła białoszyjnego) w Małopolsce, a kolejna jest w opracowaniu. W ramach wstępnych prac nad projektem dokonano rewizji literatury dotyczącej badań nad dzięciołami białoszyimi i dużymi (praca w druku), a także meta-analizy biogeografii i ewolucji hybrydyzacji wśród dzięciołów (w recenzji). Dostępne już dane terenowe potwierdzają istnienie intensywnego obszaru hybrydyzacji rozciągającego się przez Polskę południową z centrum występowania zjawiska w Krakowie i okolicach (gdzie aktualnie łatwiej napotkać mieszańca niż czystego dzięcioła białoszyjnego). Hybrydy jednak znaleziono także w zwartym zasięgu dzięcioła białoszyjnego w Kotlinie Panońskiej i na Bałkanach, gdzie udokumentowano inną formę mieszańców (różniącą się wyglądem). Sugeruje to istnienie różnych wariantów, których wygląd prawdopodobnie zależy od udziału genomów gatunków rodzicielskich.

Co ciekawe, dowody na obecność mieszańców (zdjęcia) odnaleziono także w literaturze ukraińskiej i rosyjskiej, co sugeruje znacznie szerszą geograficzną skalę tego zjawiska. Także analiza zdjęć wskazuje różnice w upierzeniu dzięciołów dużych współwystępujących z białoszyimi. Może to sugerować jeszcze intensywniejszy przepływ genów między tymi gatunkami, co wymaga dalszych badań.

Przy okazji poszukiwania źródeł porównawczych materiałów do badań genetycznych z „czystych” populacji, nawiązano współpracę z kolejnymi ośrodkami naukowymi w Europie oraz w Azji, co powinno stanowić podstawę do przyszłych badań filogeografii dzięcioła białoszyjnego – zagadnienia kluczowego dla zrozumienia historii ekspansji i hybrydyzacji.

Innym „produktem ubocznym” rozpoczętych prac badawczych jest współpraca nawiązana z Czeską Akademią Nauk odnośnie do wykorzystania analizowanych dzięciołów w badaniach nad polaryzacją genomów między hybrydującymi gatunkami.

Jesteśmy świadkami niezwykle ciekawego zjawiska: na naszych oczach populacje dzięciołów muszą sobie radzić ze zmianami środowiskowymi, w tym wywołowanymi przez człowieka, a jednym ze sposobów jest być może krzyżowanie międzygatunkowe. Czy to człowiek i jego działania zmieniające otoczenie, wpłynęły na wzrost zjawiska hybrydyzacji, czy też jest to proces zupełnie naturalny? Czy możemy dalej ignorować istnienie hybryd, pomijając je w prawie ochrony przyrody? Aktualnie realizowany grant ma więc szansę „ewoluować” w kolejne projekty i być może pozwoli odpowiedzieć na niektóre z tych pytań.

Badania prowadzone są w ramach projektu finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki w ramach programu Preludium BIS „Hybrydyzacja z pospolitym krewniakiem – zagrożenie czy szansa dla chronionego gatunku ptaka?” (UMO-2022/47/O/NZ9/02044) realizowanego w Instytucie Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN w Krakowie.

Dr hab. Łukasz Kajtoch, profesor w Instytucie Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN w Krakowie. Biolog zajmujący się ekologią i ewolucją ptaków oraz owadów, a także praktyczną ochroną przyrody.

Marcin Tobółka

Stres oksydacyjny

Żerowanie na otwartych składowiskach odpadów przez ptaki wędrowne: koszt czy zysk?

Różne gatunki ptaków wykazują znaczne różnice zarówno w stopniu uzależnienia od wysypisk, jak i w zakresie wpływu takiego sposobu żywienia na ich wędrowkę, strategię zdobywania pokarmu, rozmnażanie i liczebność populacji.

Współczesny świat stawia przed dzikimi populacjami zwierząt wiele wyzwań. Obecnie banalnym wydaje się stwierdzenie, że działalność człowieka przybliżyła wiele gatunków do wyginięcia. Jednak niektóre z nich potrafią się dostosować, a nawet odnieść korzyści ze środowisk tworzonych przez ludzi. Przykładowo, wiele gatunków ptaków i ssaków wykorzystuje swoje zdolności przystosowawcze korzystając z resztek jedzenia dostępnych na otwartych składowiskach odpadów, potocznie nazywanych wysypiskami śmieci. Wiemy, że kilkaset gatunków na całym świecie regularnie żywi się odpadkami, co wpływa na ich kondycję fizyczną, zdolności rozrodcze i liczebność populacji. Wielokrotnie jest to wpływ pozytywny. Jednak taka strategia może też zwiększać ryzyko zatrucia, zadławienia czy infekcji patogenami.

Ludzie wyrzucają prawie jedną trzecią wyprodukowanej przez siebie żywności, często pozostawiając ją dostępną na otwartych składowiskach. Tworzą tym samym źródło pożywienia dla różnych organizmów – od mikroorganizmów rozkładających materię organiczną, po roślinożerców i drapieżniki. To dodatkowe źródło energii może znacząco wpływać na zwierzęta, ale skutki tego zjawiska nie są jeszcze w pełni poznane, zwłaszcza w kontekście gatunków o szerokim i zróżnicowanym zasięgu występowania. Efekty dostępu do pokarmu pochodzenia antropogenicznego mogą się różnić nawet w obrębie jednego gatunku. To, co jest korzystne dla jednej populacji, niekoniecznie działa tak samo w innej.

Wpływ żywienia się na wysypiskach na różne aspekty życia ptaków jest dobrze udokumentowany. Wędrowne gatunki ptaków są szczególnie narażone na globalne zmiany, takie jak postępująca urbanizacja czy ekspozycja na różnego rodzaju zanieczyszczenia, gdyż w ciągu ich cyklu rocznego wykorzystują bardzo wiele środowisk oddalonych od siebie w przestrzeni. Z drugiej strony, koczowniczy tryb życia może zapewniać im wysoki poziom plastyczności, pozwalając na szybkie dostosowywanie się do nowych źródeł pokarmu oraz zmiany strategii wędrowkowych. W konsekwencji, różne gatunki ptaków wykazują znaczne różnice zarówno w stopniu uzależnienia od wysypisk, jak i w zakresie wpływu takiego sposobu żywie-

nia na ich wędrowkę, strategię zdobywania pokarmu, rozmnażanie i liczebność populacji.

Znane z wykorzystywania odpadów organicznych zdeponowanych na składowiskach są głównie gatunki oportunistyczne, takie jak krukowate, mewy, sępy czy bociany.

Żerowanie na składowiskach a stres oksydacyjny

Spożywanie przetworzonej żywności i zanieczyszczeń ma działanie prooksydacyjne, dlatego żerowanie na wysypiskach może prowadzić do stresu oksydacyjnego, stanu, w którym dochodzi do zwiększonej produkcji reaktywnych form tlenu i azotu (RONS) uszkadzających kluczowe biomolekuły (lipidy, białka i kwasy nukleinowe), jeśli mechanizmy antyoksydacyjne nie są wystarczająco silne, by zneutralizować skutki RONS. Niedawne badania nad pisklętami bocią białego w Europie Zachodniej wykazały, że żerowanie na wysypiskach nie było związane ze wzrostem markerów uszkodzeń oksydacyjnych, co może wynikać ze zwiększonej aktywności antyoksydantów. Przewiduje się, że stres oksydacyjny jest istotnym mechanizmem warunkującym zmiany w cyklu życiowym, kształtującym długość życia i sukces reprodukcyjny, a potencjalnie także inne aspekty życia, np. strategię migracyjną. W związku z tym warto zbadać, czy zmiany w statusie oksydacyjnym wynikające z żerowania na wysypiskach mogą wpływać na ruchy wędrowkowe oraz prawdopodobieństwo przeżycia poszczególnych osobników. Można przewidywać, że obrona antyoksydacyjna może być osłabiona w energetycznie wymagających okresach życia, takich jak wędrowka, co może prowadzić do zmniejszonego prawdopodobieństwa przeżycia pierwszego roku u bociaków żerujących na wysypiskach w porównaniu z tymi, które tego nie robią.

Żerowanie na składowiskach, infekcje i układ odpornościowy

Spożywanie odpadów, a także karmienie nimi piskląt może narażać na wprowadzanie do organizmu toksyn (np. metali ciężkich) czy patogennych bakterii i wirusów. Wiadomo, że ptaki żerujące na wysypiskach są nosicielami bakterii choro-

botwórczych (np. Salmonella) oraz szczepów opornych na antybiotyki. Ponieważ oporność bakterii na wiele leków wynika ze stosowania antybiotyków i obecności metali ciężkich w środowisku, obecność bakterii opornych na antybiotyki może być wskaźnikiem ogólnego negatywnego wpływu siedlisk żerowania na poszczególne osobniki.

Ptaki żerujące na wysypiskach przynoszą do gniazd nie tylko pokarm, ale i materiał gniazdowy, co oznacza także wprowadzenie patogenów do mikrośrodowiska gniazda. Mikrobiota gniazda może wpływać na układ odpornościowy piskląt i ogólny rozwój ich organizmów. Okres pisklęcy oraz samo gniazdo odgrywają kluczową rolę w kształtowaniu nabytego układu odpornościowego z dwóch powodów: patogeny przenieszone do gniazda z wysypiska (np. bakterie i grzyby) mogą spowalniać wzrost, mogą też stymulować rozwój układu odpornościowego. Jest to o tyle istotne, że odpowiedzi odpornościowe na wprowadzone patogeny wymagają dużych nakładów energetycznych, co może ograniczać korzyści wynikające z łatwego dostępu do odpadów spożywczych. Co więcej, rozwój układu odpornościowego może wpływać na przyszłe losy osobników w populacji.

Istnieje swego rodzaju kompromis między przeznaczeniem zasobów na rozwój ciała, funkcje odpornościowe i kontrolę patogenów. Krótkoterminowe korzyści wzrostu mogą być niwelowane przez koszty immunologiczne, a ich negatywne skutki mogą ujawniać się dopiero w późniejszym okresie życia, wpływając na zdolności ruchowe lub przeżywalność.

Żerowanie na składowiskach a procesy starzenia komórkowego

Życie w wymagających fizjologicznie warunkach ma również wpływ na procesy starzenia komórkowego. U kręgowców dobrym wskaźnikiem tego procesu są telomery – wysoce kon-

serwatywne struktury ochronne na końcach liniowych chromosomów, które chronią integralność genomu i stabilność chromosomów. U wielu gatunków, w tym u bociana białego, średnia długość telomerów skraca się wraz z wiekiem w większości tkanek somatycznych, a efekt ten jest szczególnie wyraźny we wczesnym okresie po wykluciu się z jaja.

Stres oksydacyjny jest głównym czynnikiem determinującym zmienność długości telomerów i często prowadzi do ich skracania. Ponieważ żerowanie na wysypiskach wpływa na status odżywczy i poziom stresu oksydacyjnego, a także zwiększa ryzyko infekcji we wczesnym okresie wzrostu, jest prawdopodobne, że może ono oddziaływać na dynamikę telomerów, co może mieć konsekwencje dla późniejszego prawdopodobieństwa przeżycia.

Żerowanie na składowiskach a zachowania wędrówkowe

Żerowanie na wysypiskach może wpływać na cechy zachowań migracyjnych. Na przykład na Półwyspie Iberyjskim zimowanie bocianów białych stało się bardziej powszechne w ostatnich latach, najprawdopodobniej dzięki stabilnym zasobom pokarmowym w zimie. Jednak zimowanie jest nadal rzadkością w populacjach lęgowych Europy Wschodniej.

Bociany żerujące na wysypiskach mogą również zmieniać swoje strategie wędrówkowe, np. dostosowywać liczbę i czas trwania postojów. W przeciwieństwie do osobników ze wschodniego szlaku migracyjnego (np. bocianów z Polski) bociany wędrujące trasą zachodnią (z Niemiec Zachodnich i pozostałych krajów Europy Zachodniej) regularnie zatrzymują się na dłużej, głównie właśnie na otwartych składowiskach odpadów na Półwyspie Iberyjskim. Co więcej, dostępność pokarmu antropogenicznego na wysypiskach powoduje, że bociany białe skracają wędrówki w ciągu ich życia, a te osob-





niki, które to robią, mają większe prawdopodobieństwo przeżycia. Z danych zgromadzonych podczas naszego wcześniejszego projektu, gdzie wyposażyliśmy 75 młodych bocianów w nadajniki GPS-GSM, wiadomo, że również bociany z Polski korzystają ze składowisk odpadów na swojej trasie wędrówki na zimowiska.

Badanie bocianów na składowiskach odpadów w Polsce

Można odnieść wrażenie, że o konsekwencjach żerowania na składowiskach odpadów wiemy już naprawdę dużo. Jednak należy zwrócić uwagę, że znakomita większość badań na bociąnem białym w tym obszarze pochodzi z zachodu Europy. Obraz, który się wyłania z tych badań, jest następujący: mimo pewnych kosztów, generalnie żerowanie na składowiskach odpadów jest korzystne dla bocianów. Co więcej, jest to czynnik który pozwolił na odbudowę mocno zredukowanej zachodniowędrowskiej populacji bocianów. Jednak bociany zamieszkujące teren Polski i całej Europy Wschodniej zachowują się nieco inaczej. Przede wszystkim ich trasa wędrówki na zimowisko jest zdecydowanie dłuższa, bo może wynosić aż 10 tysięcy kilometrów w jedną stronę. Mimo tego, że bociany z tej populacji korzystają ze składowisk zarówno w okresie lęgowym, jak i podczas wędrówki, to zachowanie to wydaje się nie mieć dużego wpływu na populację. Nasze wcześniejsze badania z całej Polski pokazują też, że liczby bocianów żerujących na składowiskach odpadów w Polsce są kilkakrotnie mniejsze niż na składowiskach w Hiszpanii, mimo że zagęszczenia par lęgowych w Polsce są miejscami bardzo wysokie. Stąd też pomysł na zbadanie tego zjawiska na populacji bocianów w tej części zasięgu gatunku.

Przez trzy lata trwania projektu (2024-2027) będziemy badać, jak żerowanie na wysypiskach wpływa na różne aspekty życia bocianów białych, łącząc warunki wczesnego życia z prawdopodobieństwem przeżycia podczas pierwszej wędrówki. Zamierzamy monitorować aktywność żerową dorosłych bocianów, które zostały już wcześniej (jako pisklęta w gniazdach) przez nasz zespół indywidualnie oznakowane, a także oceniać rozwój ich piskląt we wczesnym okresie postnatalnym, analizując ich cechy fizjologiczne, reakcje immunologiczne oraz obecność patogennych bakterii. Młode bociany wychowywane przez

rodziców o różnych strategiach żerowania (na wysypiskach i w środowisku naturalnym) zostaną wyposażone w urządzenia śledzące typu GPS-ACC-GPRS. Dzięki temu będziemy mogli monitorować ich ruchy w bardzo dużej rozdzielczości i zachowania po opuszczeniu gniazd. To pozwoli ocenić ich wydatki energetyczne i porównać różne strategie żerowania.

Korzystając z danych długoterminowego monitoringu i programu obrączkowania bocianów prowadzonego w naszym obszarze badań, wybraliśmy jedynie gniazda należące do osobników indywidualnie oznakowanych, o znanym wieku, doświadczeniu lęgowym, pochodzeniu oraz preferencjach żerowania. Dzięki temu możemy stworzyć dwie grupy badawcze składające się z bocianów o podobnym wieku i doświadczeniu, ale różniących się pod względem głównego czynnika badawczego – żerowania na wysypiskach. Dodatkowo w naszych analizach uwzględnimy warunki pogodowe (temperaturę i wilgotność) podczas okresu lęgowego i wychowu piskląt, a także czynniki środowiskowe, takie jak gęstość populacji i pokrycie terenu. Badania będą prowadzone w jednolitym krajobrazie rolniczym, gdzie bociany żerujące na wysypiskach i te korzystające wyłącznie z naturalnych siedlisk występują w tej samej strefie klimatycznej. Takie podejście pozwoli nam na rzetelne testowanie naszych hipotez, minimalizując wpływ zmiennych klimatycznych i środowiskowych.

Mamy nadzieję, że podczas trwania tego projektu uda nam się sprawdzić czy w naszych warunkach geograficznych i klimatycznych procesy opisane w Zachodniej Europie mają taki sam przebieg i tu. A jeżeli różnią się, to co jest czynnikiem różniącym.

Nasze badania mają na celu odpowiedź na wiele pytań dotyczących żywienia, rozwoju, odporności, fizjologii, biologii telomerów, mikrobiologii i epidemiologii, a także ochrony przyrody i zarządzania populacjami dzikich zwierząt. Będziemy badać dziką populację bocianów znajdującą się na etapie przejścia od naturalnych źródeł pożywienia do pokarmu pochodzenia antropogenicznego. Dzięki temu lepiej zrozumiemy bilans korzyści i zagrożeń związanych z żerowaniem na wysypiskach.

Dr Marcin Tobółka, adiunkt w Katedrze Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu

Ptaki morskie i ich menu – klucz do zrozumienia Arktyki

Alczyki mają wyjątkową cechę – przenoszą pokarm dla swoich piskląt w specjalnym worku podjęzykowym. Dzięki temu badacze mogą pobierać świeże próbki, co jest etycznym i niezwykle skutecznym sposobem na analizę składu diety.

Arktyka to jedno z najszybciej zmieniających się środowisk na Ziemi. W ostatnich kilkunastu latach zmiany klimatyczne stały się tam szczególnie widoczne: pokrywa lodowa kurczy się w błyskawicznym tempie, temperatury rosną, a krajobraz, który jeszcze do niedawna wydawał się niezmienny, przechodzi metamorfozę na naszych oczach. Naukowcy i badacze, którzy regularnie uczestniczą w arktycznych ekspedycjach, dostrzegają te zmiany każdego roku. Bywają sezony, kiedy w Arktyce można spacerować w T-shircie, co jeszcze niedawno wydawałoby się nie do pomyślenia.

Nie tylko klimat, ale i całe ekosystemy Arktyki ulegają przekształceniom. Ciepłolubne gatunki roślin i zwierząt coraz śmielej zasiedlają północ, podczas gdy te typowo arktyczne, przystosowane do surowych warunków, wycofują się w stronę chłodniejszych obszarów. Aby lepiej zrozumieć tempo i kierunek tych zmian, niezbędny jest stały monitoring i wykorzystywanie nowoczesnych narzędzi badawczych. Jednak prowadzenie badań w tym rejonie świata to nie lada wyzwanie, wymaga olbrzymich nakładów finansowych, a ekspedycje ograniczają się do krótkich, sezonowych „okien pogodowych”, gdy dostęp do Arktyki jest w ogóle możliwy.

Co jedzą ptaki morskie i dlaczego to ma znaczenie?

Jednym z najbardziej niezawodnych i niedocenianych sposobów na badanie stanu ekosystemów arktycznych jest analiza... diety ptaków morskich. Ptaki te są doskonałymi bioindykatorami, ponieważ łączą w sobie dwa światy: żywią się w morzu, ale gniazdują na lądzie, co sprawia, że przenoszą materię i składniki odżywcze między ekosystemami. Są także wyjątkowo selektywne w wyborze pokarmu – instynkt nakazuje im poszukiwać najwartościowszego pożywienia przy jak najmniejszym wydatku energetycznym. Czyli że to, co znajdziemy w ich diecie, jest najlepszym odbiciem warunków panujących w ich kluczowych żerowiskach.

Niektóre gatunki ptaków morskich potrafią dziennie pokonywać setki kilometrów, nurkując w oddalonych od kolonii miejscach, nierzadko w pobliżu krawędzi lodu, by dostarczyć swoim pisklątom wysokoenergetyczny pokarm. Pobranie próbki diety tych ptaków pozwala badaczom uzyskać informacje o tym, jakie organizmy dominują w danym sezonie w ekosystemach morskich, a co za tym idzie, jak zmienia się dostępność kluczowych zasobów pokarmowych. Tak wielu zróżnicowanych danych z tak rozległych obszarów nie da się uzyskać nawet podczas najbardziej rozbudowanych rejsów badawczych.

Alczyk – wyjątkowy pomocnik naukowców

Wśród arktycznych ptaków morskich na szczególną uwagę zasługują alczyki (*Alle alle*), małe, charyzmatyczne alkowate, które dostarczają naukowcom unikatowej możliwości badania diety w stanie niemal nienaruszonym. Alczyki mają wyjątkową cechę – przenoszą pokarm dla swoich piskląt w specjalnym worku podjęzykowym. Dzięki temu badacze mogą pobierać świeże próbki, co jest etycznym i niezwykle skutecznym sposobem na analizę składu diety.

O ich wyjątkowości decyduje także fakt, że alczyki są niezwykle selektywnymi drapieżnikami, skutecznie wybierającymi tłuste, wysokoenergetyczne drobne skorupiaki. To właśnie widłonogi z rodzaju *Calanus* są ich ulubionym pokarmem, który najlepiej pozwala zrekomensować wysokie koszty energetyczne ponoszone podczas dalekich lotów w poszukiwaniu pokarmu w trudnym okresie karmienia piskląt. Co więcej, widłonogi te stanowią ulubiony pokarm nie tylko alczyków, ale także innych przedstawicieli wyższych poziomów troficznych. Można powiedzieć, że są główną arktyczną bazą pokarmową. Zatem to, czego dowiemy się o nich badając próbki diety alczyków, możemy odnieść także do innych zwierząt i spojrzeć szerzej w kontekście funkcjonowania całych arktycznych sieci troficznych.

Alczyki występują najliczniej w północnych rejonach polarnych i są uważane za ekologiczny wskaźnik zmieniającej się Arktyki. Żywią się głównie widłonogami *Calanus* bogatymi w tłuszcz; głównie dwoma bliźniaczymi gatunkami *C. glacialis* i *C. finmarchicus* na Svalbardzie, a także największym *C. hyperboreus* na Grenlandii. Ponieważ udział gatunków *Calanus* w diecie tych ptaków jest często traktowany jako sygnał atlantyfikacji, ich właściwa identyfikacja i długoterminowy monitoring mają kluczowe znaczenie dla zrozumienia zachodzących zmian wywołanych klimatem w ekosystemach morskich Arktyki oraz tego, w jaki sposób drapieżniki morskie, takie jak alczyki, reagują na te zmiany.

Drobne skorupiaki – wielkie znaczenie

Z diety ptaków można wiele wyczytać. Nasze ostatnie obserwacje ze Svalbardu wykazały, że klasyfikacja morfologiczna gatunków *Calanus* może prowadzić do błędnej interpretacji plastyczności żerowania alczyków. Po raz pierwszy przeprowadzono weryfikację gatunków *Calanus* za pomocą narzędzi molekularnych w próbkach diety alczyków. Nasze badania wykazały, że wyższe koszty ptaków narażonych na Atlantyfikację, mogą w rzeczywistości wynikać głównie ze zmniejszenia wielkości widłonogów *Calanus*, a nie z zastępowania gatunków związanych z wodami zimnymi przez gatunki ciepłolubne, jak wcześniej uważano. Wyniki naszych badań wskazały na silną potrzebę włączenia metod molekularnych do przyszłych badań nad tymi ważnymi ekologicznymi wskaźnikami atlantyfikacji Arktyki i weryfikacji tych istniejących. Projekt ten zrealizowałam m.in. dzięki wsparciu finansowemu z Narodowego Centrum Nauki w konkursie Miniatura 4 (2020/04/X/NZ8/00574) oraz Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, odbywając półroczny staż na Uniwersytecie w Tromsø, gdzie samodzielnie dokonałam identyfikacji obszernego materiału osobników *Calanus*, szkoląc się pod okiem doświadczonych genetyków.

Dzięki uzyskanym ważnym wynikom i zdobytemu doświadczeniu weryfikację genetyczną gatunków *Calanus* wprowadziłam na stałe i samodzielnie wykonuję w Instytucie Oceanologii PAN w ramach wielu projektów. W przyszłości mam w planach przeprowadzić taką weryfikację molekularną w diecie alczyków

w szerszej perspektywie czasowej, by w ten sposób potwierdzić nasze wnioski, biorąc pod uwagę inne miejsca rozrodu, takie jak te na Grenlandii. Jest to niezwykle ważne, zwłaszcza że na Grenlandii znajduje się znakomita większość światowej populacji alczyków (~89%). Co więcej, oba rejon (Grenlandia i Svalbard) różnią się pod względem warunków środowiskowych, a tym samym dostępności (i spożycia) różnych gatunków *Calanus* przez alczyki. Niewiele też wiemy o reakcji na zmiany klimatyczne największego *Calanus hyperboreus*, dominującego w wodach Grenlandii i odgrywającego kluczową rolę w funkcjonowaniu troficznych sieci pokarmowych Arktyki. Taka weryfikacja będzie możliwa dzięki ścisłej współpracy z naukowcami z French National Centre for Scientific Research, którzy przekazali mi do badań materiał próbek diety alczyków z ostatnich dwóch dekad.

Kolory w diecie ptaków pod lupą

Alczyki i ich pokarm stanowią kluczowy obiekt moich badań także nad rolą karotenoidów w ekosystemach arktycznych. Karotenoidy to barwniki obecne w organizmach morskich, odgrywające istotną rolę zarówno w zdrowiu ptaków, jak i w funkcjonowaniu całego ekosystemu. Karotenoidy to naturalne związki chemiczne, które można łatwo rozpoznać dzięki ich intensywnym barwom – od jasnożółtej po ciemnoczerwą. Przykładem jest pomarańczowy β -karoten, a także astaksantyna, która nadaje mięsu łososia charakterystyczny kolor. Karotenoidy pełnią kluczową rolę jako przeciwutleniające, chroniąc komórki przed uszkodzeniami. Szczególnie silne działanie antyoksydacyjne i regeneracyjne wykazują karotenoidy pochodzenia morskiego. Mogą one także pełnić funkcję fotoprotekcyjną, pomagając ograniczać negatywne skutki promieniowania UV pochodzącego ze słońca. Co ciekawe, zwierzęta nie są w stanie samodzielnie syntetyzować karotenoidów, jednak mogą je przyswajać i przekształcać wraz z pożywieniem.

Ich obecność w diecie alczyków dostarcza cennych informacji o jakości pożywienia oraz stanie arktycznych wód. Badania te prowadzę w ramach projektu ORANGE „Kiedy kolor ma znaczenie – kluczowe gatunki zooplanktonu arktycznego jako źródło karotenoidów dla ptaków morskich w okresie lęgowym”.



Alczyki – drobne ptaki morskie o ogromnym znaczeniu w Arktyce.

Fot. Piotr Bałazy

finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki w konkursie OPUS-21 (2021/41/B/NZ8/03830).

Do tej pory zmienność karotenoidów w tłuszczach dwóch gatunków *Calanus* (*C. glacialis* i *C. finmarchicus*) oraz innych przedstawicieli zooplanktonu w kontekście zapotrzebowania ich głównego drapieżnika, alczyka, nie została zbadana. Brakuje również badań nad znaczeniem i zmiennością karotenoidów w diecie alczyków. Jest to szczególnie interesujący temat, ponieważ u ptaków karotenoidy zwykle wpływają na barwę upierzenia, co w przypadku czarno-białych alczyków wydaje się nieistotne. W ich przypadku kluczową rolę mogą odgrywać właśnie właściwości antyoksydacyjne tych związków, ich udział w odpowiedzi immunologicznej oraz znaczenie dla prawidłowego funkcjonowania zmysłu wzroku. Do tej pory wpływ karotenoidów na kondycję i przeżywalność alczyków nie był badany, dlatego temat ten stał się głównym obszarem moich analiz.

Na początku projektu postawiłam hipotezę, że zawartość karotenoidów będzie różna na każdym poziomie łańcucha pokarmowego – od protistów, przez widłonogi, aż po alczyki, a różnice te będą zależne od dominujących warunków środowiskowych, czyli odmienne dla regionów o różnym wpływie zimnych kontra cieplejszych mas wodnych. Ponieważ różne gatunki skorupiaków stanowiących dietę alczyków wykazują różne strategie odżywiania, akumulacji tłuszczu i reprodukcji w zależności od warunków środowiskowych, założyłam, że poziom karotenoidów będzie u tych gatunków odmienny, zmieniając się w zależności od lokalnych uwarunkowań. Spodziewam się, że te różnice znajdą odzwierciedlenie w poziomie i składzie karotenoidów we krwi alczyków, co może wpływać na ich kondycję i przeżywalność. Jest to szczególnie istotne, ponieważ widłonogi *Calanus* mogą stanowić jedyne źródło karotenoidów w diecie tych wyjątkowo selektywnych ptaków.

Dotychczasowe wyniki potwierdzają, że największą zawartość karotenoidów zarówno w diecie, jak i we krwi ptaków wykazują alczyki z jednej z kolonii na Svalbardzie. Obszar ten charakteryzuje się typowo arktycznym środowiskiem, a na zerowiskach dominują zimne masy wodne. Dieta tych ptaków jest wyraźnie zdominowana przez widłonogi *Calanus*, szczególnie arktyczny *C. glacialis*, co może tłumaczyć wysoką zawartość karotenoidów. Badania są w toku, a ich podsumowanie planuję opublikować już wkrótce. Na ilość karotenoidów u alczyków mogą jednak wpływać liczne czynniki, nie tylko lokalizacja kolonii czy skład diety, ale także inne aspekty, takie jak poziom zanieczyszczeń.

Jesteś tym, co jesz

Dieta alczyków, składająca się głównie z drobnych skorupiaków, dostarcza im nie tylko niezbędnych tłuszczów i ważnych barwników, ale także zanieczyszczeń, których ilość w Arktyce systematycznie rośnie. Szczególnie niebezpiecznym związkiem, nawet w śladowych ilościach, jest rtęć. Pomimo relatywnie niskiego poziomu industrializacji, regiony arktyczne są wyjątkowo narażone na wysokie stężenia tego toksycznego metalu. Globalne ocieplenie dodatkowo pogłębia problem, powodując topnienie lodowców i uwalnianie zgromadzonych w nich metali ciężkich do ekosystemu morskiego.

W morskiej sieci troficznej toksyny takie jak rtęć zaczynają się kumulować już na poziomie drobnych organizmów planktonowych. Zmiany zachodzące w fitoplanktonie i zooplanktonie mają bezpośredni wpływ na to, ile rtęci przenika do wyższych ogniw łańcucha pokarmowego, w tym do dużych drapieżników – wielorybów, niedźwiedzi polarnych, a w konsekwencji ludzi. W Arktyce kluczową rolę w tej sieci odgrywają widłonogi z rodzaju *Calanus*, które stanowią podstawowe źródło tłuszczu dla wielu ryb, ssaków i ptaków. Te niewielkie skorupiaki nie



Fot. Kaja Bałazy

Pełen tłuszczu i kolorowych karotenoidów największy przedstawiciel z rodzaju *Calanus* osiągający rozmiar ok 7 mm - *C. hyperboreus* w próbce diety alczyka.

tylko dostarczają energii, ale także przenoszą zanieczyszczenia, które drapieżniki następnie akumulują i przekazują potomstwu oraz do środowiska.

Rtęć ma destrukcyjny wpływ na organizmy żywe, działając odwrotnie niż korzystne karotenoidy – upośledza funkcjonowanie układu nerwowego, osłabia reakcje obronne organizmu i w dłuższej perspektywie zmniejsza sukces reprodukcyjny oraz zwiększa śmiertelność. Aby uzyskać pełniejszy obraz wpływu diety i zmian środowiskowych na alczyki oraz funkcjonowanie ekosystemów arktycznych, do badań nad karotenoidami dołączyłam analizy dotyczące właśnie zanieczyszczenia rtęcią. Ich realizacja jest możliwa dzięki finansowaniu przez Narodowe Centrum Nauki projektu ZOOM „Przybliżenie obiegu rtęci: zooplankton w diecie ptaków morskich jako wskaźnik zanieczyszczenia ekosystemów Arktyki”, realizowanego w ramach konkursu OPUS 26 (2024/53/B/NZ8/03196).

Ptaki morskie pełnią rolę istotnych bioindykatorów zanieczyszczenia środowiska na całym świecie. W Arktyce alczyki są idealnym modelem do badań nad bioakumulacją i biomagnifikacją toksyn ze względu na swoją liczną populację, specyficzną dietę opartą na widłonogach *Calanus* oraz wysoką pozycję w łańcuchu pokarmowym. Pomimo istniejących badań dotyczących zanieczyszczenia rtęcią ptaków morskich, w tym alczyków, wciąż istnieje znacząca luka badawcza dotycząca głównego wektora tego toksycznego pierwiastka – zooplanktonu. Projekt ZOOM ma na celu jej wypełnienie poprzez analizę obiegu rtęci w ekosystemach Arktyki, ze szczególnym uwzględnieniem roli zooplanktonu jako kluczowego nośnika najbardziej toksycznej formy rtęci, metylortęci, dla wyższych poziomów troficznych. Badania będą koncentrować się na śledzeniu przepływu rtęci w sieci pokarmowej – od protistów, przez widłonogi i inne gatunki morskich skorupiaków obecnych w diecie alczyków, aż po drapieżne ptaki – w różnych rejonach hydrograficznych, pod wpływem atlantyfikacji, pacyfikacji i zmian klimatycznych.

Wiemy coraz więcej

Badania realizowane w ramach wspomnianych projektów dostarczą pełnej wiedzy na temat jakości diety ptaków, jej zmienności w czasie oraz przestrzeni. Projekty te oparte są na próbkach zebranych z najważniejszych kolonii alczyków z Grenlandii oraz Svalbardu, dzięki szerokiej współpracy międzynarodowej. Nasze wstępne obserwacje wskazują na wyższe poziomy rtęci u alczyków gnieźdzących się w Grenlandii w porównaniu do tych na Svalbardzie. Różnice te wynikają z odmiennego składu diety oraz różnych lokalizacji kolonii. Na Grenlandii obserwujemy znaczący udział w diecie największego przedstawiciela rodzaju *Calanus* – *C. hyperboreus*, a także inny udział składników dodatkowych, tzw. suplementów. Dodatkowo, w regionie Grenlandii występuje większe narażenie na rtęć niż w innych arktycznych lokalizacjach geograficznych.

W ramach projektu zastosowane zostaną zaawansowane narzędzia badawcze, takie jak analizy całkowitej rtęci i metylortęci, badania genetyczne, analizy składu lipidowego i stabilnych izotopów. Planujemy również przeanalizować historyczne dane dotyczące diety i próbek krwi alczyków z różnych regionów Arktyki, co jest kluczowe dla zrozumienia, jak poziomy rtęci zmieniają się wraz z malejącym pokryciem lodowym morza.

Kładąc nacisk na zooplankton jako kluczowe źródło odżywczych substancji, ale jednocześnie główny wektor zanieczyszczeń, i badając ich wpływ na wyższe poziomy troficzne, zwłaszcza planktonożerne ptaki morskie, realizowane w Instytucie Oceanologii PAN projekty mają na celu dostarczenie wszechstronnych informacji na temat stanu i „zdrowia” ekosystemów Arktyki. Wiedza ta pomoże nam lepiej zrozumieć zagrożenia dla środowiska związane z postępującymi zmianami klimatycznymi i przekształceniami w tych odległych i wrażliwych środowiskach.

Badania realizowane są dzięki finansowaniu z Narodowego Centrum Nauki w programie Opus, projekty ORANGE i ZOOM

Dr Kaja Bałazy, Instytut Oceanologii PAN



Fot. Piotr Bałazy

Typowo arktyczny fiord Hornsund - to tutaj znajduje się jedna z największych kolonii alczyków na Svalbardzie.

Wodniczka i tomka

Wodniczka idealnie upodobia się do środowiska, w którym żyje. To dlatego niewprawnemu oku kompletnego laika tak trudno ją dostrzec. Ale ma to też praktyczne znacznie – drapieżniki, które mogłyby czyhać na wodniczkę, też mają problem z dostrzeżeniem jej wśród wysokich trzciny i turzycy.

W czasach studenckich często wędrowaliśmy po podmokłych terenach leżących na północny wschód od Łęcznej. To był egzotyczny, sielski krajobraz, gdzie monotonię płaskich łąk zakłócały kępy zarośli, wyspy drzew, ciekły i oczka wodne oraz dzieła człowieka – brogi z sianem, w których nieraz znajdowaliśmy schronienie przed deszczem, a czasami nawet nocleg. Te widoki pozostały we wspomnieniach i na starych rajdowych fotografiach.

Bagna i torfowiska na pierwszy rzut oka nie wydają się interesujące. Ot, płaskie jak stół, podmokłe, poprzecinane drobnymi ciekami wodnymi i pełne komarów obszary, na które trudno wejść. W praktyce to jednak miejsca ważne dla środowiska, także dla klimatu, i wielu gatunków organizmów. Do niedawna były wykorzystywane rolniczo jako podmokłe pastwiska i łąki kośne. Na północny wschód od Lublina leży taki teren – Polesie Zachodnie, na którym właśnie ze względu na obfitość torfowisk w 1990 roku utworzono Poleski Park Narodowy. Dziś jedną z jego perełek jest Bagno Bubnów, które wraz z przylegającym od wschodu Bagnem Stawy stanowią niezmiernie ważny kompleks torfowisk liczący około 2 tysiące hektarów. To siedlisko licznych gatunków ptaków i innych zwierząt, w tym parkowej „arystokracji”: łosi i żurawi.

Ptasi mimetyzm

Z profesorem Grzegorzem Grzywaczewskim wybieramy się na bagno późnym popołudniem. Tuż przed wieczorem dojeżdżamy terenówką na miejsce. Wsiadamy z auta. Grzywaczewski schyla się, zrywa kępkę trawy i daje mi ze słowami: „wysusz sobie, będzie ci ładnie pachnieć”. Wiążę trawę w warkocz i wsuwam do plecaka. Naszym celem nie jest trawa, lecz wodniczka. To ona zainteresowała mnie podczas rozmowy z uczonym w Lublinie. Słyszałem śpiew tego ptaka i opowieści o nim podczas wizyty w Biebrzańskim Parku Narodowym. Nie wiedziałem, że jest także tutaj „u nas”, co uświadomił mi prof. Grzywaczewski. Dlatego chętnie korzystam z jego zaproszenia na wędrowną w jej poszukiwaniu.

Jest nas trzech: prof. Grzywaczewski, jego student, który przygotowuje dyplom z wodniczki i ja. Zakładamy wodery i zagłębiając się w bagno. Nie jest bardzo mokro, a do tego profesor doskonale zna teren i wytyczył transekt tak, żeby unikać zarośniętych dziś trawą rowów melioracyjnych i zalanych wodą, zarośniętych i niewidocznych na pierwszy rzut oka zapadlisk po wydobyciu torfu. Jest na tyle sucho, że mimo wieczornej pory nie ma komarów, co mnie zaskoczyło.

Grzywaczewski trzyma w ręku GPS i notes. Student ma rejestrator dźwięku i statyw. Wszyscy mamy aparaty fotogra-

ficzne. Ruszamy w trawy i turzycę. Jest cicho, słońce chyli się ku zachodowi. Gdy usłyszymy śpiew samca wodniczki, przystajemy. Prof. Grzywaczewski na podstawie GPSa ustala pozycję ptaka i dokładnie notuje współrzędne geograficzne. Student rozstawia statyw i uruchamia rejestrator dźwięku. Trzeba nagrać około kilkuminutową sekwencję śpiewu każdego samca wodniczki. Fotografujemy – obaj przyrodnicy bez problemu z odległości dwudziestu – trzydziestu metrów wypatrują wśród trzciny drobnego ptaszka. Ja go nie potrafię dostrzec. Dopiero bardzo szczegółowe wskazówki moich „wodniczkowych Cicerone” pozwalają mi zauważyć przez lornetkę brązowo – szaro – czarno ubarwionego samczyka wodniczki wielkości wróbla. Przy okazji od prof. Grzywaczewskiego dostaję indywidualny wykład o mimetyzmie wśród ptaków. Wodniczka idealnie upodobia się do środowiska, w którym żyje. To dlatego niewprawnemu oku kompletnego laika, jak ja, tak trudno ją dostrzec. Ale ma to też praktyczne znacznie – drapieżniki, które mogłyby czyhać na wodniczkę, też mają problem z dostrzeżeniem jej wśród wysokich trzciny i turzycy.

Poruszamy się powolutku, unikając przeszkód terenowych. Prof. Grzywaczewski opowiada o wodniczce. To endemiczny ptak podmokłych terenów Europy Środkowo-Wschodniej. Oprócz Polski występuje w znacznie większej liczbie na podmokłych terenach Białorusi i Ukrainy oraz bardzo nielicznie na Litwie. Liczebność populacji ocenia się na około sto tysięcy osobników, z czego w Polsce bytuje raptem kilka tysięcy, a na samym Bagnie Bubnów – kilkaset. Grzywaczewski jeszcze kilka lat temu policzył około 400 samców. Obecnie jest ich raptem dwieście pięćdziesiąt. Wodniczka to wędrowiec. U nas przebywa wiosną i latem. Na środkowoeuropejskich torfowiskach zakłada gniazda i wydaje 2 legi rocznie. Pierwszy licniejszy od drugiego. Na zimę leci do Afryki na mokradłach w Sahelu Zachodnim, od Senegalu i Mali po Ghanę. To słabo poznana migracja. Możliwe, że dzięki nowoczesnym metodom teledetekcji wkrótce dowiemy się o niej więcej.

Słońce znika za horyzontem. W blasku ostatnich wieczornych zórz zwracamy do auta. Jest cisza, która pogłębia niesamowity nastrój poleskiego bagna. Grzegorz Grzywaczewski opowiada o sposobie użytkowania tych terenów w przeszłości i o ich osuszeniu w latach 60. i 70. XX wieku. W wyniku melioracji praktycznie zniknęło największe torfowisko Polesia Lubelskiego – Krowie Bagno. Dzisiaj to rozległy teren uprawny. Dzięki powstaniu Poleskiego Parku Narodowego udało się uchronić resztę niezwykłych podmokłych terenów w tej okolicy. Mimo,

że samo Krowie Bagno już nie istnieje, sporo o nim wiemy, gdyż od lat przyciągało badaczy. Prof. Grzywaczewski wspomina dwudziestowieczne badania Władysława Taczanowskiego, który był kustoszem Gabinetu Zoologicznego Szkoły Głównej w Warszawie oraz prace prof. Andrzeja Dyrca z Uniwersytetu Wrocławskiego, który w połowie XX wieku, jeszcze przed melioracjami, prowadził badania w tym terenie i dokładnie opisał przyrodę Krowiego Bagna. Obaj byli ornitologami, więc dokładnie wiemy, jakie ptaki żyły dawniej w tych stronach.

Wodniczki mają trudniej

Grzegorz Grzywaczewski przekonuje, że zasobami przyrody musimy mądrze gospodarować. „Co chcemy zachować?” – pyta. I odpowiada sobie (i mi przy okazji): „To, co zastaliśmy i uznaliśmy za cenne. A co robimy? Pozostawiamy chronione tereny naturalnej sukcesji. Na pewno nie jest ona korzystna dla torfowisk, które szybko zarastają trzciną, krzewami, a na wyniosłych, suchszych kępach także drzewami. Tymczasem torfowiska dzięki rolniczemu wykorzystywaniu były niegdyś terenami otwartymi. To czyniło je atrakcyjnymi dla wielu gatunków ptaków, w tym wodniczki”, która jest od lat przedmiotem jego zainteresowań. Profesor wymienia też ptaki siewkowe, wymagające otwartych przestrzeni i wilgotnego podłoża. „To ptaki, które mają długie nogi, długie dzioby, a ich „restauracją” są wilgotne podłoża – to może być torfowisko, wilgotna gleba, nadbrzeżny piasek - z których wydłubują swoje przysmaki” – tłumaczy. „Na Bagnie Bubnów, niewielkim w końcu obszarze, gniazduje i rozmnaża się dziewięć z jedenastu obecnych w Polsce gatunków tych ptaków.” I wymienia je jednym tchem: „Dubelt - niezwykle rzadki ptak, który na przełomie kwietnia i maja rozpocznie tokowisko na otwartych torfowiskach, kulik wielki, rycyk, krzyk, krwawodziób, czajka, słonka, samotnik, siewczka obroźna.”

Dlaczego Bagno Bubnów nie zarosło, jak inne podobne tereny pozostawione samym sobie na żer naturalnej sukcesji? Bo jest regularnie koszone. Dba o to Poleski Park Narodowy, a koszty ponosi Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa z programów rolno-środowiskowo-klimatycznych, a zatem czynnik rolniczy, produkcyjny ma dla niej znaczenie. Jak to wygląda w praktyce na Bagnie Bubnów? „Raz w roku koszona jest połowa torfowiska. Przez to mamy co prawda otwartą przestrzeń, ale też połowa terenów, które mogłyby być schronieniem i miejscem lęgów dla wodniczki jest z tego wyłączanych na dłuższy czas, bo wiosną następnego roku po koszeniu nie ma jeszcze dość wysokich turzyc i trzcin, żeby ten drobny

śpiewak mógł pod ich pułapem znaleźć schronienie” – opowiada Grzegorz Grzywaczewski. To właśnie sprawia, że wodniczki mają trudniej.

Byłem kiedyś świadkiem tego zdarzenia. Był początek września. Pojechałem na Czachary – zespół wień obserwacyjnych i ścieżkę przyrodniczą po północnej stronie Bagnie Bubnów, gdzie spodziewałem się zobaczyć gromadzące się tłumnie żurawie. Obserwowałem tam wielokrotnie ogromne skupiska tych pięknych ptaków. Nie tym razem. Zostałem wykoszone torfowisko, usłane belami siana i huk silników potężnych traktorów, które je zwoziły. Żurawi było niewiele i bardzo daleko od typowych miejsc gromadzenia się. Mówię o tym profesorowi. „Właśnie koszenie o tej porze sprawia, że na drugi rok nie ma siedlisk dla wodniczki. Zasiadła takie miejsca później, dopiero w czerwcu na drugi lęg, który jest słabszy niż ten pierwszy” – mówi. „Gdybyśmy teren podzielili na pięć fragmentów i kosili tylko jedną piątą rocznie, torfowisko byłoby chronione przed naturalną sukcesją, a równocześnie na czterech piątą mieliśmy miejsce dla ptactwa, które najlepiej się czuje na pograniczu terenów wykoszonych i porośniętych wyższą roślinnością: turzycami i trzcinami.” To wynika z badań, które Grzegorz Grzywaczewski prowadzi od lat na terenie i na zlecenie Poleskiego Parku Narodowego. Uczony uważa też, że rezygnacja z rolniczych celów koszenia i wykonywanie tego zabiegu późną jesienią, po odlocie ptaków, w tym żurawi, poprawiłaby ich sytuację. Jak mnie informuje, wkrótce raport z jego badań, wraz z zaleceniami, trafi do dyrekcji parku. Zmiana sposobu użytkowania torfowisk poprawiłaby siedliskowe warunki wielu gatunków zwierząt i ptaków.

Już po ciemku dojeżdżamy do domu uczonego, który nie tylko mieszka w pobliżu bagna, ale tam się też wychował i dlatego czuje, że tam jest u siebie. Przerzucam plecak do swojego auta i powoli ruszam do domu. Po kilkunastu minutach zanurzam się we wspomnieniu. Kabinę wypełnia aromat trawy podarowanej mi przez Grzegorza Grzywaczewskiego. Początkowo nie kojarzę tego faktu ze wspomnieniem podmokłych łąk nad Gorajką, gdzie z dziadkiem kosiłem siano, a po wysuszeniu gromadziliśmy je w stogach na nieznacznych suchych wzniesieniach, ładowaliśmy na drabiniasty wóz i stromą drogą, prowadzącą głębokim wąwozem, zwoziliśmy do gospodarstwa. To wtedy, leżąc na trzęsącej się na wybojach polnej drogi wysokożej górze siana i obserwując rozgwieżdżone niebo, czułem ten zapach. Widocznie na łąkach w Zaburzu też rosła tomka wonna.

Piotr Kieraciński



Król MBA bez doktoratu

Poprosiłem prof. Pawła Czarneckiego o komentarz, ale nie odpowiedział. W praktyce, te odwołania są mu niepotrzebne, gdyż ma dodatkowy „zapasowy” doktorat ze Słowacji, jak i dwie słowackie habilitacje oraz słowacką profesurę.

Senat Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej na posiedzeniu w dniu 27 lutego 2025 r. unieważnił doktorat prof. Pawła Czarneckiego, byłego rektora Collegium Humanum. Historię tej dysertacji i walki kilku eminentnych profesorów (dziś już nieżyjących) o utrzymanie tego nierzetelnie uzyskanego stopnia opisałem rok temu (*Nierzetelny doktorat byłego rektora – reaktywacja*, FA 4/2024). Wówczas odkryłem również, że tekst dysertacji P. Czarneckiego w dużej części opiera się in extenso na trzy lata wcześniejszej, obronionej na UKSW w 2001 r., pracy magisterskiej obecnego dr. hab. Krzysztofa Łojka. Po tym odkryciu natychmiast (24 marca 2024 r.) zwróciłem się do rektora ChAT, abp. prof. Jerzego Pańkowskiego, o wznowienie postępowania administracyjnego w celu unieważnienia nadanego 20 lat temu doktoratu. Trzeba dodać, że uczelnia po wznowieniu tej samej procedury 26 maja 2014 r. przez Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów potwierdziła liczne i obszerne naruszenia praw autorskich w tej dysertacji, jednak w wyniku zakulisowych nacisków podczas głosowania Rady Wydziału Teologicznego ChAT w dniu 29 października 2015 r. tyle samo głosów profesorskich padło za odebraniem stopnia, co za jego utrzymaniem. Ówczesny dziekan nie zabrał głosu, a w takim wypadku głos przewodniczącego przeważa. W związku z tym nie uchylono wówczas uchwały o nadaniu stopnia.

Wprawdzie Prezydium CK 21 marca 2016 r. kolejny raz wznowiło przewód doktorski Pawła Czarneckiego, ale ówczesny rektor ChAT, dr hab. Bogusław Milerski, pozwolił na włożenie tej sprawy „do szuflady”. Ponieważ nikt, także CK, nie dopytywał, czy procedurę poprowadzono i dokończono, sprawa odeszła w zapomnienie aż do kwietnia 2024 r.

W tym czasie prof. Paweł Czarnecki „się usamodzielniał”. Ze stołka rektora Wyższej Szkoły Menadżerskiej przy ul. Kawęczyńskiej 36 w Warszawie (uczelnia nadal jest pod tym samym adresem, ale pod nazwą: Menadżerska Akademia Nauk Stosowanych w Warszawie; jej założycielem i właścicielem jest dr Stanisław Dawidziuk) przeniósł się na fotel rektora założonej w lipcu 2018 r. własnej uczelni: Collegium Humanum Szkoły Głównej Menadżerskiej w Warszawie. Uczelnia szybko stała się popularna, a po zgodzie ówczesnego Ministerstwa Edukacji i Nauki na powszechne nauczanie zdalne z powodu panującej epidemii, w marcu 2024 r. na wielu kierunkach kształciła już 25 tysięcy studentów. Studiowali oni zarówno w Warszawie, jak i w pięciu polskich filiach-ośrodkach zamiejscowych oraz filiach zagranicznych w Czechach, Słowacji, Uzbekistanie i Austrii (w sumie powstało 13 filii CH). Przy takiej liczbie studentów uczelnia zatrudniała na etatach 80 nauczycieli akade-

mickich. Jak wypowiadali się później studenci, zachęcono ich do studiowania tym, że uczelnia podchodziła do zajęć i zaliczeń oraz egzaminów w sposób „bezsstresowy”, co powodowało, że prawdziwą sztuką było nie uzyskać zaliczenia lub nie zdać egzaminu.

Blask nazwisk

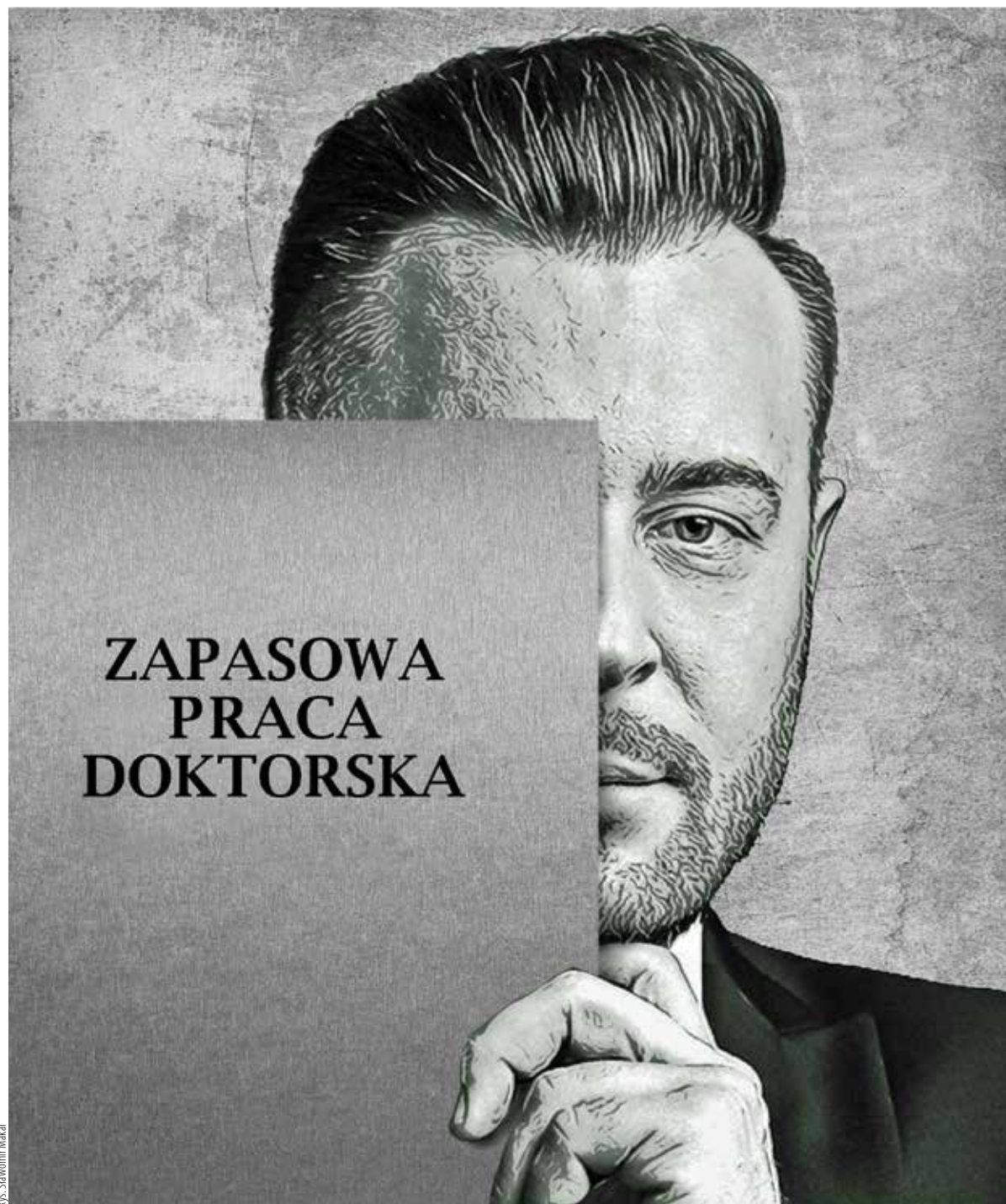
Wiosną 2024 r. artykuły red. Renaty Kim z „Newsweeka” spowodowały bolesny upadek rektora Czarneckiego i załamanie się „prestżu” Collegium Humanum, jako ośrodka szkolącego „tanio i szybko” nie tylko masy studenckie na studiach dziennych i zaocznych, ale i na studiach podyplomowych. Na tych ostatnich kwalifikacje do zarządzania w biznesie nabywały zarówno elity samorządowej władzy, jak i kierownictwa licznych instytucji krajowych, w tym m.in. wyższych oficerów straży pożarnej i policji.

P. Czarnecki został zmuszony do rezygnacji z kierowania uczelnią w lutym 2024 roku, a prowadził ją „żelazną ręką”. Na jego miejsce trafiły dwie osoby: najpierw dr hab. Ilona Makowska, a następnie dr hab. Paweł Poszytek. Oboje po krótkim czasie zrezygnowali z uporządkowania tej „stajni Augiasza”. Nazwę uczelni, Collegium Humanum, która już zdążyła się odcisnąć w pamięci Polaków, zmieniono na Uczelnia Biznesu i Nauk Stosowanych „Varsovia”. Obecnie jej rektorem od 26 września 2024 r. jest – ze wskazania zarządcy uczelni, doradcy restrukturyzacyjnego, mgr. Bartosza Kłapacza z Katowic – mgr Magdalena Liliana Stryja. To prawniczka, adwokatka i była wieloletnia pracownica Dziekanatu Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego. To ją ściągnął z Katowic zarządca w połowie marca 2024 r., a następnie powołał od 11 czerwca 2024 r. na stanowisko prorektora ds. rozwoju i współpracy, pełniącej obowiązki rektora. Dla pełnego oddania obrazu sytuacji dodam, że obecna prorektorka tej uczelni ds. studenckich, p. Beata Biała, nie ma nawet magisterium.

Warto też wspomnieć, że od 1 października 2024 r. w Uczelni Biznesu i Nauk Stosowanych „Varsovia” zatrudniony jest dr Andrzej Cwer. Ten pedagog, pracujący wcześniej na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach, ponad 10 lat temu, otwierając przewód habilitacyjny na UMCS w Lublinie, do dorobku habilitacyjnego dodał kilka nieistniejących osiągnięć (np. udział w sześciu zagranicznych konferencjach naukowych) oraz autorstwo dwunastu nieistniejących artykułów m.in. w kanadyjskich i amerykańskich czasopismach naukowych (patrz: *Nieistniejące publikacje habilitanta*, FA 5/2014). Drugą zatrudnioną tam osobą, która była kilkakrotną

„bohaterką” moich artykułów, jest dr hab. Elżbieta Żywucka-Kozłowska, której ostatnio na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu w Białymstoku unieważniono habilitację, a Sąd Okręgowy w Szczecinie prawomocnie potwierdził naruszenie praw autorskich w jej rozprawie. Zasłynęła z tego powodu, że niesłusznie oskarżyła o plagiat dr hab. Małgorzatę Kowalczyk, prof. UMK, od której przepisała znaczne fragmenty tekstu do swojej habilitacji (patrz: *Poszkodowana oskarżoną*, FA 6/2019). Ta ostatnia straciła wiele zdrowia i pieniędzy, zanim oddalono wysłane z palca oskarżenie. Dr Żywucka-Kozłowska (ur. 1964) jest od roku na emeryturze, ale wówczas pracowała w Katedrze Prawa Karnego Wykonawczego i Psychologii Sądowej (kierownik: dr hab. Krystyna Szczechowicz) Wydziału Prawa i Administracji UWM w Olsztynie.

Z niedowierzaniem i zdumieniem dowiedziałem się, że zgodnie z obowiązującą ustawą PSWN, aby zostać rektorem uczelni niepublicznej wystarczy legitymować się dyplomem magistra, nie trzeba posiadać stopnia naukowego doktora. Obecnie rektorami co najmniej kilku uczelni niepublicznych są osoby bez stopnia naukowego, w tym: mgr inż. Ewa Pańska w Wyższej Szkole Zarządzania „Edukacja” we Wrocławiu, mgr Dariusz Śmieszek w Akademii Nauk Stosowanych we Wrocławiu, mgr Małgorzata Malcan-Kończakowska w Wyższej Szkole Nauk Pedagogicznych w Warszawie. Wcześniej rektorem tej uczelni była mgr Anna Dzierżan, która obecnie kieruje Szkołą Główną Krajową w Warszawie. To tam właśnie cztery lata temu dzisiejszy rektor, mgr D. Śmieszek, zbierał doświadczenia w pracy z młodzieżą jako kierownik dziekanatu. Nie wiadomo czy się śmiać, czy płakać...



Rys. Sławomir Makal

Działania ChAT

Po otrzymaniu w końcu marca 2024 r. informacji, że obszerne zapożyczenia pochodzą z wcześniej obronionej pracy magisterskiej, rektor ChAT zwrócił się do władz UKSW z wnioskiem o kopię magisterium Krzysztofa Łojka, którą niezwłocznie przekazano. Po przekonaniu się, że w doktoracie P. Czarneckiego istnieją zapożyczenia z magisterium K. Łojka, Rada Wydziału Teologicznego, na podstawie art. 105 § 1 kpa, podjęła 27 czerwca 2024 r. uchwałę o umorzeniu wznowionego postępowania w przewodzie doktorskim P. Czarneckiego. Wszczęto je postanowieniem Centralnej Komisji z 21 marca 2016 r., a powodem był fakt, że wznowione przed ośmiu laty postępowanie podjęto w tej samej sprawie, która została już rozstrzygnięta decyzją ostateczną Rady Wydziału z 29 października 2015 r. (pat w głosowaniu). Obecna uchwała unieważniająca spełniała też wniosek pełnomocnika P. Czarneckiego z 22 listopada 2016 r. oraz powtórną z 8 grudnia 2020 r., w których żądano umorzenia sprawy wznowieniowej.

Należy dodać, iż w połowie maja 2024 r. na ręce władz diekańskich wpłynęła zamówiona wcześniej opinia-ekspertyza profesora uczelnianego, dr hab. Jerzego Sojki z Katedry Teologii Historycznej ChAT. Ta 17-stronicowa ekspertyza, zawierająca tabelę konkordancyjną z krótkim komentarzem, precyzyjnie wykazuje przejęte przez P. Czarneckiego do doktoratu całe zdania, fragmenty czy strony z pracy magisterskiej J. Łojka. Stwierdzono, że także bibliografia i załączone aneksy wskazują te same źródła. Prof. Sojka w podsumowaniu stwierdził, że tylko w rozdziale pierwszym, wprowadzającym nie ma żadnych zapożyczeń i można go określić jako samodzielny. Pozostałe zawierają od 44% do 98% prawie dosłownych przejęć. Całość rozdziałów merytorycznych w doktoracie to 206 stron, a z pracy magisterskiej J. Łojka przepisano 96,5 strony, co stanowi 46% objętości tej części dysertacji. J. Sojka podkreślił, że po wyłączeniu „czystego” pierwszego rozdziału, w pozostałych stronach doktoratu (87-219) aż 72% tekstu jest tożsame z tekstem magisterium. Podał też, że „większość miejsc tożsamych ma charakter bezpośredniego zapożyczenia słowo w słowo”. Pozostałe zmiany ograniczają się do poprawek stylistycznych, zmian konwencji zapisu czy korekty błędów lub drobnych uzupełnień. Opiniodawca podkreśla, że „przejęto nie tylko tekst główny, ale całość aparatu naukowego ujętego w przypisach”. Pozwala to jednoznacznie stwierdzić, iż mgr Paweł Czarnecki w rozprawie doktorskiej „dopuścił się nierzetelności naukowej (tzn. przypisania sobie autorstwa istotnego fragmentu lub innych elementów cudzego utworu lub ustalenia naukowego)”.

Rada Wydziału Teologicznego ChAT 26 września 2024 r., na podstawie art. 195 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z 20 lipca 2018 r., wszczęła postępowanie administracyjne, które prowadzi do unieważnienia przewodu doktorskiego, jeśli stwierdzono naruszenie praw autorskich. Podstawą do tego twierdzenia była przytoczona opinia dr hab. Jerzego Sojki, prof. ucz. Jednocześnie następną uchwałą Rada powołała trzech recenzentów: ks. dr hab. Norberta Jerzaka z Wrocławia, prof. Krzysztofa Lewalskiego z Gdańska oraz ks. prof. Marcina Składanowskiego z Lublina. O powyższych krokach powiadomiono pełnomocników prof. P. Czarneckiego, który przebywał w owym czasie – od marca do połowy listopada 2024 – poza Warszawą.

Na początku października 2024 r. dziekan dr hab. Jerzy Ostapczuk, prof. ChAT przesłał biegłym recenzentom ekspertyzę prof. J. Sojki, kopię pracy magisterskiej *Rozłam w łonie Starokatolickiego Kościoła Mariawitów w 1935 roku (studium historyczne)*, obronionej w 2001 r., i doktoratu Pawła Czarneckiego *Geneza, przebieg i skutki rozłamu w Starokatolickim Kościele Mariawitów w Polsce, w roku 1935*, obronionego 17 czerwca

2004 r. Wszystkie recenzje spłynęły do dziekana w ciągu trzech miesięcy.

Głos pierwszego recenzenta-eksperta

Pierwsza recenzja przyszła już po sześciu tygodniach. Jej autorem jest prof. Krzysztof Lewalski, kierownik Zakładu Historii XIX wieku Instytutu Historii UG. To poważany badacz stosunków wyznaniowych na ziemiach polskich, w tym dziejów kościołów chrześcijańskich w ostatnim dwustuleciu. Zajmował się też mariawityzmem. W recenzji dokładnie kontrolował odniesienie się mgr P. Czarneckiego do źródeł, dlatego m.in. odkrył plagiat z książki Stanisława Rybaka.

Napisał: „Po lekturze, analizie i porównaniu pracy magisterskiej K. Łojka z pracą doktorską P. Czarneckiego oraz po zapoznaniu się z ekspertyzą dra hab. J. Sojki z d. 10 maja 2024 r. w przedmiotowej sprawie, w pełni podzielam konkluzję zawartą w rzeczonej ekspertyzie. Przeprowadzona analiza porównawcza nie pozostawia żadnych wątpliwości, że P. Czarnecki dopuścił się nierzetelności naukowej, której skala jest porażająca, a zuchwałość czynu niebywała. (...) W trakcie lektury wspomnianych rozdziałów pracy P. Czarneckiego moją szczególną uwagę zwróciły cytaty ze źródeł (np. s. 55, 56, 57, 58) bądź całe akapity tekstu (np. s. 72-73, 77-78, 82-83) pozbawione odsyłaczy oraz przypisy informacyjne nie zawierające żadnej wskazówki bibliograficznej, skąd te informacje zostały zaczerpnięte, np. przypis 52 na s. 31, przypis 97 na s. 63, przypis 98 na s. 64, przypis 112 na s. 76, przypis 119 na s. 84. Porównanie rzeczonych fragmentów z opracowaniem Stanisława Rybaka, Mariawityzm. Studium historyczne, Warszawa 1992, wykazało, że w pracy P. Czarneckiego znajdują się, nieopatrzone odsyłaczami, całe fragmenty przejęte z rzeczonego opracowania S. Rybaka, zarówno cytowane przez niego źródła, jak i fragmenty jego narracji. Dotyczy to zwłaszcza tekstu w pracy P. Czarneckiego na stronach od 18 do 106, co odpowiada fragmentom tekstu z pracy S. Rybaka ze stron od 10 do 91. Co zaś tyczy się przypisów informacyjnych, o których była mowa, to są to fragmenty pochodzące zarówno z tekstu głównego, jak i z przypisów, też z opracowania S. Rybaka, odpowiednio ze stron: 20, 55, 69, 80. (...) Uważna lektura pracy doktorskiej P. Czarneckiego wykazuje inne jeszcze uchybienia, które są dowodem braku kompetencji badawczych oraz chaosu warsztatowego”. Recenzent zwraca uwagę, że doktorant podaje, iż odmówiono mu dostępu do Archiwum Mariawitów w Felicjanowie oraz Archiwum Diecezjalnego w Lublinie, jednak w przypisach podaje dokumenty z tych archiwów. Pokazuje też wiele niedokładności i pomyłek w cytowanych innych źródłach, co sugeruje, że P. Czarnecki do źródeł nie dotarł, a jedynie powoływał się na nie, nie ujawniając tego faktu, co jest naruszeniem dobrych obyczajów. Recenzja zakończona jest mocnym podsumowaniem: „W świetle powyższego, z pełnym przekonaniem stwierdzam, że praca Pawła Czarneckiego nie powinna stać się podstawą do uzyskania przez niego stopnia naukowego doktora, ponieważ jest «produktem» opisanym w literaturze jako plagiat, zatem nie stanowi oryginalnego rozwiązania problemu naukowego, świadczy o braku umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej, nie wspominając już o złamaniu podstawowych zasad etyki”.

Głos drugiego recenzenta-eksperta

Drugim recenzentem był 46-letni ks. prof. Marcin Składanowski z Katedry Systemów Politycznych i Komunikowania Międzynarodowego Wydziału Nauk Społecznych KUL w Lublinie. Ten eklezjast i teolog dogmatyczny po dokładnej analizie obydwu prac zgodził się z ekspertyzą J. Sojki. „Porównanie dzieła Pawła Czarneckiego z pracą magisterską Krzysz-

tofa Łojka wskazuje, że jego obszerne fragmenty zostały wprost przejęte z pracy magisterskiej, niekiedy tylko z niewielkimi korektami językowymi i technicznymi (takimi jak stosowanie kursywy dla niektórych nazw własnych, w tym dla Starokatolickiego Kościoła Mariawitów). W żadnym przypadku zależność od pracy Krzysztofa Łojka nie została oznaczona w przypisie, jak już bowiem wskazano, praca ta nie znalazła się nawet w zestawieniu bibliografii. Zbieżności między dwiema pracami nie da się uzasadnić tożsamością przedmiotu badań oraz literatury źródłowej. Zbieżność ta dotyczy bowiem nie tylko faktów (co byłoby zrozumiałe), ale również ich autorskiej interpretacji”.

Analizując bardzo dokładnie literaturę przedmiotu i jej obecność w pracy doktorskiej, prof. Składanowski pisze: „W rozdziale I pracy, zatytułowanym «Historyczno-społeczna charakterystyka Kościoła Mariawitów», zależność od pracy magisterskiej Krzysztofa Łojka jest najmniejsza. Jest to rozdział słaby, przypominający fakty znane w literaturze przedmiotu, niezawierający żadnej naukowej analizy źródeł. Nawet jednak w tym rozdziale autor stosuje praktyki niedopuszczalne w dysertacji naukowej. W szczególności przejmując bez zmian fragmenty książki Stanisława Rybaka «Mariawityzm. Studium historyczne», często nie opatrując ich przypisami ani cudzysłowem”.

Warto zauważyć, że dziekan i Rada Wydziału Teologii prosząc o opinię trzech wybranych recenzentów, specjalnie nie poinformowała ich, że dysertacja prof. Czarneckiego jest oparta zarówno na pracy K. Łojka, jak i S. Rybaka. Zarzuty ekstensywnego plagiatu z Rybaka „przedawniły się”, gdyż użyto ich w poprzednim wznowieniu, zakończonym niefortunnym remisem w głosowaniu Rady Wydziału Teologii, w wyniku którego zabrakło jednego głosu, aby unieważnić doktorat.

Przypominam, że wtedy znany wszystkim, dobrze udokumentowany zarzut „obszernego – bo 85 stron – plagiatu z Łojka” wykoleił swoim oświadczeniem prof. Wojciech Słomski, który jako wydawca książki K. Łojka potwierdził, że została ona wydana w 2007 r., a data 2001 r. na okładce to „błąd drukarski”. A to by oznaczało, że to Łojek przepisywał od Czarneckiego. Udowodniono, że to była nieprawda.

Jak P. Czarnecki bez skrępowań „kradł” tekst od K. Łojka, pokazuje poniższy fragment z recenzji prof. M. Składanowskiego: „Bulwersujące jest, że Paweł Czarnecki wprost, pisząc w pierwszej osobie, przypisuje sobie wypowiedź Krzysztofa Łojka na temat znaczenia rozprawy: patrz Czarnecki, s. 226: «Opierając się przede wszystkim na materiałach źródłowych drukowanych (zastanych), podjąłem próbę, aby w tej dysertacji przedstawić ewolucję doktryny mariawickiej autorstwa abp J. Kowalskiego, która przyczyniła się do rozłamu i podziału w Starokatolickim Kościele Mariawitów».

Łojek, s. 122: «Sądzę, że opierając się przede wszystkim na materiałach źródłowych drukowanych, udało się w tej pracy przedstawić ewolucję doktryny autorstwa arcybiskupa Jana Marii Michała Kowalskiego, która przyczyniła się do podziału w Starokatolickim Kościele Mariawitów».

We wniosku końcowym ks. prof. Marcin Składanowski stwierdza, że rozprawa doktorska P. Czarneckiego: „1) nie prezentuje ogólnej wiedzy teoretycznej kandydata w dyscyplinie nauki teologicznej – z uwagi na brak znajomości i poprawnego stosowania metod badawczych właściwych dyscyplinie; 2) nie prezentuje umiejętności samodzielnego prowadzenia pracy naukowej – z uwagi na całkowitą zależność od ustaleń dokonanych przez innych autorów, w szczególności przez Krzysztofa Łojka; 3) nie stanowi oryginalnego rozwiązania problemu naukowego – z uwagi na przypisanie sobie przez Pawła Czarneckiego obszernych fragmentów pracy magisterskiej Krzysztofa Łojka. (...) nie spełnia też określonych wymagań w prawie polskim” i powinna zostać unieważniona.

Głos trzeciego recenzenta-eksperta

Recenzja pióra ks. dr. hab. Norberta Jerzaka, kierownika Katedry Historii Kościoła w czasach nowożytnych i współczesnych Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu, przyszła w końcu stycznia 2025 r. Recenzent bardzo dokładnie, zdanie po zdaniu, strona po stronie, porównał obie prace i ocenił, że „należy stwierdzić, że do pracy doktorskiej Pawła Czarneckiego skopiowano z niewielkimi zmianami i uzupełnieniami całość pracy magisterskiej Krzysztofa Łojka bez podania źródła zapożyczenia. Należy stwierdzić, że miejsca zapożyczone w pracy doktorskiej Pawła Czarneckiego z pracy magisterskiej Krzysztofa Łojka to zapożyczenie identyczne (słowo w słowo), używając języka komputerowego to zabieg «kopiuju» a potem «wklej». Identyczność dotyczy samego tekstu, ale także aparatu naukowego w postaci przypisów dolnych oraz ciągu wnioskowania i prezentacje badań. Różnice tekstu to tylko drobne korekty stylistyczne czy poprawki błędów”. Recenzent stwierdził, że jedynie rozdział I nie ma zapożyczeń z Łojka i można uznać, że jest oryginalny, ale jego znaczenie dla całości rozprawy jest niewielkie.

W konkluzji napisano: „1) Paweł Czarnecki, ubiegając się o stopień naukowy doktora, skopiował do swojej rozprawy doktorskiej niemal w całości pracę magisterską Krzysztofa Łojka bez żadnych odesłań i odniesień do tej pracy, w wyniku czego przypisał sobie autorstwo istotnego fragmentu cudzego utworu, co w konsekwencji powoduje obowiązek stwierdzenia przez podmiot doktoryzujący nieważności decyzji (uchwały) o nadaniu mu stopnia naukowego doktora. 2) Stwierdzenie nieważności decyzji (uchwały) o nadaniu stopnia naukowego doktora może i powinno nastąpić niezwłocznie, nawet jeżeli od dnia jej doręczenia lub ogłoszenia upłynęło dziesięć lat, a także jeżeli decyzja wywołała nieodwracalne skutki”.

Unieważnienie doktoratu

Po przedstawieniu dokumentacji pełnomocnikowi prof. Pawła Czarneckiego, którym w tym wypadku był mecenas Dawid Biernat, ten wystąpił o umorzenie postępowania na podstawie art. 105 § 1 kpa, motywując, iż stało się ono bezprzedmiotowe w całości. Poprosił także o przeprowadzenie dowodu z dokumentu, jakim jest oświadczenie prof. Wojciecha Słomskiego z 10 marca 2014 r. w którym ten oświadczył m.in. że w latach 1989-1999 zbierał materiały dotyczące starokatolicyzmu i przeprowadził kwerendę w archiwach państwowych i zbiorach prywatnych. Jednak planowana książka nie powstała, dlatego przekazał zebrane materiały osobno Krzysztofowi Łojkowi i osobno Pawłowi Czarneckiemu. Obaj je wykorzystali przy pisaniu swoich prac, a on im więcej nie pomagał. Taka pomoc techniczna, jego zdaniem, nie narusza dobrych obyczajów w nauce. Jego prawa autorskie nie zostały naruszone. Zdaniem pełnomocnika, faktem jest, że „pomiędzy dwoma wskazanymi utworami zachodzą pewne zbieżności”. Te „ewentualne podobieństwa fragmentów obu prac, nie są skutkiem przypisania sobie autorstwa przez P. Czarneckiego. Przypadkowo zaistniałe zbieżności są wynikiem tego, że obaj autorzy oparli swoje prace na materiałach przekazanych im przez prof. dr. hab. Wojciecha Słomskiego. (...) Jednocześnie, ani Krzysztof Łojek ani Paweł Czarnecki nie mieli świadomości, że te same materiały zostały przekazane im dwóm – co wynika z załączonego oświadczenia. Z powyższego w sposób oczywisty wynika, że w sprawie w ogóle nie doszło do przypisania autorstwa, co czyni toczące się postępowanie bezprzedmiotowym w całości”.

Posiedzenie Senatu

Proces unieważnienia przewodu doktorskiego prowadziła Rada Wydziału Teologicznego ChAT, a nadzorował

go dokładnie dziekan, prof. Jerzy Ostapczuk. Jednak z końcem roku kalendarzowego 2024 w uczelni nastąpiły poważne zmiany prawne: 12 grudnia zmieniono Statut, w związku z czym z dniem 1 stycznia 2025 r. sprawy awansów naukowych (doktoratów, habilitacji) przeszły z kompetencji rad wydziałów do Senatu. Opóźniona o ponad 6 tygodni recenzja ks. dr. hab. Norberta Jerzaka spowodowała, że ostateczną decyzję w sprawie doktoratu P. Czarneckiego musiał podjąć Senat. Zasiada w nim 11 samodzielnych pracowników naukowych i tylko oni mogą głosować nad nadaniem czy odebraniem stopni naukowych. Na posiedzeniu 27 lutego 2025 r. stwierdzono nieważność decyzji o nadaniu stopnia doktora Pawłowi Czarneckiemu. Uzasadnienie uchwały jest szczegółowe i dobrze napisane. Przedstawia losy tego doktoratu, poczynając od jego pierwszego wznowienia z urzędu przez

Centralną Komisję, którego powodem było złożone przeze mnie powiadomienie.

Zapewne w ciągu 14 dni od chwili otrzymania uchwały unieważnieniowej P. Czarnecki i jego prawnicy odwołają się od tej decyzji. Najpierw do RDN, a później kolejno do WSA i NSA. Procedowanie tych odwołań zajmie na pewno cztery lata. Poprosiłem P. Czarneckiego o komentarz, ale do chwili druku artykułu nie odpowiedział. W praktyce te odwołania nie są mu potrzebne, gdyż ma drugi, „zapasowy” doktorat ze Słowacji, posiada też dwie słowackie habilitacje oraz słowacką profesurę, więc może spać spokojnie.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego.

Zajmuje się patologią nauki od 27 lat.

Marek Wroński

Pokrzywdzeni pozbawieni praw

Osoba pokrzywdzona może wnosić o status oskarżyciela posiłkowego, co daje jej status strony i możliwość zaskarżenia orzeczenia dyscyplinarnego. Tej zasady nie przestrzega zdecydowana większość rzeczników dyscyplinarnych i uczelnianych komisji dyscyplinarnych w Polsce.

Postępowanie dyscyplinarne prowadzone od stycznia 2023 roku – a zatem już dwa lata – w sprawie o naruszenie rzetelności akademickiej przez dr Olę Witkowską-Piłaszewicz przebiega z błędami proceduralnymi. Jego końca nie widać, choć sprawa wydawała się stosunkowo prosta. Dowiedziałem się o niej półtora roku temu i mógłbym ją opisać od razu. Nie zrobiłem tego, gdyż dotyczyła zwykłego adiunkta z dobrej uczelni, który ma drobny – w porównaniu z plagiatami i fałszerstwami danych – zarzut nierzetelności akademickiej. Sprawa przestała być błahą, gdy min. Przemysław Czarnek w połowie listopada 2023 r. powołał dr Witkowską-Piłaszewicz na przewodniczącą Rady Młodych Naukowców.

Postępowanie dyscyplinarne wszczęto 24 stycznia 2023 roku, a orzeczenie Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej uniewinniające dr Witkowską – Piłaszewicz ogłoszono 1 lipca 2024. Zespół orzekający obradował w składzie: dr hab. Paweł Obstawski, prof. SGGW i kierownik Katedry Podstaw Inżynierii i Energetyki (przewodniczący); dr Małgorzata Herudzińska, adiunkt w Katedrze Socjologii oraz student Bartosz Korba – przewodniczący Rady Uczelnianej Samorządu Studentów SGGW. Komisja uniewinniła obwinioną dr Olę Witkowską-Piłaszewicz. Na ustnym ogłoszeniu orzeczenia w dniu 1 lipca 2024 r. (już po zamknięciu rozprawy dyscyplinarnej, co nastąpiło 17 czerwca 2024 r.), przewodniczący prof. P. Obstawski w 45 minutowej wypowiedzi

podał motywy i argumenty przemawiające za uniewinnieniem. Różnią się one zasadniczo od tych, które pojawiły się w wydanym 29 lipca 2024 r., a więc dopiero cztery tygodnie później, pisemnym uzasadnieniu.

Przy zbieraniu materiałów do artykułu spotkałem się z blokadą informacyjną. Odpowiedzi na moje zapytania odmówiła zarówno rzecznik dyscyplinarnej, jak i rektor SGGW. Z kolei przewodniczący Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej SGGW, prof. Jan Rozbicki z Katedry Agronomii odmówił udostępnienia orzeczenia kilku innym zainteresowanym profesorom SGGW, którzy mieli w tym interes prawny jak i faktyczny. Zatem formalnie nikt nie wie, dlaczego zarzuty postawione Obwinionej zostały oddalone.

Rzeczniczka dyscyplinarnej ds. nauczycieli akademickich, dr hab. Iwona Kowalska, prof. SGGW, 9 sierpnia 2024 r. złożyła od uniewinniającego orzeczenia odwołanie na niekorzyść dr Olgi Witkowskiej-Piłaszewicz. Skierowała je do Komisji Dyscyplinarnej przy Ministrze Nauki i Szkolnictwa Wyższego, która jest II instancją (odwoławczą) w sprawach dyscyplinarnych. Dotyczyło ono tylko części zarzutów, a mianowicie „*uchybień godności zawodu nauczyciela akademickiego polegającego na nieuczciwości naukowej oraz wykorzystaniu w sposób niewłaściwy cudzych dokonań*”. Konkretnie chodzi „o przypisanie sobie przez Obwinioną w 2021 r. roli głównego pomysłodawcy fakultetu „*Perspektywy zawodowe lekarza weterynarii*”. Jak się okazało, znajdował

się on już znacznie wcześniej, bo od 2019 r., w ofercie programowej Katedry Patologii i Diagnostyki Weterynaryjnej. Rzecznik zarzuciła orzeczeniu UKD SGGW „*obrazę przepisów postępowania mogącą mieć wpływ na treść orzeczenia i polegającą na nieuwzględnieniu wszystkich dowodów ujawnionych w postępowaniu oraz błędy w ustaleniach faktycznych przyjętych za podstawę orzeczenia*”. Wniosła o uchylenie orzeczenia w części zaskarżonej oraz przekazanie jej do ponownego rozpatrzenia w SGGW.

Pismo z odwołaniem wpłynęło do sekretariatu KD przy ministrze nauki 13 września 2024 roku - przekazywane jest zawsze przez przewodniczącego lokalnej uczelnianej komisji dyscyplinarnej. Przewodniczący Komisji Dyscyplinarnej przy ministrze, dr hab. Janusz Sawicki, prof. UW. dość szybko, bo po tygodniu, powołał zespół orzekający. Jego przewodniczącą została prof. dr hab. Jadwiga Glumińska-Pawlic z Katedry Prawa Administracyjnego i Finansowego Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie, która jednocześnie jest profesorem prawa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Członkami zespołu są też: dr Marta Czakowska - prawniczka i rzecznik akademicki Akademii Kujawsko-Pomorskiej w Bydgoszczy oraz dr Krzysztof Czarnecki - prawnik z Uniwersytetu WSB Merito w Toruniu i wieloletni pracownik Państwowej Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku.

Już po 6 tygodniach, 7 listopada 2024 r. na posiedzeniu niejawnym Zespół Orzekający Komisji Dyscyplinarnej przy Ministrze Nauki wydał orzeczenie, w którym uchylił niewinniające orzeczenie Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej SGGW i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. Oznacza to, że opisane powyżej argumenty Rzeczniczki Dyscyplinarnej, prof. Iwony Kowalskiej, zostały uwzględnione i Uczelniana Komisja Dyscyplinarna SGGW w nowym składzie orzekającym musi do sprawy podejść jeszcze raz.

Od tego orzeczenia komisji ministerialnej dr Olga Witkowska-Piłaszewicz i jej obrończyni, mecenas Katarzyna Witkowska-Malinowska (*nota bene* Jej rodzona siostra) odwołała się do Sądu Apelacyjnego – III Wydziału Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie. Moim zdaniem, błędnie, mimo, że jest on trzecią i finalną instancją odwoławczą w systemie akademickiego sądownictwa dyscyplinarnego.

W końcowej części orzeczenia dyscyplinarnego zawarte jest pouczenie, że „Od prawomocnego orzeczenia komisji dyscyplinarnej przy ministrze stronom przysługuje odwołanie do Sądu Apelacyjnego w Warszawie – Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Do odwołania stosuje się przepisy ustawy z dn. 17 listopada 1964 r. kodeks postępowania cywilnego (Dz.U. z 2024, poz. 1568) dotyczące apelacji. Od orzeczenia sądu apelacyjnego nie służy skarga kasacyjna”.

Jednak od tego konkretnego orzeczenia ministerialnej komisji dyscyplinarnej z 7 listopada 2024 r. prawnie nie służy odwołanie do Sądu Apelacyjnego. Rozpatruje on bowiem tylko końcowe, czyli zakończone w dwóch instancjach, sprawy, pełniąc rolę swoistego „kasacyjnego Sądu Najwyższego” dla spraw dyscyplinarnych nauczycieli akademickich. Sąd Apelacyjny orzeka w oparciu o prawną procedurę cywilną, a nie karną (kodeks postępowania karnego), o którą opiera się postępowanie dyscyplinarne. Jak zapewne zobaczymy za kilka miesięcy, przydzielona do sprawy o sygnaturze III APO 4/25 sędzia Renata Szelhaus - jak to bywało w podobnych sprawach - wyda postanowienie odrzucające odwołanie dr Witkowskiej-Piłaszewicz, wskazując na to, iż tryb instancyjny nie został wyczerpany.

Do odwołania stosuje się przepisy ustawy Kodeks postępowania cywilnego dotyczące apelacji, zaś od orzeczenia Sądu Apelacyjnego nie służy skarga kasacyjna. Powyższe jest zawarte we wspomnianym pouczeniu, zawartym na druku każdego orzeczenia dyscyplinarnego przy komisji dyscyplinarnej mini-

stra. Zostało ono błędnie tam umieszczone, gdyż takowe odwołanie w tym przypadku faktycznie nie przysługuje.

W utrwalonej już judykaturze III Wydziału SA w Warszawie przestrzega się zasady prawnej, że przyjmowane są do orzekania tylko finalne, prawomocne orzeczenia Komisji Dyscyplinarnej drugiej instancji, kończące postępowania dyscyplinarne. Takie końcowe orzeczenie powinno orzekać o istocie sprawy, czyli o winie i karze obwinionej/obwinionego. Tymczasem dr Witkowska-Piłaszewicz odwołała się od nieprawomocnego i niekońcowego orzeczenia, które uchyła orzeczenie komisji uczelnianej pierwszej instancji i zwraca sprawę do ponownego rozpatrzenia. To nie jest ostateczne rozstrzygnięcie dyscyplinarne. Nie rozstrzyga ono bowiem o karze lub uniewinnieniu osoby obwinionej, ale i nie kończy postępowania dyscyplinarnego w inny sposób. Stąd nie może ono być poddane kontroli sądowej zgodnie z trybem wskazanym w art. 295 ust. 2 PSWN. Wręcz przeciwnie – ono to postępowanie od początku zaczyna! Z tego powodu Sąd Apelacyjny powinien odrzucić odwołanie. Jednak w tej sytuacji dokumenty postępowania utkną w miejscu na dobrych kilka miesięcy

Ta sytuacja pokazuje, że nowa przewodnicząca Komisji Dyscyplinarnej przy Ministrze Nauki, prof. Jadwiga A. Glumińska-Pawlic, powinna dopilnować, aby w orzeczeniach, które zwracane są do ponownego rozpoznania, było pouczenie, że odwołanie w takich przypadkach nie przysługuje, zaś będzie ono możliwe, gdy sprawa ewentualnie z powrotem wróci z niższej instancji, czyli z uczelnianej komisji dyscyplinarnej, i zostanie przez komisję odwoławczą przy ministrze nauki rozpatrzona i zakończona orzeczeniem.

Chcę zwrócić uwagę, że Komisja Dyscyplinarna przy Ministrze Nauki w swoim orzeczeniu podkreśliła, że w postępowaniu uczelnianym nie pouczone o przywileju osoby pokrzywdzonej (była nią prof. Anna Cywińska). Tymczasem zgodnie z przepisami w art. 334 § 3 i art. 54 § 1 kodeksu postępowania karnego (reguluje on postępowania dyscyplinarne) osoba pokrzywdzona może wnosić o status oskarżyciela posiłkowego, co daje jej status strony i możliwość zaskarżenia orzeczenia. Tej zasady nie przestrzega zdecydowana większość uczelnianych rzeczników dyscyplinarnych i uczelnianych komisji dyscyplinarnych! Stąd w uzasadnieniu orzeczenia napisano, że „*Brak stosowanego pouczenia pozbawił Pokrzywdzoną możliwości realizowania swoich uprawnień i wykluczył ją z grona uczestników współdziałających z rzecznikiem, ograniczając Jej rolę jedynie do występowania w charakterze świadka*”.

Powrót do rozpatrzenia sprawy od początku oznacza, że przy ponownej rozprawie dyscyplinarnej na SGGW, osoby poszkodowane będą mogły na początku nowego postępowania (np. pierwszego dnia przed rozpoczęciem rozprawy) złożyć pisemny wniosek o chęci/zamiarze zostania oskarżycielem posiłkowym. O tej możliwości powinien je powiadamiać zawsze rzecznik dyscyplinarny, ale i bez jego informacji ta możliwość jest zagwarantowana w kpk, jednak w praktyce nikt tego nie przestrzega. Trzeba jasno powiedzieć: uczelniane komisje dyscyplinarne w całym kraju odmawiają pokrzywdzonym tego prawa. Dlaczego? Bo nikt nie chce mieć kłopotów poprzez fakt, że pokrzywdzony jest na sali rozpraw, słucha, notuje i zwraca uwagę na ewentualne naruszenia prawa, a na końcu złoży odwołanie np. od zbyt niskiej kary. Konieczne musi to być jasno stwierdzone w nowym rozporządzeniu ministra nauki i szkolnictwa wyższego dotyczącym prowadzenia postępowań dyscyplinarnych nauczycieli akademickich, doktorantów i studentów.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od połowy 1997 roku.

Profesorskie żarty

Rzecz jasna nie jest tak, że do żartów zdolni są jedynie filozofowie. Jeśli głównie do nich się odwołuję, to dlatego, że tradycje filozoficzne są mi stosunkowo najlepiej znane i wydaje mi się, że jestem w stanie pojąć sens niektórych żartów.

Jakiś czas temu wypowiadałem się polemicznie na łamach FA o powadze uczonego. Warto byłoby również podyskutować o tych żartach, które są udziałem profesorów, bo przecież przynajmniej niektórzy z nich mają takie poczucie humoru, że to, co opowiadają o innych akademikach może być zabawne także dla ich bliższego i dalszego otoczenia. Problem w tym, że niekoniecznie musi to śmieszyć ofiary tych żartów. Sporo jednak zależy od tego, czy są to tzw. grube, czy też subtelne żarty.

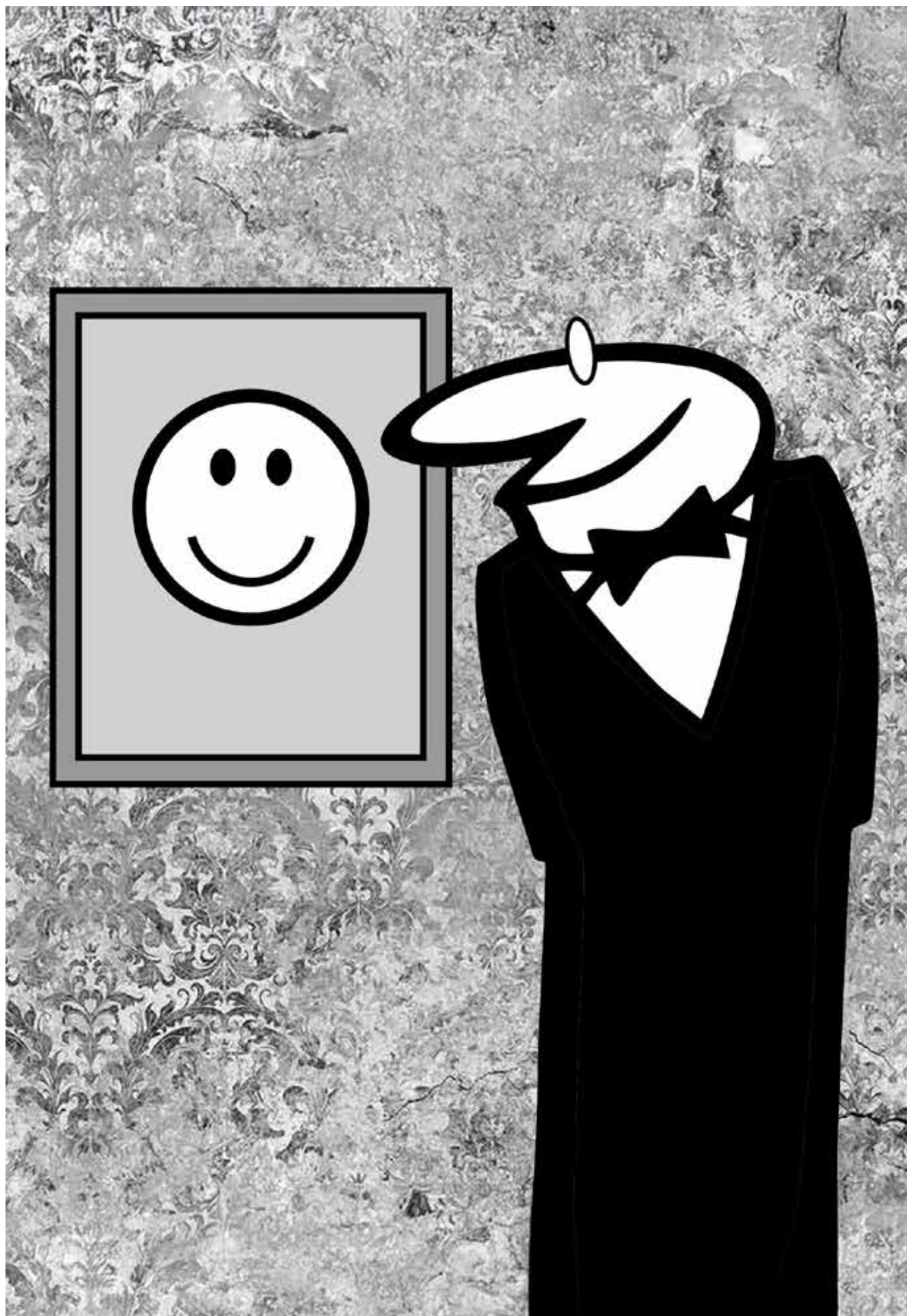
Tzw. grube żarty

Podział na żarty grube i subtelne nie jest wprawdzie uniwersalny, jednak od dosyć dawna stosowany. Rzecz jasna miary ich grubości i subtelności mogą być różne. Odwołam się do tradycji żartowania filozofów z filozofów oraz z ich otoczenia. W świetle *Żywotów i poglądów słynnych filozofów* Diogenesa Laertiosa jedną z najbarwniejszych postaci czasów starożytnych był Sokrates. U jednych jego zachowanie budziło uznanie, natomiast innym dawało okazję do grubych żartów, takich np. jakie pojawiają się w komedii Arystofanesa pt. *Chmury*. Sokrates przedstawiany jest w niej jako osoba, która „wyniosła kroczy po ulicach Aten”, ale ubrany jest w łachmany niegodne przyzwoitego obywatela. Z przekazu Diogenesa Laertiosa można się również dowiedzieć o poczuciu humoru tego filozofa. „Kiedy razu pewnego Ksantypa naprzód mu nawymyślała, a potem wylała mu na głowę kubał wody, oświadczył: «Czy nie mówiłem, że kiedy Ksantypa grzmi, to potem lunie deszcz?»”. Niektórzy solidaryzowali się z Sokratesem, inni zaś z jego kłótniwą żoną. Należał do nich m.in. niemiecki filozof F. Nietzsche. Jego zdaniem, oburzenie Ksantypy było jak najbardziej na miejscu. Sokrates bowiem zamiast wykonywać wyuczony zawód kamieniarza, włóczył się po ulicach Aten i nagabywał młodzież swoim kwestionowaniem wiary w istnienie wielu bogów i ich moce sprawcze. Można oczywiście poważnie się zastanawiać, czy to był żart. Bo jeśli tak, to jednak dosyć gruby.

W okresie, w którym filozofia stała się „służką” teologii, filozofowie raczej z tej drugiej nie żartowali, a jeśli już to na tyle ostrożnie, by nie podpaść kościelnym cenzorom. Zaczęło się to zmieniać pod koniec XV i na początku XVI wieku. Potwierdzeniem tego jest m.in. *Pochwała głupoty* Erazma z Rotterdamu. Już tytuł dzieła jest sarkastycznym żartem, nie tylko zresztą z ówczesnych akademików, ale ze wszystkich, którzy „trąbili” o swojej chwale, a byli wcieleniami głupoty. W tym gronie są zarówno stoicy („ci to niemal za bogów się uważają”), jak i pitagorejczycy (wymyślili jakąś tajemniczą

„kwarternię”, która tłumaczyć ma źródło wszelkiego życia). Nie brakuje wśród nich również medyków („w tym zawodzie – im kto większym nieukiem, im kto bezczelniejszy, tym bardziej go cenią”), „prawniczych krętaczy” i „będących pośmiewiskiem astrologów”. Lista ta jest daleka od kompletności. Już jednak na jej podstawie można powiedzieć, że raczej nie skłaniała ona do śmiechu tych, z którymi Erazm się spotykał, wykładając m.in. na uniwersytetach w Louvain i w Oxfordzie. Jego dzieło spotkało się jednak ze sporym uznaniem m.in. w środowiskach libertyńskich (wolnomyślicielskich). J.S. Spink w swoim studium na temat *Libertynizmu francuskiego* stwierdza, że „akademicki libertyn to jednocześnie uczony, erudyta i człowiek, którego ogarnęła w pełni *libido sciendi* (żądza wiedzenia)”. W czym się to wyrażało? Odpowiedzi na to pytanie udzielił m.in. oburzony jego żartami jezuita F. Garasse – w jej świetle, libertyn „mówiąc o ceremoniach i tradycjach kościelnych, objawieniu, duchach itp. szydzi, iż zaśmiecają one religię. (...) By ośmieszyć jakąś ideę, gotów jest ukuć powiedzenie złośliwe i profanujące rzeczy święte, na przykład, by określić czyjś nierówny chód, mówi, że człowiek ten chodzi jak pies, który dopiero co powrócił z niesporów”.

W XIX stuleciu w środowiskach kościelnych za taką profanację uznano teorię ewolucji gatunków Karola Darwina. Uczony ten raczej nie należał do akademickich wojowników gotowych do otwartej konfrontacji ze zwolennikami boskiego kreacjonizmu. Chętnie wyręczał go w tym jego uczeń Thomas Huxley, nazywany „buldogiem Darwina”. M. White i J. Gribbin w biografii Darwina przywołują konfrontację między zwolennikami i przeciwnikami teorii ewolucji, która miała miejsce w Oxfordzie 30 czerwca 1860 r. na „sławetnym zebraniu Brytyjskiego Stowarzyszenia Popierania Nauki”. Przeciwników reprezentował biskup Oksfordu Samuel Wilberforce, natomiast zwolenników – Huxley. Ten pierwszy zwrócił się do tego drugiego z pytaniem: czy jego „małpi przodkowie występują po stronie jego dziadka, czy babki? W odpowiedzi usłyszał: «Wcale bym się nie wstydził takiego pochodzenia. Jednak poczytywałbym sobie za ujmę, gdybym wywodził się od kogoś, kto sprostywał dar kultury i elokwencji w służbie przesądu i fałszu»”. Można oczywiście dyskutować, czy są to grube żarty, a nawet, czy są to żarty w ogóle. Zdaniem przywoływanych biografów „Wilberforce żartował, próbując zapobiec nieprzyjemnej scenie”. Jeśli nawet, to wieści o tym spotkaniu „rozeszły się szeroko wśród społeczności intelektualistów”, a Darwin i jego zwolennicy „święcili triumfy”.



Tzw. subtelne żarty

Wprawdzie ta kategoria żartów jest równie wieloznaczna jak poprzednia, jednak można podać więcej przykładów na jej zilustrowanie. Również w tym przypadku odwołamy się do Sokratesa. Zdaniem niemieckiego filozofa Georga W.F. Hegla istotą metody Sokratesa dochodzenia do prawdy była ironia, wyrażająca się w największym skrócie w jego stwierdzeniu: „Wiem, że nic nie wiem”. „Chciał on w ten sposób sprawić, by inni wypowiedzieli się i przedstawili swoje zasady. I z każdego określonego twierdzenia albo jego rozwinięcia wydobywał przeciwieństwo tego, co twierdzenie to wyrażało; tzn. nie występuje on przeciwko owemu twierdzeniu czy też definicji, lecz przyjmuje to określenie i wykazuje w sposób immanentny, że zawarte jest w nim przeciwieństwo jego samego”. Jeśli komuś to wyjaśnienie wydaje się mętne, to co mają powiedzieć czytelnicy dzieł przywoływanego niemieckiego filozofa (zdaniem K.R. Poppera był on swoistym „mistrzem” mętnych wypowiedzi). Dużo prościej wygląda to jednak w filozoficznych dialogach przypisywanych Sokratesowi (ale napisanych przez jego najbliższego ucznia Platona). W każdym z nich postawienie przez Sokratesa pytań poprzedzone jest nakreśleniem okoliczności, które stanowią dla nich uzasadnienie. Rola mistrza i nauczyciela przypada w nich Sokratesowi, natomiast ucznióm tym, którzy chcą słuchać jego pytań i próbują udzielić na nie odpowiedzi. Z nieporadności jednych Sokrates żartuje, ale nie pozostawia ich bez intelektualnego wsparcia. Są jednak również tacy, którzy uważają się za lepszych od niego. Nauczyciel i z tymi rozprawia się bez ceremonii siłą argumentów. Do tego grona należą m.in. sofisci Protagoras i Gorgiasz. Jeśli żartem jest „przyparcie ich do muru”, że „nie potrafią oni już ani przytakiwać, ani też zaprzeczać”, to jest to jednak dosyć subtelny żart. Dla takiego filozofa jak Sokrates żartem nie było jednak przekształcenie sofistyki w erystykę, tj. w sztukę nadawania fałszom pozorów prawdy.

W czasach nowożytnych nie tylko upowszechniła się sztuka druku, ale także udoskonalila się sztuka epistolarna. Widoczne to jest m.in. w listach pisanych przez uczonych do uczonych lub osób zainteresowanych ich osiągnięciami. W listach tych można znaleźć przykłady subtelnej krytyki, która wymagała od adresatów gotowości do zrewidowania swoich poglądów, a przynajmniej umiejętności rozróżniania żartów od wypowiedzi serio. Przykładem może być napisany przez R. Descartesa *List do Najuczeńszych i Przesławnych Mężów: Dziekanów i Doktorów Świętego fakultetu paryskiej teologii*, stanowiący swoisty załącznik do jego *Medytacji o pierwszej filozofii*. Są oni, co prawda, „Najuczeńsi i Przesławni”, a „nazwa Sorbony cieszy się tak wielkim autorytetem”, to jednak mogą się czegoś mądrego nauczyć z jego dzieła, jeśli oczywiście tylko „raczą się nim zająć”. Ci Uczni Mężowie faktycznie zajęli się dziełem Kartezjusza i przedstawili swoje *Zarzuty pierwsze do Medytacji*. Z udzielonych na nie przez Descartesa odpowiedzi jasno wynika, że albo jego dzieła nie zrozumieli, albo zrozumieli je opacznie, chociażby w kwestii przedstawienia niemocy Boga i mocy ludzkiego umysłu (owego medytującego „ego cogito”). Rzecz jasna, myśl kartezjańska nie była pozbawiona istotnych słabości. Wskazywali na nie również autorzy pozostałych sześciu *Zarzutów Uczonych Mężów do Medytacji*. Descartes żadnego z nich nie uznał za trafny, a w *Liście do Ojca Dinteta* stwierdził, że po zapoznaniu się z niektórymi z nich „zupełnie osłupiał i pojął, że nie powinien mieć zgoła innego poglądu (...), ponieważ w owych nielicznych Medytacjach, które ogłosił zawierają się wszystkie zasady filozofii”.

Takie podejście skłoniło wielu późniejszych filozofów nie tylko do zakwestionowania racjonalności kartezjanizmu, ale także każdej filozofii, która aspiruje do bycia prawdą obiektywną. Jednym z nich był amerykański filozof (profesor m.in.

uniwersytetów Princeton i Stanforda) Richard McKay Rorty (zm. w 2007 r.). W książce pt. *Contingency, Irony, and Solidarity* określił siebie jako ironistę, dla którego nic nie jest święte. Ma jednak jedno wielkie zmartwienie, tj. aby „pewnego dnia jego odlegli potomkowie żyli w globalnej cywilizacji, w której miłość jest w zasadzie jedynym prawem”. Wszystkie inne „uniwersalne” pretensje i oczekiwania należy całkowicie porzucić. W swojej *Autobiografii intelektualnej* napisał, że po opublikowaniu *Contingency...* „często pytano go czy wciąż jeszcze jest filozofem. Moja odpowiedź brzmi: «Pewnie. Jak inaczej mógłbym siebie nazywać? Przeczytałem za mało książek spoza filozofii, aby określać się mianem przedstawiciela jakiegokolwiek innej dyscypliny». Jestem również pytany, czy nadal jestem filozofem *analytycznym*, na co odpowiadam: «Tylko we wtorki i w czwartki» – z uwagi na fakt, iż ciągle pracuję nad obydwoimi typami zagadnień, które wyróżniłem wcześniej”. Z kolei w odpowiedzi na pytanie: „czy filozofia analityczna wygaśnie, czy też «wygra»?”, stwierdził: „Nie mam pojęcia, jaka jest odpowiedź, jednak nie sądzę, aby pytanie było szczególnie istotne”. Takie subtelne żarty nie przypadły do gustu amerykańskim filozofom analitycznym, którzy cieszyli się sporym uznaniem m.in. w takich ośrodkach akademickich, jak Uniwersytet Virginia (w l. 1982-1998 Rorty był w nim zatrudniony na stanowisku profesora nauk humanistycznych). W swojej *Autobiografii* wspomina, że jego *Contingency...* spotkała się z ich strony „z druzgocącą krytyką”.

Interesujących ironistów można znaleźć również na polskim „podwórku”. Jednym z nich był filozof i teolog (profesor Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie) Józef Tischner (zm. w 2000 r.). Swoje liczne publikacje podpisywał pseudonimami Wawrzek Chowaniec, Molinista, Józek Szkolny czy Jegoć Józek. W każdym z nich można znaleźć element autoironii związanej m.in. z tym, że chłopak z Łopusznej (wioski w powiecie nowotarskim) nie tylko został akademickim profesorem, ale także jednym z bliskich przyjaciół papieża Jana Pawła II. Spory rozgłos zyskała jego teoria prawdy: „Są trzy prawdy: święto prawda, tys prawda i gówno prawda”. Jakby nie patrzeć, jest to jednak dosyć gruby żart. Znacznie bardziej subtelne żarty pojawiają się w jego *Historii filozofii po góralsku*. Autor posługuje się w niej góralską gwarą i przedstawia „góralski” punkt widzenia na tę historię. W jego świetle: „Na początku wsędy byli górale, a dopiero potem porobili się Turcy i Żydzi. (...) Piersy mędroł nazwi się w książkach Tales, ale naprawdę nazywał się on Stasek Nędza nie z Miletu, ino z Pardałówki. Jego ociec chował owce i kupcył kóniami”. Trudno byłoby jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy są to grube, czy subtelne żarty. Nie ulega jednak wątpliwości, że śmieszą one tych, którzy potrafią zachować dystans nie tylko do filozofii, ale także do samych siebie. Rzecz jasna różnie były one odbierane. W książce pt. *Książd na manowcach* Tischner wspomina, że „pozwolił sobie kiedyś na dowcip o samym sobie. Zapytany o to, czy bardziej czuje się księdzem czy filozofem, odpowiedział: «Najpierw czuję się człowiekiem, potem filozofem, a dopiero na trzecim miejscu księdzem». Wypowiedź ta wzbudziła protesty. Mówiono: «nie uchodzi»”.

Rzecz jasna nie jest tak, że do żartów zdolni są jedynie filozofowie. Jeśli głównie do nich się odwołuję, to dlatego, że tradycje filozoficzne są mi stosunkowo najlepiej znane i wydaje mi się, że jestem w stanie pojąć sens niektórych żartów. Nie upieram się przy tym, że filozofia jest taką samą nauką jak wiele innych. Twierdzą natomiast, że pewne formy żartowania filozofów z filozofów i z filozofii sprawiały, iż potrafili oni zachować dystans nie tylko do poglądów głoszonych przez innych, ale także własnych. Zawsze jednak istnieje niebezpieczeństwo, że filozofia posługująca się żartem sama może się nim stać.

Rozmowa z dr hab. Lidią Choczaj, prof. ASP w Łodzi, kierowniczką Pracowni Tkaniny Eksperymentalnej

Sztuka włókna

Jesteśmy w wyjątkowym momencie życia uczelni, obchodzimy jubileuszowy, osiemdziesiąty rok jej istnienia. Tkanina zawsze była ważna i jest nadal, tu mocno bije serce akademii, a studenci to czują.

Ukończyła pani studia na Wydziale Włókienniczym ówczesnej łódzkiej PWSSP w latach 90., w trudnym okresie transformacji gospodarczej. Jakie nadzieje wiązała pani z tymi studiami?

Może zacznę od wcześniejszego etapu. Kiedy w wieku 18 lat zdawałam do akademii, nie miałam jeszcze pojęcia, że zajmę się tkaniną, interesowało mnie malarstwo i rysunek. Akademia Sztuk Pięknych była uczelnią, która fascynowała młodych ludzi, ale dopiero jako studentka poznałam szeroki wachlarz możliwości, jaki daje program dydaktyczny. Wówczas specjalizację wybierało się na drugim roku. Rozpoczęłam studia na Wydziale Włókienniczym, w Pracowni Tkaniny Odzieżowej prof. Bolesława Tomaszewicza i prof. Andrzeja Rajcha. Jednocześnie bardzo pociągała mnie tkanina artystyczna, którą zaczęłam studiować u prof. Aleksandry Mańczak w Pracowni Tkaniny Unikatowej. Zgodnie z systemem, który funkcjonuje do dzisiaj, studenci wybierają drugą specjalność, co jest dla nich bardzo dobre, bo rozwijając się, uświadamiają sobie swoje predyspozycje i mogą szukać swojej własnej drogi. Jako studentka wybrałam dwie gałęzie tkaniny: jedną związaną z wzornictwem, czyli ze sztuką użytkową, a drugą artystyczną. Broniąc pracę dyplomową u prof. Tomaszewicza, nie ośmieliłabym się pomyśleć, że zostanę w akademii i znajdę się w gronie pedagogów. To stało się później.

Czy po dyplomie z tkaniny odzieżowej myślała pani o pracy w przemyśle włókienniczym?

Na początku nie. W pracowni prof. Tomaszewicza nie projektowaliśmy tkanin strictly odzieżowych. Generalnie zgłębiałiśmy zagadnienia tzw. raportu plastycznego w tkaninie. Były to tkaniny nicielnicowe, żakardowe. Moim pierwszym sukcesem tuż po ukończeniu studiów było stypendium Arts Link w Kalifornii, przyznane przez fundację Sorosa, które uzyskałam w drodze konkursu. Potem wróciłam do Polski, gdyż uznałam, że jednak chcę spróbować pracy w przemyśle i projektować tkaniny. Chciałam doświadczyć tego, czy będę miała wpływ na wzornictwo, co w tych czasach wydawało się naiwnym myśleniem. Zatrudniłam się w Zakładach Przemysłu Bawełnianego Morfeo w Ozorkowie, które później – niestety – przestały istnieć.

I jak artystka odnalazła się w przemyśle?

To było dosyć szorstkie zderzenie z rzeczywistością. Wcześniej, w akademii byliśmy pod opieką pedagogów, jakby

w szklarni, pielęgnowani jak unikatowe roślinki. Tutaj trzeba się było dostosowywać do potrzeb firmy, do oczekiwań klientów...

Widziała pani swoje projekty zrealizowane?

Oczywiście widziałam, po prostu serce rosło. W tym trudnym zetknięciu się z przemysłem jednak następował rozwój. Każdemu studentowi życzę takiego doświadczenia, wszystko jedno czy na etapie studiów, czy już po studiach. Warto spróbować.

A jak to się stało, że jednak wróciła pani do akademii?

Zostałam zaproszona na rozmowę, po której okazało się, że prof. Andrzej Rajch postanowił przyjąć mnie do swojej pracowni. Początkowo byłam zatrudniona jako asystentka, dziś prowadzę Pracownię Tkaniny Eksperymentalnej. Prof. Rajch uważnie obserwował kierunki i trendy w projektowaniu tkanin. Nawiązał kontakty z firmami przemysłowymi na całym świecie. Zaczęliśmy regularnie wyjeżdżać na targi Heimtextil do Frankfurtu, na których później miałam okazję dwunastokrotnie organizować prezentacje prac naszych studentów. Po śmierci profesora jego wskazówki okazały się dla mnie bezcenne, kontynuowałam więc rozpoczęte działania międzynarodowe, bo było moim marzeniem, żeby studenci mieli możliwość pokazywania swoich prac nie tylko w kraju, ale i na świecie.

Jak rozumie pani eksperyment w kontekście tkaniny?

Jakiego rodzaju prace powstają w pani pracowni?

Eksperyment pojawia się już w nazwie pracowni, a ma on to do siebie, że zwykle wymaga wielkiej cierpliwości i czasu, a na efekty trzeba często długo czekać. Przychodzą tu zazwyczaj studenci o specyficznej konstrukcji psychicznej, którzy wiedzą, że jest to pracownia wymagająca dużego zaangażowania, odwagi, ale także pewnej pokory. Posługujemy się tu różnymi warsztatami, często jest to mix działań, mix mediów.

Czy studenci, przychodzą do pracowni z podstawowymi umiejętnościami, które później mogą rozwijać?

Kandydaci na 3-letnie studia licencjackie nie muszą mieć przygotowania czy wiedzy w zakresie budowy tkanin. Są uczeni od podstaw i już w I semestrze są zobligowani do własnoręcznego wykonania tkaniny na różnych warsztatach, w mojej pracowni np. na warsztatach tkaniny nicielnicowej. Poznają więc m.in. budowę krosna, mechanizm jego działania, dowiadują się, czym jest osnowa i wątek. To takie abecadło. Przyrów-



Fot. S. Komitcz

Lidia Choczaj

nuję tę konstrukcję do szkieletu, który przyobleka się w ciało – to, co na tym szkielecie powstanie, jest kwestią wyobraźni i pracy. Mamy również ciekawe narzędzia do zdobienia tkanin, np. haft mechaniczny. Student I roku wybiera dwie pracownie i w związku z tym powstaje pewien mariaż. Jeżeli jest jednocześnie np. w Pracowni Projektowania Druku, to może próbować łączyć techniki. W instytucji jest w sumie 9 pracowni, m.in. Pracownia Tkaniny Dekoracyjnej, w której studenci uczą się od podstaw budowania żakardu, Pracownia Obiektu do Wnętrza, Dywanu i Gobelinu, gdzie mogą poznać np. technikę tuftingu, czy Pracownia Papieru, gdzie ręcznie czerpią papierowe materię.

W drugim etapie, na studiach magisterskich, są już świadomości możliwości warsztatowych uczelni i te dwa lata poświęcają w zasadzie na realizację dyplomu. Przygotowanie dyplomu to długi proces, tym bardziej, że tkaniny w mojej pracowni powstają ręcznie, w nikłym stopniu przy udziale komputera – najwyżej w postaci szkicowej. Zauważyłam, że szczególnie na drugim stopniu jest niesamowity powrót do technik rękodzielniczych, co wiąże się być może z przesytem mediami elektronicznymi, tymi ekranami przed którymi non-stop siedzimy, czy to jest laptop, czy smartfon, czy ekran telewizora. Czasami studenci zaskakują mnie tym, że wymyślają własne autorskie techniki, natomiast uświadamiam im, że eksperyment – co jest dla niektórych zaskakujące, dla innych deprymujące – wiąże się czasami z porażką...

...co może być trudne, biorąc pod uwagę ile przeznaczają się czasu na to, by sobie własną porażkę uświadomić.

Tak, jednak ważna jest droga, którą pokonujemy, doświadczanie, które nabywamy, a które być może zapoczątkuje w następnym projekcie, nawet jeśli ten obecny nie zakończy się sukcesem.

A przykłady takich eksperymentów?

Może wymienię pewną pracę, która dopiero co powstała. Jesteśmy w wyjątkowym momencie życia uczelni – obchodzimy jubileuszowy, osiemdziesiąty rok jej istnienia. Od początku, czyli od 1945 roku tkanina istniała w strukturze ówczesnej PWSSP. Pierwszy był Zakład Tkactwa powołany przez dyrektora Leona Ormezewskiego, potem w 1946 roku pojawił się druk na tkaninie. Tkanina zawsze była ważna i jest nadal, tu mocno bije serce akademii, a studenci to czują. Wracając do wspomnianej pracy: w roku jubileuszowym studentka, p. Magda Rutkowska, zadedykowała naszej uczelni swój projekt semestralny pt. „Powiedz mi, że mnie kochasz”. Premiera odbyła się 14 lutego, w dzień narodzin PWSSP. Jest to własnoręcznie wytkany obiekt przypominający czerwoną skrzynkę, który został umieszczony w holu ASP i do którego można wrzucać listy – życzenia. Studentka powiedziała mi, że chciała w ten sposób wyrazić miłość do miejsca, które daje przestrzeń sztuce, wolność poszukiwaniom twórczym i spotkaniom. W mojej pracowni często powstają utwory, które wchodzą w interakcję z widzami. Zachęcam studentów do takich działań, ponieważ wydaje mi się, że oni coraz częściej są wyalienowani, a chciałabym, żeby mogli być bliżej ze sobą i nawiązywać relacje.

Formuła pracowni sprzyja relacjom, studenci muszą w niej przebywać, chociażby ze względu na warsztat. Nie mogą wpadać tylko na korekty i biec dalej, co niestety staje się znakiem czasu w wielu uczelniach artystycznych.

Rzeczywiście studenci są obecni. W instytucji mamy np. olbrzymie warsztaty tkackie, warsztaty druku i papieru, które są otwarte 5 dni w tygodniu. Studenci pracują w nich, gdy tylko mają taką potrzebę. Kierunek jest wymagający, grupy studentów są niewielkie, ale dzięki temu poświęcamy im niezwykle dużo uwagi i czasu. Myślę, że to owocuje świetnymi realizacjami i ciekawą przyszłością zawodową również. Pracownia Tkaniny Eksperymentalnej jest otwarta przede wszystkim dla studentów naszego instytutu, ale w ramach Wydziału Sztuk Projektowych, gdzie instytutów jest sześć, studenci mogą dowolnie dobierać pracownie i włączać kolejne wątki – jakbym powiedziała w języku tkackim – do swojego portfolio i swojej działalności. Takie mariaże często dobrze rokują.

A jak ocenia pani skutki reformy, w ramach której w łódzkiej ASP zlikwidowano wcześniejsze wydziały i utworzono dwa nowe: Wydział Sztuk Projektowych i Wydział Sztuk Pięknych? Instytut Tkaniny, Druku i Stylizacji Wnętrza znalazł się w strukturze tego pierwszego wydziału. Tymczasem, cytując prof. Włodzimierza Cygana, „tkanina to jest medium, które jedną nogą tkwi w sztukach pięknych, drugą – w projektowych”, zgodnie zresztą z koncepcją Strzebińskiego...

Myślę, że to był wielki eksperyment, a każdy eksperyment wymaga czasu, zwłaszcza w dydaktyce na efekty trzeba długo czekać. Jesteśmy po pięciu latach zmian i teraz uczelnię opuści pierwszy rocznik po pełnym cyklu studiów. Wspomnianemu eksperymentowi przyświecała idea, żeby łączyć różne specjalności projektowe. Do Pracowni Tkaniny Eksperymentalnej często przychodzą studenci z Instytutu Biżuterii albo z Instytutu Ubioru, z którym mieliśmy długie związki – przecież Wydział Tkaniny i Ubioru łódzkiej ASP był największym, najsilniejszym i najstarszym w Polsce wydziałem kształcącym w zakresie szeroko pojętych tekstyliów i, również, mody. W tej chwili nasza autonomia wiąże się z dużą odpowiedzialnością, ale jest korzystna z punktu widzenia studenta, bo może łączyć różne dziedziny, których granice – jak obserwujemy we współczesnym świecie – coraz bardziej się zacierają.

Hasło „interdyscyplinarność” coraz częściej pojawia się w kontekście kształcenia artystycznego.

Tak. Wydaje mi się, że poszliśmy z duchem czasu, ale dopiero za parę lat ocenimy efekty tego eksperymentu.

W latach 60. i 70. mieliśmy swoiste apogeum tkaniny artystycznej: tkaniny pojawiały się w wystrojach wewnątrz rozmaitych instytucji, pływały na statkach i promach. A jak to jest obecnie? Jakie są perspektywy zawodowe studentów, którzy chcieliby podjąć samodzielną działalność w zakresie tkaniny artystycznej?

Nie ukrywamy, że tkanina jest bardzo elitarną specjalnością, w całym instytucie mamy w tej chwili 44 studentów na licencjacie i 26 na studiach magisterskich. Utrzymujemy kontakt z absolwentami i to nie tylko na zasadzie „monitorowania losów studentów”, co jest obowiązkiem uczelni, ale brzmi biurokratycznie. Nasi absolwenci przychodzą do pracowni i opowiadają o swoich losach. Jak widać, odcienie pepowiny, choć w końcu konieczne, jest dla nich bardzo trudne, co zresztą sama przeżyłam. Jestem pełna podziwu dla tych młodych ludzi, którzy dają sobie radę, tworząc tkaniny unikatowe pod szyldem własnej firmy. Tradycją łódzkiej uczelni jest kształcenie dwutorowe. W naszym instytucie mamy i tkaninę dla przemysłu, i tkaninę unikatową, a w całej uczelni jest dużo pracowni ogólnoplastycznych: malarstwa, rysunku czy rzeźby. Studenci są zobowiązani, aby ćwiczyć rękę, oko i wrażliwość na kolor, co później procentuje w pracowniach projektowych. Przygotowujemy ich i do indywidualnej działalności artystycznej, i do współpracy z przemysłem. Poza stuletnimi krosnami, mamy najnowocześniejsze, sterowane komputerowo maszyny do żakardu czy haftu mechanicznego. W cyklu kształcenia zawsze ważne są także praktyki zawodowe. Tak się składa, że akurat w tym roku w Łodzi będzie miało miejsce kolejne prestiżowe 18. Międzynarodowe Triennale Tkaniny. Od 2013 roku studenci uczestniczą w towarzyszącym mu ważnym wydarzeniu o nazwie Triennale Tkaniny

Młodych – Young Textile Art Triennial, którego jestem pomysłodawcą. Stało się to możliwe, dzięki wsparciu dyrektora Centralnego Muzeum Włókiennictwa, pana Norberta Zawiszy, który pomógł nam w „narodzinach” pierwszej edycji. Jesienią tego roku organizujemy już piątą YTAT, konkurs i wystawę. Tak, jak w poprzednich latach spodziewamy się uczelni z całego świata, m.in. z Japonii, Stanów Zjednoczonych i oczywiście z Europy. Pierwsza edycja dotyczyła szeroko pojętej sztuki włókna, nie było podziału na wzornictwo i tkaninę artystyczną, natomiast później jury zauważyło, że bardzo trudno porównywać tkaniny czysto użytkowe i artystyczne. Ustalono więc dwie kategorie. Odtąd uczelnie zgłaszają po jednej pracy z każdej z nich. YTAT to swoista trampolina do kariery zawodowej studentów.

Na pewno wybór prac jest trudny.

Oczywiście. W oparciu o nasze kontakty zaprosiliśmy 14 uczelni z całego świata, a w pewnym momencie poszerzyliśmy formułę i teraz wysyłamy też zaproszenia do uczelni artystycznych z Polski, które tkaninę posiadają w swojej ofercie dydaktycznej. Triennale jest dla nas wielkim świętem i mobilizuje całą społeczność.

Wspominała pani, że w instytucie prowadzone są studia dwustopniowe. Obecnie obserwuje się pewien odwrót od dwustopniowości, zwłaszcza w przypadku sztuk czystych. Jaka formuła wydaje się pani właściwsza w kontekście tkaniny?

Instytut ma swoje miejsce w strukturze Wydziału Sztuk Projektowych. Jeśli chodzi o projektowanie, o tzw. czysty design, to dwustopniowość może być rozwiązaniem dobrym. Moja pracownia i kilka innych mają natomiast charakter bardziej zbliżony do sztuk pięknych. W tym przypadku ważna jest ciągłość kształcenia. Przerwanie nauki po trzech latach jest sztuczne i, jak wynika z rozmów, trudne dla studentów, którzy na studiach magisterskich często kontynuują naukę w tej samej pra-



Lidia Choczaj, *Bliżej błękitu*

Lidia Choczaj, *Blżej błękitu*

cowni. Na drugi stopień przychodzą do nas także kandydaci z innych uczelni i innych kierunków. Okres dwóch lat studiów jest bardzo krótki, gdyż ostatnie pół roku przeznaczamy już na zamykanie dyplomu. Dlatego byłam przeciwna dwustopniowości, która w kontekście kierunków artystycznych wydawała się nienaturalnym przerwaniem procesu rozwoju.

W czasie procesu bolońskiego nowe przepisy zostały tak sformułowane, że można było odnieść wrażenie, iż w dziedzinie sztuk plastycznych dwustopniowość studiów jest obligatoryjna. Wówczas niewiele kierunków obroniło się przed podziałem.

Musiało upłynąć sporo czasu, żeby zobaczyć efekty takiego sposobu studiowania, migracji studentów pomiędzy uczelniami krajowymi i zagranicznymi. Mówiono o tym, że dwustopniowość znacznie ułatwia współpracę ze studentami zagranicznymi, że w ramach Erasmus łatwiej jest naliczać punkty ECTS... Tylko czy naprawdę musimy przede wszystkim opierać się na „cyferkach”?

Tym bardziej, że sporo kierunków artystycznych wróciło do starego systemu i okazało się, że nie ma większych problemów z wymianą międzynarodową.

Teraz to możliwe, aby studenci zagraniczni, którzy w swojej uczelni są na studiach dwustopniowych, przyjeżdżali do nas w ramach Erasmus na studia jednolite. Nasze szkolnictwo artystyczne jest na bardzo dobrym poziomie, a programy są tak skonstruowane i kształcimy tak szeroko, że dla studentów zagranicznych może to być atrakcyjne. Często chcą przedłużyć swój pobyt i pozostać u nas na jeszcze jeden semestr.

Zapewne – o czym już pani wspomniała – w dobie wszechobecnych komputerów, pojawia się tęsknota za działaniami manualnymi, których nie da się zastąpić rzeczywistością wirtualną?

Tak, w tym roku mamy studentki z programu Erasmus+, które są bardzo zaangażowane i w stosunkowo krótkim czasie wykonały piękne prace. W naszej uczelni mamy taką tra-

dycję, że na koniec semestru zawsze przygotowujemy wystawę w galerii „Strefa Erasmus”, co dodatkowo mobilizuje studentów. To cieszy, że wracając do swoich uczelni, robią dobrą promocję łódzkiej akademii.

Jaka jest ogólna struktura Instytutu?

Instytut Tkaniny, Druku i Stylizacji Wnętrz został powołany w 2019 roku jako jeden z sześciu instytutów na Wydziale Sztuk Projektowych. Kształcimy na studiach dwustopniowych w dziewięciu pracowniach. Od pięciu lat mamy dyplomującą Pracownię Stylizacji Wnętrz. Studenci łączą doświadczenia wyniesione z pracowni artystycznych ze specjalistyczną wiedzą zawodową. Daje im to, jako przyszłym projektantom, możliwość zdobycia wysokich kwalifikacji, a jednocześnie pozwala na szeroko rozumiane artystyczne eksperymenty, jeśli się na nie zdecydują. Jako instytut organizujemy wiele prezentacji. 1 lutego br. w przestrzeniach Teatru Muzycznego w Łodzi rozpoczęła się wystawa tkanin, która została otwarta dla szerokiej publiczności. Z kolei w ubiegłym tygodniu wróciła do nas wystawa z budapeszteńskiej galerii Centrum Architektury Fuga, gdzie znalazły się prace naszych studentów i absolwentów. Przez cały czas prowadzimy więc działalność także na zewnątrz uczelni. I to nas cieszy.

Prowadząc Pracownię Tkaniny Eksperymentalnej, jednocześnie zajmuje się pani własną twórczością, często wykorzystując w swoich tkaninach materiał dosyć nieoczywisty. Od kiedy interesuje się pani szkłem?

Pierwsze eksperymenty z tą materią rozpoczęłam już na studiach, w Pracowni Tkaniny Unikatowej prof. Aleksandry Mańczak.

Na czym one polegały?

Badałam, czy taki środek wyrazu jak szkło można łączyć z tkaniną. Na dyplomie zaprezentowałam jednak klasyczny żakard, który wykonałam pod kierunkiem prof. Tomaszki-wicza, i aneks malarski, którego promotorem był prof. Andrzej Gieraga, ale nie ukrywam, że przez cały okres studiów interes-

wała mnie tkanina artystyczna. Po ukończeniu akademii często wracałam do pracowni prof. Mańczak po radę i konsultacje. Zaczęłam brać udział w konkursach i nieśmiało poszukiwać własnego sposobu opowiadania o świecie i własnego języka plastycznego. Okazało się, że szkło coraz bardziej mnie fascynuje, podobnie jak inne materiały transparentne. Zapragnęłam też, aby moje obiekty wchodziły w interakcje z widzami. W tym czasie przygotowałam pracę na wystawę studentów i absolwentów pracowni prof. Mańczak, prezentowaną w krakowskim Bunkrze Sztuki. To był utwór pt. *Kaprys* – z 40 kg przezroczystych cukierków zawiniętych w transparentną folię i wplecionych w ręcznie wykonaną tkaninę. Duża, trzymetrowa kompozycja miała formę listu do odbiorcy i była tak skonstruowana, aby widz mógł sobie wyciągać przezroczyste pastylki; ta idea dzielenia się swoją radością i doznaniem była mi bliska. Gdy poszczególne elementy znikaly, tworzył się nowy wzór na tkaninie. Przy okazji pojawił się ciekawy aspekt socjologiczny. W Krakowie publiczność bez żadnej zachęty zrozumiła moje intencje i spontanicznie weszła w zaplanowaną interakcję. Natomiast później, gdy zaprezentowałam tkaninę w galerii sztuki w Łodzi, widzowie bali się jej dotykać, a tym bardziej nie śmieli ingerować w jej kształt.

Łodzianie zapewne mają większą świadomość, ile pracy trzeba włożyć w wykonanie tkaniny i otaczają ją większym szacunkiem.

Być może (śmiech). W każdym razie były to sytuacje proste i poetyckie zarazem. Może powinnam takie tkaniny pokazać w jeszcze innych miejscach. Nawiąsem mówiąc, ta praca była wykonana ręcznie na krośnie nicielnicowym w sposób bardzo pracochłonny i czasochłonny. Niemniej chodziło mi o przełamanie bariery pomiędzy publicznością, utworem i artystą. Nawiązanie dialogu, ośmielenie i dzielenie się z odbiorcami pozytywnymi emocjami jest dla mnie nadal ważne.

Wracając do szkła, jest ono także obecne w pani ostatnich pracach, chociażby w postaci szklanych ampułek zawierających atlasowe i satynowe wstążki.

Wspomniana praca to *Bliżej błękitu*. Jak wiemy, spojrzenie w oczy drugiej osoby rodzi niesamowitą bliskość i wręcz intymną relację. W wypadku tego utworu błękitna jest zrenica, a obraz oka – dosyć realistyczny – budowany poprzez kolorowe wstążki umieszczone w szkłe, jest bardzo przeskalowany. Im bliżej tego przedstawienia się znajdujemy, tym obraz paradoksalnie staje się bardziej enigmatyczny, a im dystans większy, tym przekaz jest czytelniejszy. Tak często zdarza się w życiu: żeby coś naprawdę zrozumieć i zobaczyć, musimy nabrać pewnego dystansu.

„Jesteś za blisko za naocześnie jesteś abym cię mogła zobaczyć raz wtóry” – pisała Maria Koziół. A przechodząc od poezji do prozy, czy ma pani jakąś własną definicję tkaniny i jej granic?

Jest pewna definicja, która pojawia się w przypadku konkursów, z kluczowym słowem „splot”. Szanuję tę definicję, ale dla mnie niekoniecznie to musi być splot. Zresztą słowo „splot” też można bardzo szeroko interpretować. Byłabym zatem bardzo ostrożna w tworzeniu terminów. Nie definiowałabym utworów, zwłaszcza według warsztatowych reguł, bo to zamyka pole do poszerzania dyscypliny.

Hasło „materia”, jak rozumiem, też jest drugorzędne?

Umowne. Najistotniejsze w moim odczuciu jest uświadomienie sobie na początku pracy nad dziełem, o czym w ogóle chcę opowiedzieć, co szczególnie pragnę przekazać. A w dalszej kolejności szukam najwłaściwszych środków do wyrażenia idei i zmaterializowania jej lub nie.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Fot. Paweł Napierała

Polacy nie gęsi

Opinie, że każdy artykuł i każdą książkę na każdy temat można napisać po angielsku lub przełożyć na ten język bez strat w walorach tekstu może albo ktoś, kto ma do czynienia wyłącznie z publikacjami z obszaru szeroko rozumianych nauk ścisłych, przyrodniczych, medycznych czy inżynierskich, albo ktoś, komu wydaje się, że zawsze i w każdej sytuacji możliwy jest stuprocentowo wierny przekład 1:1. To prawda, że każdy tekst można przełożyć, ale w rezultacie może on stracić na jasności i nie będzie to wynik ograniczonych kompetencji autora czy tłumacza.

W dyskusjach na temat metod ewaluacji i tworzenia rankingów czasopism naukowych regularnie pojawia się pytanie, czy publikowanie po angielsku ma być oceniane wyżej zawsze, czy w zależności od dziedziny, czy też nie powinno to być istotne kryterium. Jedni argumentują, że jeśli polscy badacze chcą uczestniczyć w globalnym życiu naukowym – obojętnie, czym się zajmują – powinni pisać artykuły wyłącznie po angielsku; po drugiej stronie zdarza się argumentacja patriotyczna (pod którą czasem pobłyskuje przekonanie, że tak naprawdę żadnej „zagranicy” nie potrzebujemy i stworzymy sobie własny obieg naukowy), ale i spostrzeżenia świadczące o znajomości konkretnych środowisk i próbie odpowiedzi na ich potrzeby. Na to pytanie nie ma jednej, autorytatywnej odpowiedzi, która w takim samym stopniu odnosiłaby się do odmiennych dyscyplin. Warto natomiast mieć na uwadze, że w każdej epoce istniał jakiś międzynarodowy język, w którym komunikowały się elity – polityczne, artystyczne czy właśnie naukowe – mówiące na co dzień w różnych językach.

Sam redaguję dwa czasopisma czysto anglojęzyczne, a polskojęzycznymi tekstami naukowymi zajmuję się po godzinach. Kilka razy jednak byłem pytany, dlaczego powyższe dwa periodyki nie przyjmują prac po polsku. Ponieważ jeden z nich poświęcony jest medycynie, moi rozmówcy argumentowali, że wielu lekarzy – zwłaszcza starszych (nie podali tu żadnego „punktu odcięcia”, więc nie wiem, co rozumieli przez „starszych”) lub po prostu praktyków, a nie badaczy – woli poszerzać wiedzę i kompetencje w ojczystym języku, w którym czują się pewniej. To argument ważki i odnoszący się nie tylko do medycyny, zatem chciałbym podkreślić, że w moich oczach do pewnego stopnia osoby te miały rację. Nie jestem też w żadnym razie dogmatycznym zwolennikiem publikowania wyłącznie po angielsku. Przytoczę argumenty, których wówczas użyłem, nie pretendując do całościowego ujęcia zagadnienia; po prostu mam nadzieję, że kogoś z czytelników mogą one zainspirować.

Po pierwsze, takie czasopisma w wielu dziedzinach wciąż istnieją, choć oczywiście trzeba przyznać, że dotyczy to głównie innych języków o dużej liczbie mówiących i mocnej pozycji przynajmniej na jakimś obszarze. Nadal zdarza się, że istotne prace naukowe ukazują się (przynajmniej pierwotnie) po francusku, hiszpańsku, portugalsku, rosyjsku, turecku, chińsku czy



japońsku. Jednak tylko nieliczne z takich periodyków osiągają poziom rozpoznawalności i wpływu porównywalny z renomowanymi czasopismami anglojęzycznymi. To jeden z powodów, dla których ocenie wskaźników bibliometrycznych powinna towarzyszyć ocena ekspercka – tylko specjalista będzie wiedział, czy w przypadku danego tytułu nieanglojęzyczność lub kilkujęzyczność to wada, czy po prostu cecha.

Po drugie, jeśli dany tytuł ma ambicję bycia czasopismem autentycznie międzynarodowym, to – jakkolwiek brutalnie to zabrzmie – właściwie nie ma wyboru. Można oczywiście prowadzić periodyk dwujęzyczny, ale – z czego chyba mało kto zdaje sobie sprawę – wyraźnie utrudnia to pracę redakcji, gdyż część manuskryptów można wysłać tylko do niektórych recenzentów (i w ogóle muszą one krążyć tylko wśród osób znających dany język). Ponadto przy aplikowaniu do niektórych ogólnosiwiatowych baz artykułów i czasopism fakt publikowania wyłącznie po angielsku (a nie np. tylko z abstraktami w tym języku) może mieć znaczenie. Rolą periodyku naukowego jest w pierwszej kolejności rozpowszechnianie wysokiej jakości wiedzy, ale osiągnięcie odpowiedniej pozycji wśród innych czasopism (także mierzonej wskaźnikami bibliometrycznymi) też ma znaczenie, a kwestie te są wzajemnie powiązane: czasopismo o wyższej pozycji cieszy się większym zainteresowaniem i jest w stanie skuteczniej docierać do większej liczby czytelników.

Może się zatem okazać, że długofalowo dla autorów korzystniej jest jednak publikować po angielsku.

Po trzecie, w argumentacji moich rozmówców można było wyczuć, że tak naprawdę chodzi im o publikacje nie tyle stricte naukowe, co będące formą pośrednią między periodykami naukowymi a popularyzacją, przekazujące wiedzę już w nieco skondensowanej formie (opracowania zamiast prac oryginalnych), ale skierowane do fachowców w danej dziedzinie, a nie szerszej publiczności. Istnieją takie czasopisma i serwisy (np. dla lekarzy, ale nie tylko) i rzecz jasna powinny ukazywać się także w językach narodowych (i w niektórych z nich mogą publikować także autorzy z zewnątrz). Jednak pełnią one inną rolę niż typowy periodyk naukowy, zwłaszcza o dość wąskiej tematyce.

Po czwarte, artykuły (a nawet całe książki) na wiele tematów z obszaru STEM (science, technology, engineering, mathematics) nie są tak naprawdę po polsku, nawet jeśli są po polsku. W wielu dziedzinach od dawna prawie nie wprowadza się już polskojęzycznej terminologii (i podobnie jest w wielu innych językach). Gdy redaguję np. artykuły medyczne w ojczystym języku, mam często wrażenie, że ich tekst to specyficzny polsko-angielski miks. W strukturach polskiej składni umieszczane są terminy, pojęcia i inne sformułowania albo zapożyczone bez zmian z angielszczyzny, albo co najwyżej zapisane fonetycznie (np. skri-ning) lub w inny sposób powierzchownie jedynie spolszczone.



rys. Sławomir Makal

Nie jest to jednak w żadnym razie wynikiem niedostatku kompetencji po stronie autorów, inaczej się nie da, jeśli praca ma spełniać wymogi języka naukowego, czyli być jasna i jednoznaczna. Z pewnością wielu czytelników zna domorosłych purystów (co charakterystyczne, często nie są to filologowie), którzy za każdym razem, gdy padnie jakiś jawnie obcojęzyczny termin, zzymają się i dopytują, czy nie ma na to polskiego określenia. Do lat siedemdziesiątych-osiemdziesiątych takie pytanie miało jeszcze często sens, gdyż w wielu krajach spontanicznie lub planowo starano się dbać o narodowy język nauki (w taki sposób np. w I połowie XIX wieku powstała podstawowa polska terminologia matematyczna, fizyczna i chemiczna). Dziś jednak również ja – bywa że ku świętemu oburzeniu purystów – muszę odpowiedzieć, że nie, nie ma. Często podczas lektury takich polskojęzycznych tekstów przylapuję się na myśli, że wolałbym, by były one napisane po angielsku, byłyby wówczas spójniejsze stylistycznie i płynniejsze w lekturze. Zdarzają się także badacze, którzy od początku kariery w nauce publikowali wyłącznie lub prawie wyłącznie po angielsku i choć polszczyzna jest ich językiem ojczystym, komunikowanie naukowe po polsku jest dla nich bardzo trudne, czytają fachowe źródła tylko po angielsku i w zastosowaniach profesjonalnych, przynajmniej w piśmie, angielszczyzna jest z ich punktu widzenia naturalniejsza. Można rzecz jasna ubolewać w tym kontekście nad „upadkiem mowy ojczystej”, ale nie podzielam tak pesymistycznej perspektywy. Nauka to ważny obszar komunikacji, ale niejedyny. Zapewniam lingwistycznych katastrofistów, że na innych polach (np. zarówno w życiu codziennym, jak i w literaturze) polszczyzna pozostaje językiem żywym, giętkim i nieustannie rozwijającym się (bez względu na to, jak bardzo razić mogą niektóre kierunki tego rozwoju).

Po piąte... Tego argumentu nigdy nie używam w rozmowach. Norwid napisał, że śpiącego nie da się obudzić grzecznie, a tej opinii nie jestem w stanie sformułować tak, aby w uszach niektórych słuchaczy nie zabrzmiała ona obcesowo (a nie taka jest moja intencja). W mojej pracy regularnie stykam się z badaczami – przede wszystkim z Dalekiego i Bliskiego Wschodu, ale trafiają się także Europejczycy – którzy wyraźnie znają angielski bardzo słabo, ale nie przeszkadza im to w usilnych próbach uczestniczenia w globalnej nauce poprzez publikowanie artykułów naukowych. Korzystając z pomocy kompetentniejszych pod tym względem kolegów, wyspecjalizowanych firm i instytucji lub dostępnego im oprogramowania (w tym opartego na sztucznej inteligencji), udaje im się często stworzyć pracę na akceptowalnym poziomie językowym, ale korespondencja z nimi czy korekta autorska, gdy już muszą radzić sobie sami, to mordęga. Nierzadko nie rozumieją i/lub odpisują w niezrozumiały sposób, a jeśli dzwonią, nie sposób nazwać tego, co następuje, rozmową.

Dlatego, nie mogąc obudzić grzecznie, muszę sformułować to wprost. Być może już niedługo AI umożliwi nam funkcjonowanie w globalnym obiegu naukowym, zarówno tworzenie artykułów czy nawet całych książek, jak i komunikowanie się (z innymi naukowcami, redaktorami itp.) za pomocą narzędzi, które uczynią znajomość języków obcych całkowicie zbędną (i być może będą musiały wówczas poszukać innej pracy). Jednak zanim to nastąpi, nie tylko badacze, ale i specjaliści w większości dziedzin nie uciekną przed koniecznością znajomości języka międzynarodowej komunikacji naukowej, czyli angielskiego, i to znajomości w stopniu umożliwiającej czytanie z pełnym zrozumieniem, i samodzielne pisanie. Realizacja potrzeb danego środowiska nie może przeradzać się w tworzenie protez czy różnego typu bocznych obiegów nauki, gdyż to zawsze będzie półśrodek i zawsze może się okazać, że ma jednak jakieś negatywne skutki, zamyka jakieś drzwi, czegoś pozbawia, od czegoś odcina.

Wspominałem, że nie mogę stanąć w jednym szeregu ze zwoleńnikami bezwzględnej przejścia tylko na angielski także

z uwagi na moje doświadczenia zawodowe. Regularnie tłumaczę na angielski lub z angielskiego prace naukowe z różnych obszarów humanistyki i uważam, że nie wszystko da się równie dobrze wyrazić w innym języku. Opinie, że każdy artykuł i każda książkę na każdy temat można napisać po angielsku lub przełożyć na ten język bez strat w walorach tekstu może albo ktoś, kto ma do czynienia wyłącznie z publikacjami z obszaru szeroko rozumianych nauk ścisłych, przyrodniczych, medycznych czy inżynierskich, albo ktoś, komu wydaje się, że zawsze i w każdej sytuacji możliwy jest stuprocentowo wierny przekład 1:1. To prawda, że każdy tekst można przełożyć, ale w rezultacie może on stracić na jasności i nie będzie to wynik ograniczonych kompetencji autora czy tłumacza.

Dla przykładu: w niektórych obszarach historii danego kraju czy narodu albo w niektórych kulturach mogą być stosowane pojęcia, które nie mają po angielsku dokładnych odpowiedników, a które są kluczowe dla zrozumienia danego zagadnienia. W wielu dziedzinach humanistyki cała terminologia lub lwia jej część są przekładalne, ale są takie pola (najczęściej nie całe nauki, a konkretna tematyka), gdzie nie jest to możliwe. Jeśli praca jest skierowana do zagranicznego odbiorcy, wyjaśnia się na ogół (na ile to możliwe) takie kwestie np. w przypisach, ale to też jest tylko pewne przybliżenie. Warto byłoby jednak wziąć pod uwagę, że istnieją zagadnienia, które – także ze względu na barierę językową – mogą interesować głównie badaczy z danego kręgu kulturowego lub na tyle zainteresowanych daną problematyką, że znających w wystarczającym stopniu odpowiedni język.

Innym dobrym przykładem są prace literaturoznawcze, które mogą dotyczyć tekstów literackich nigdy nieprzełożonych na angielski, a nie można oczekiwać (a z takimi pomysłami także się zetknąłem), że w każdym takim przypadku autor będzie tłumaczył wszystkie cytowane fragmenty. Przekład literacki to coś zupełnie innego niż przekład artykułów i książek naukowych, także z zakresu humanistyki. W nauce o literaturze spotyka się przekłady fragmentów zwane roboczymi lub własnymi (funkcjonują także inne określenia), ale różnica między nimi a tłumaczeniem literackim polega na tym, że nie mają one na celu translacji walorów artystycznych dzieła, a jedynie jego treści. Anglojęzyczny artykuł naukowy poświęcony analizie np. niedostępnego po angielsku wiersza byłby w takiej sytuacji znacząco uboższy treściowo od wersji polskiej, czytelnik nie miałby szansy dowiedzieć się, co właściwie tak zachwycało lub nadal zachwyca czytelników w analizowanym utworze.

Dostępne online narzędzia tłumaczące lub wspomagające tłumaczenie, nawet te darmowe, rozwijają się w takim tempie, że zapewne już za jakiś czas ten artykuł będzie można czytać jako komunikat z zamierzchłej epoki. Nie potrafię przewidzieć, czy w przyszłości znajomość języków obcych (a przynajmniej angielskiego) nadal będzie niezbędna szerokim rzeszom, być może będą się ich uczyć tylko hobbyści (którym samo poznanie obcej mowy sprawia przyjemność) oraz osoby, które z racji specyficznej pracy czy zainteresowań mimo wszystko będą musiały mieć angielski (czy może chiński) w głowie, a nie tylko w smartfonie. Jednak nawet wtedy warto nie obdarzać ciągów zer i jedynek stuprocentowym zaufaniem, ponieważ przy przekładzie z jednego języka naturalnego na inny relacja 1:1, zawsze to samo za to samo, po prostu nie jest możliwa z uwagi na naturę każdego żywego języka (i nie tylko żywego, dotyczy to też języków martwych, np. łaciny). Elektronika zawsze może nieumyślnie coś przekłamać, coś, co może okazać się istotne. Być może zatem każdy badacz będzie pisał artykuły w swoim ojczystym języku, a inni będą obcować z ich automatycznymi tłumaczeniami, ale nie mam pewności, czy będziemy się (globalnie patrząc) rozumieli lepiej, niż gdy pisaliśmy w tym samym języku, który jedni znali lepiej, a inni gorzej.

Aleksandra Kujawiak

Słowa zmieniające rzeczywistość?

Nie od dziś wiadomo, że język stanowi doskonałe narzędzie perswazji i manipulacji. Odpowiedni dobór słów sprawia, że ten sam przedmiot lub to samo zjawisko widzimy w zupełnie inny sposób. Wykorzystywane w tym celu eufemizmy i hiperbole stosowali już dziennikarze w tekstach pisanych nowomową, o czym wspominali Michał Głowiński i Jadwiga Puzynina. Do tej pory jednak nie powstało żadne opracowanie, które kompleksowo omówiłoby to zagadnienie. Mam nadzieję, że moja analiza w jakimś stopniu wypełni tę lukę.

W grudniu 2024 roku ukazała się moja książka *Eufemizmy i hiperbole jako środki perswazyjno-manipulacyjne (na materiale cyfrowych wersji polskich tygodników opinii)* poświęcona badaniu eufemizmów i hiperboli jako środków służących kreowaniu odmiennych obrazów rzeczywistości. Analizuję w niej teksty publikowane w latach 2017–2020 na łamach cyfrowych wersji polskich tygodników opinii: „Do Rzeczy”, „Newsweeka”, „Polityki” i „Sieci”. Do książki dołączony jest również aneks w postaci tematycznego słownika eufemizmów i hiperboli.

Liberalny vs. konserwatywny, eufemizm vs. hiperbola

Za punkt wyjścia przyjąłem tezę Jerzego Ziomka, która zakłada, że eufemizmy i hiperbole stanowią przeciwieństwa. Na tej podstawie poddaję analizie materiał wyekscerpowany z pism reprezentujących dwa odmienne typy dyskursu prasowego. „Newsweek” i „Politykę” uznaję za tygodniki liberalne, a „Do Rzeczy” i „Sieci” zaliczam do grupy pism konserwatywnych. Kryterium przyporządkowania stanowiła przy tym nie tyle samoidentyfikacja ideowa twórców pism, ile wyniki analiz zawartości tygodników przeprowadzonych przez Tomasa Mielczarkę i Rafała Klepkę oraz ustalenia innych badaczy – Laury Polkowskiej, Marii Lewandowskiej i Romana Bäckera – którzy w swoich pracach również zestawiali ze sobą te tytuły prasowe jako reprezentujące odmienne opcje światopoglądowe.

Dobór źródeł materiału miał umożliwić analizę eufemizmów i hiperboli na różnych płaszczyznach i pozwolić uzyskać odpowiedzi na pytania dotyczące następujących kwestii: jakie tematy są eufemizowane lub hiperbolizowane, jakich środków językowych używa się w tych celach i jakie pełnią one funkcje w tekstach oraz czy eufemizmy i hiperbole faktycznie można uznać za środki antagonistyczne? W dotychczasowych pracach na ich temat pojawiają się założenia, że przeciwieństwem eufemizmu jest dysfemizm, hiperboli zaś litota. Po dokładnej analizie uznaję jednak, że litota (wskazywana również jako jeden z typów eufemizmów) stanowiąca zaprzeczenie cechy przeciw-

stawnej (np. „nie nienawidzić” w stosunku do „kochać”) nie zawsze jest symetryczna w stosunku do hiperboli. Dysfemizm (inaczej: kakofemizm) również może być hiperbolą, choć ta stanowi, podobnie jak eufemizm, pojęcie szersze od dysfemizmu.

Czym tak naprawdę są eufemizmy, a czym hiperbole?

Analizę występowania eufemizmów i hiperboli w prasie opiniotwórczej poprzedziłam próbą usystematyzowania funkcjonujących do tej pory pojęć. Konieczne okazało się wskazanie cech eufemizmów i hiperboli, które pozwoliłyby jednoznacznie przyporządkować poszczególne określenia do tych dwu kategorii. Nie było to łatwe zadanie, szczególnie w przypadku eufemizmów, które – jak pokazała lektura dotychczasowych opracowań – były definiowane w różny sposób. Ostatecznie, za eufemistyczne uznaję w swojej książce te nazwy zastępcze, których użycie wiąże się z istnieniem tabu językowego wynikającego z niechęci do sprawienia komuś przykrości lub mówienia wprost o pewnych sprawach czy też ze strachu przed konsekwencjami. Do funkcji pełnionych przez eufemizmy zaliczam: łagodzenie, kamuflowanie i umniejszanie rangi. Odrzucam kryterium utrwalenia danego określenia w świadomości językowej odbiorców uznawane przez niektórych badaczy za decydujące o przyporządkowaniu do eufemizmów. Za najistotniejsze i mające duży wpływ na późniejszą selekcję materiału uważam przyjęcie przeze mnie tezy Anny Krawczyk-Tyrpy, która – w odróżnieniu od potocznego sposobu rozumienia eufemizmu – zakłada, że termin ten może obejmować swoim zakresem również wyrazy, wyrażenia, zwroty czy frazy nacechowane negatywnie, a nie tylko neutralne lub wartościujące pozytywnie. Istnieją przecież określenia łagodzące, które nie niwelują całkowicie negatywnego wydźwięku, jedynie trochę go umniejszają.

Z kolei hiperbole definiuję jako środki, które umieszczone na skali jakości lub ilości, stanowią wartości skrajne lub przesadne w stosunku do ich faktycznego znaczenia. Wskazując kryterium pozwalające odróżnić hiperbole od innych środków, odnoszę się do procedury identyfikacji hiperboli, którą zaproponowali

holenderscy badacze komunikacji: Christian Burgers, Britta C. Brugman, Kiki Y. Renardel de Lavalette i Gerard J. Steen.

Zakres tematyczny eufemizmów i hiperboli w tygodnikach opinii

Analizy tematycznej eufemizmów i hiperboli dokonałam, odwołując się do klasyfikacji współczesnej polszczyzny zaproponowanej przez Barbarę Batko-Tokarz oraz podziału eufemizmów na pola leksykalno-semantyczne, który Anna Dąbrowska opisała w monografii *Eufemizmy współczesnego języka polskiego*. W książce wskazuję cztery sfery występowania badanych środków: I – Człowiek jako istota fizyczna, II – Człowiek jako istota psychiczna, III – Człowiek w społeczeństwie oraz IV – Człowiek i przyroda. W ich obrębie wyróżniam eufemizmy i hiperbole należące do następujących pól tematycznych: w sferze I – Seksualność, Przerwanie ciąży, Choroby i ich leczenie; w sferze II – Działalność intelektualna, Wola, postawy i nastawienie człowieka do świata i życia, Relacje międzyludzkie; w sferze

III – Funkcjonowanie państwa, Prawo i łamanie prawa, Religia – Kościół, Edukacja i oświata, Środki masowego przekazu, Gospodarka. Omawiam również różnice w zakresie stosowania analizowanych środków w odniesieniu do konkretnych tematów, np. nie ma eufemizmów należących do pola Sport i czas wolny, hiperboli nie używa się w opisach starości i śmierci, uzależnień i używek, chorób psychicznych, wyglądu, zachowań nieakceptowalnych społecznie oraz wojska i wojny.

Zdecydowanie więcej tematów w prasie opiniotwórczej jest maskowanych niż wyolbrzymianych. Widać brak obiektywizmu, np. w tygodnikach liberalnych eufemizowane są wszelkie kwestie związane z orientacją seksualną (np. gay friendly, para jedнопłciowa). W pismach konserwatywnych jest odwrotnie – działania na rzecz praw mniejszości seksualnych są opisywane w skrajnie negatywnym świetle (np. homoterror, tęczowa tyrania). Kiedy przyjrzymy się zgromadzonym przykładom, widać, że eufemizacja może mieć różne przyczyny. Może wynikać z chęci ukrycia pewnych treści (np. spacerować – ‘wziąć udział



Źródło: pixabay

w Strajku Kobiet’), umniejszenia rangi wydarzeń (np. szkolne zamieszanie – ‘strajk nauczycieli w kwietniu 2019 roku’) czy też ochrony własnych interesów (eufemizowanie nazw doktryn politycznych). Czasem również może stanowić próby złagodzenia lęku przed nieznanym (np. scenariusz z Włoch – ‘o załamaniu systemu ochrony zdrowia’) lub zmniejszenia wyrzutów sumienia (np. z powodu ignorowania działań militarnych prowadzonych w Ukrainie przez Rosjan od 2014 roku: zielone ludziki – ‘o żołnierzach rosyjskich w Ukrainie’).

Zastosowanie hiperboli pozwala wyeksponować to, co nadawca chce podkreślić, ponadto sprawia, że przekaz prasowy jest atrakcyjniejszy i bardziej ekspresywny (np. rewolucja połączona z trzęsieniem ziemi – ‘o zmianie władzy na Białorusi’). Co ciekawe, zarówno eufemizmy, jak i wyolbrzymienia mogą zdradzać ironiczne nastawienie nadawcy do opisywanego tematu – być wyrazem złośliwości, ośmieszać i odpowiednio umniejszać lub zwiększać rangę opisywanych osób, zjawisk czy wydarzeń, np. eufemizm: wybrakowany „bejbiś” – ‘dziecko z wadami

wrodzonymi’, hiperbola: feminazizm – ‘postulowanie tworzenia form żeńskich wyrazów, które dotąd używane były głównie w rodzaju męskim’.

„Wrzenie w oświacie” a „brać chłodem nauczycieli” – co jest eufemizmem, a co hiperbolą?

W książce omawiam, jakie językowe zabiegi służą eufemizacji i hiperbolizacji. Tych pierwszych jest zdecydowanie więcej, przy czym analiza pokazała, że środki językowe mające kamuflować czy ukrywać pewne treści nie różnią się od tych stosowanych w latach 90. i omówionych przez Annę Dąbrowską w monografii i zawartych w *Słowniku eufemizmów, czyli w rzeczy mocno, w sposobie łagodnie*. Są to wykładniki fonologiczne, morfologiczne, leksykalne, semantyczne, graficzne oraz środki na poziomie zdania i tekstu.

Hiperbole są mniej zróżnicowane: obok morfologicznych i leksykalnych wykładników dominują przede wszystkim środki semantyczne: metafory nawiązujące do ekonomii, przy-



rody, religii, śmierci, terroru i ustroju totalitarnego czy wojny. Zresztą przenośni nie brakuje również wśród eufemizmów. Są one jednak związane z innymi polami semantycznymi, np. częściami ciała, domem, kolorami czy gramami.

Ciekawe badawczo okazały się metafory związane z temperaturą, tu przyporządkowanie konkretnych przykładów odpowiednio do eufemizmów czy hiperboli wymagało dodatkowych uściśleń klasyfikacyjnych. Ostatecznie, za wyolbrzymienia uznaję metafory związane ze skrajnymi wartościami i towarzyszącymi im zjawiskami, jak np. mróz czy wrzenie (np. wrzenie w oświacie, odmrażać gospodarkę). Do eufemizmów zaliczam przykłady przenośni związanych z temperaturą, których nie można uznać za skrajne (np. brać chłodem nauczycieli).

Tendencyjny obraz rzeczywistości

Ostatnim etapem analizy, jaki przedstawiam w książce, jest wykorzystanie eufemizmów i hiperboli w opisach konkretnych wydarzeń lub grup społecznych, ale przy uwzględnieniu różnic między profilami światopoglądowymi badanych pism. Badanie dyskursywnych obrazów strajku nauczycieli w kwietniu 2019 roku oraz sędziów w kontekście sporu wokół tzw. ustaw sądowych (na podstawie tekstów pochodzących z lat 2017–2020) pozwoliło pokazać, jak tendencyjne jest wykorzystanie eufemizmów i hiperboli.

W tekstach publikowanych na łamach tygodników konserwatywnych, opowiadających się przeciwko strajkowi nauczycieli i sędziom protestującym wobec reform wymiaru sprawiedliwości, dominowały środki perswazyjno-manipulacyjne, które pozwalały wykreować negatywny obraz nauczycieli i sędziów w kontekście konkretnych wydarzeń. Choć eufemizmy zwykle służą łagodzeniu, ich stosowanie w analizowanych tekstach wynika niekiedy z hipokryzji nadawcy. Krygując się i pozornie nie poruszając tematu tabu, używa on określeń maskujących znaczenie nazwy wprost, które jednocześnie deprecjonują przeciwników. Inne negatywne cechy oponentów są wyolbrzymiane – z tekstów wyłania się obraz nauczycieli i sędziów jako agresorów, a samego strajku nauczycieli jako wojny lub aktu terroru, których ofiarami są dzieci, rodzice i społeczeństwo. Sprzymierzeńców ukazuje się jako bohaterów.

Podobnych środków językowych używa się w tygodnikach liberalnych, ale widoczne są odwrotne tendencje. Ranga negatywnych konsekwencji strajku nauczycieli jest umniejszana, sprzeciwiający się protestom nauczycieli rząd ukazywany jest – ale pod pozorem poprawności politycznej, za pomocą eufemizmów – jako nieuczciwy i sprawujący władzę autokratyczną. W pismach liberalnych wyolbrzymienia pozwalają ukazać nauczycieli i sędziów jako ofiary, a rząd – odwrotnie niż w tygodnikach konserwatywnych – przedstawić w roli agresora.

Badanie eufemizmów i hiperboli w tekstach publikowanych w tygodnikach opinii pokazuje, że najważniejszym celem dziennikarzy staje się „zohydzenie” i przedstawienie oponenta w jak najgorszym świetle. Tam, gdzie spodziewamy się wyważonych ocen, rzetelnych analiz i rzeczowej argumentacji, otrzymujemy powtarzalne, schematyczne środki językowe, a nawet obraźliwe etykiety. Odbiorca nie jest informowany, a jedynie utwierdzany co do słuszności już posiadanych przez siebie poglądów.

Eufemizm a hiperbola – podobieństwa i różnice

Eufemizmy i hiperbole mają zarówno cechy wspólne, jak i takie, które je różnią. Oba środki często stanowią metafory, które można byłoby umieścić na dwóch przeciwnych biegach skali – od przesady (hiperbole) po niedopowiedzenie (eufemizm). Cechą różnicującą jest w tym przypadku ich funkcja: zwiększanie lub umniejszanie rangi opisywanych osób, wydarzeń, zjawisk. Odmiennie bywają także tematy, których oba



środki dotyczą, np. głupota, uzależnienia i używki są eufemizowane, ale nie podlegają hiperbolizacji.

Środki łagodzące i wyolbrzymiające często stanowią powielane i czytelne dla odbiorcy klisze językowe, np. ‘ocean’ jako bardzo dużo czegoś albo ‘mijać się z prawdą’ jako kłamać. Eufemizmy niekoniecznie służą przedstawianiu danego elementu rzeczywistości w lepszym świetle, bo nie zawsze taka jest intencja nadawcy, który, stosując te środki językowe, nie tylko ukrywa negatywne aspekty pewnych zjawisk czy wydarzeń, ale – jeśli sytuacja tego wymaga – umniejsza również pozytywne cechy swoich przeciwników. Zupełnie odmienny wpływ na odbiorcę mają wywierać używane w tekstach hiperbole – służą wyolbrzymianiu tego, co nadawca chce wyeksponować, a więc zarówno własnych sukcesów, jak i porażek przeciwników.

Dzięki tym funkcjom eufemizmy i hiperbole stanowią idealne narzędzia perswazyj i manipulacji pozwalające wykreować uproszczony, dychotomiczny obraz świata, w którym jednoznacznie można wskazać wartości: dobrzy (my) – źli (oni). Widać również potencjał obu środków jako narzędzi mowy nienawiści, kiedy służą one piętnowaniu lub deprecjonowaniu oponentów. Ten sposób opisu zdaje się zbliżać język tygodników opiniotwórczych do właściwej propagandzie politycznej nowomowy, a tym samym budzi wątpliwości co do etyki dziennikarskiej i wiarygodności współczesnych przekazów. Stronniczość pewnych określeń jest widoczna dla odbiorcy dopiero wtedy, kiedy pozornie obiektywne sformułowanie porówna z zupełnie innym, a nazywającym ten sam element rzeczywistości. Nie oznacza to jednak, że któryś z tych punktów widzenia jest obiektywny, a drugi – subiektywny, ani też, że istnieje jeszcze inne – „prawdziwe” ujęcie, lecz że każdy z tych opisów pokazuje – jak to określa Chaim Perelman – „tylko jeden aspekt rzeczywistości”.

Dr Aleksandra Kujawiak, Zakład Współczesnego Języka Polskiego, Instytut Filologii Polskiej i Logopedii, Wydział Filologiczny Uniwersytetu Łódzkiego

Piotr Gołdyn

Wokół mitu przedwojennego nauczyciela

czyli słów kilka o „Życiu codziennym nauczycieli w II Rzeczypospolitej”

Zawsze byli nauczyciele, którzy odznaczeni pasją, czuli powołanie do zawodu, starali się wprowadzać innowacje. Ale byli wówczas i są obecnie nauczyciele, którzy traktują swoją pracę jak rzemiosło, wykonują co trzeba i wracają do domu.

Prowadząc kwerendy czy to w archiwach państwowych, czy też szkolnych, często natrafiałem na akta osobowe. W wielu przypadkach byli to nauczyciele pracujący w okresie międzywojennym, bowiem ten czas jest najbliższy moim zainteresowaniom badawczym, a te związane są z dziejami oświaty, szkolnictwa. Lektura dokumentów pozwalała odkryć dwa równoległe światy, w których żyli ówczesni (ale przecież dziś jest tak samo) nauczyciele. Jednym z nich było życie zawodowe, a drugim oczywiście to prywatne. Wbrew pozorom one silnie na siebie wpływały, a co więcej determinowały się nawzajem. Bo wyobraźmy sobie sytuację, bardzo częstą w tamtym czasie, że jest szkoła, gdzieś na wsi, gdzie pracuje jeden nauczyciel – mężczyzna. Szkoła powoli się rozwija i potrzebna jest nowa „siła nauczycielska”, więc inspektor szkolny kieruje do tej szkoły młodą nauczycielkę, często świeżo upieczoną absolwentkę seminarium nauczycielskiego, która w krótszej lub dłuższej perspektywie czasu wchodzi w związek małżeński z owym nauczycielem i tworzą nową komórkę życia społecznego. Zatem wyraźnie widać, jak życie zawodowe „zaingerowało” w życie prywatne. Takich historii było bardzo dużo i zdarzają się również wspólnie.

Własnoręcznie pisane przez nauczycieli życiorysy, podania o pracę, zapomogi, informacje o zawieraniu związków małżeńskich czy też oceny ich pracy stały się inspiracją do dokładniejszego przyjrzenia się ich życiu codziennemu. Niezwykłym materiałem okazały się nekrologi, publikowane przede wszystkim w prasie związkowej, pokazujące czasem tragizm

życia młodych (ale nie tylko) nauczycieli i nauczycielek, którzy poświęcając się pracy, zapominali zadbać o swoje zdrowie. Czasem ten tragizm przejawiał się jeszcze bardziej, kiedy można było przeczytać o tym, że odbierali sobie oni życie. Tak było w przypadku pewnego małżeństwa nauczycielskiego, które nie mogło pracować w jednej szkole razem i wiodło życie osobno, pracując w dwóch szkołach położonych w dość dużej odległości. Popelnili samobójstwo na krakowskich Plantach.

Awans i emancypacja

Wyłączając szkolnictwo wyższe, polski system oświaty w II RP wyróżniał szkoły powszechne i szkoły średnie. Osobną kwestią było szkolnictwo zawodowe. W pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości, z powodów braków kadrowych, przyjmowano do pracy osoby, które miały ukończone przynajmniej 6 klas szkoły powszechnej. I te osoby chcąc zostać w zawodzie, zobligowane były do dalszego doskonalenia i składania egzaminów przewidzianych przepisami. W późniejszy czas pojawiły się seminaria nauczycielskie, których ukończenie było jednoznaczne z możliwością uzyskania pracy w szkolnictwie powszechnym, choć był czas, szczególnie w latach trzydziestych, że absolwentów tych placówek było więcej niż wolnych etatów. W każdym razie do seminariów tych najczęściej wstępowała młodzież pochodzenia chłopskiego lub małomiasteczkowego. Dla nich bowiem zawód nauczyciela był awansem społecznym, a dla rodziny w wielu przypadkach powodem do dumy. Tę pierwszą kwestię w swoich wspomnieniach



Źródło: historia.org.pl

Uczniowie szkoły powszechnej im. Św. Wojciecha w Krakowie, 1932 r.

podnosili choćby Dominik Wośko czy Teodor Kaczyński, którzy z dużą determinacją starali się o przyjęcie do seminarium nauczycielskiego. Z kolei Leonard Priebe wspominał, że gdy skończył naukę w seminarium nauczycielskim, ojciec zabierał go do miasta, chwalać się znajomym i nieznajomym, że jego syn został nauczycielem. Łyżką dziegciu w tym ostatnim przypadku było to, że z braku posad w miejscu zamieszkania i najbliższej okolicy Priebe został skierowany do pracy na Polesiu.

Z kolei nauczyciele szkół średnich wywodzili się z nieco „wyższych sfer”. Do pracy w tego typu placówkach wymagane było ukończenie studiów, po których kandydat do zawodu odbywał dwuletnią, najczęściej bezpłatną praktykę. Po jej ukończeniu zdawał egzaminy przed państwową komisją, uzyskując dyplom nauczyciela. O ile nauczyciele szkół powszechnych mogli uczyć wszystkich przedmiotów (zwłaszcza jeśli pracowali w małych szkołach), o tyle nauczyciele szkół średnich nauczali tylko tego przedmiotu, z którego uzyskali kwalifikacje. Warto dodać, że nie było jakos „chemii” pomiędzy nauczycielami szkół powszechnych i średnich. Ci ostatni czuli się ważniejsi i często z pogardą odnosili się do swoich koleżanek i kolegów pracujących w „powszechniakach”.

Jeśli chodzi o życie zawodowe, to nauczyciele z jednej strony musieli starać się o pozyskanie posady, a jeśli już z osiągnęli – o jej utrzymanie, co nie zawsze było łatwe i zależało od wielu czynników, na które czasem nie mieli wpływu. Zdarzył się przypadek, że w jednym z inspektoratów inspektor szkolny zwolnił kilkanaście młodych nauczycielek. Był to przejaw jego zemsty, bowiem wszystkie okazały się obojętne na jego miłosne starania. Sprawa trafiła do kuratorium i zakończyła się pozytywnie dla nauczycielek, które zostały przywrócone do pracy. Na marginesie trzeba zauważyć, że kobiet pracujących w szkolnictwie, szczególnie powszechnym, było dość dużo, w pewnym momencie ich liczba była równa, a nawet delikatnie przekraczała nawet liczbę mężczyzn. Inaczej było w szkolnictwie średnim, gdzie jednak przeważali mężczyźni. W wyniku prowadzonych badań

nie stwierdzono zajmowania przez kobiety stanowisk inspektorów szkolnych, o kuratorach i ministrach nie wspominając.

Specyfika pracy

Skoro już mowa o kobietach i ich pracy w szkole, to dość zaporowe warunki postawiono na Śląsku, gdzie w 1926 r. wprowadzono tak zwaną ustawę celibatową. Zakazywała ona mężatkom pracy w szkołach. Kobieta, która chciała utrzymać posadę nauczycielską, musiała wybierać między zawodem a rodziną. Wypływało to poniekąd z tradycji śląskich rodzin, gdzie kobiety zajmowały się domem, a pracowali mężczyźni. W konsekwencji ustawa ta była krytykowana nawet przez Kościół katolicki, bowiem kobiety żyły w związkach nieformalnych. Ostatecznie ustawa ta w latach trzydziestych została zniesiona.

Powyższy przykład pokazuje pewną specyfikę regionu, jakim był Śląsk. Ale trzeba zauważyć, że nie dotyczyło to tylko tego terenu. Dość ciekawe sytuacje przeżywali nauczyciele na Podhalu czy Polesiu. W obu tych regionach nie było tradycji noszenia przez dziewczęta majtek pod spódniczkami, więc nie bardzo mogły uczestniczyć w niektórych zajęciach wychowania fizycznego, na przykład grać w siatkówkę. O ile na Podhalu udało się przekonać dziewczęta i ich matki o konieczności noszenia tej części bielizny, to na Polesiu był z tym duży problem, ponieważ kobiety uważały, że jeśli chłopcy dowiedzą się, że ich córki noszą majtki, żadna z nich za męża nie wyjdzie.

Zarówno na Podhalu i Polesiu, jak i na Kaszubach pojawiła się inna trudność w nauczaniu, szczególnie dla nauczycieli, którzy przyszli do tam pracy z innych części Polski. Dzieci na co dzień mówiły gwarą, przychodząc do szkoły w zasadzie uczyły się języka polskiego jako obcego. Komunikacja z nimi była bardzo utrudniona.

Trzeba też podkreślić, że nauczyciele w tamtym czasie nie stonili od stosowania kar cielesnych, co więcej zachęcani byli do tego również przez rodziców. Często zdarzało się zatem okładanie dzieci pasem czy inne „wyrzafinowane” kary, jak ta,

którą zastosował jeden z nauczycieli w gimnazjum w Rzeszowie. Chcąc odczytać ucznia obgryzania paznokci, ustawił go na środku klasy. Drugiemu nakazał wytarcie dłoni o podłogę i podanie koleźce do obgryzania. Sprawa trafiła do kuratora lwowskiego (Rzeszów podlegała administracyjnie pod Kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowskiego). Ten w specjalnym liście wyraził swoje oburzenie zachowaniem nauczyciela, jednakże konsekwencje jakie wobec niego wyciągnął, nie były chyba zbyt dotkliwe. Nauczyciel został przeniesiony do innego gimnazjum na terenie miasta.

Podziały środowiskowe

Nauczyciele II Rzeczypospolitej byli dość mocno spolaryzowani i to w kilku obszarach, przy czym często obszary te się przenikały. Jedną z linii podziału była polityka, która często podgrzewała atmosferę w pokoju nauczycielskim. W jednej z łódzkich szkół nauczyciel prostanacyjny spoliczkował kolegę „endeka” po tym, jak ten obraził marszałka Piłsudskiego. Z kolei w jednej ze szkół wiejskich portrety Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego zamiast wisieć w sali lekcyjnej nad tablicą, wisiały w sieni szkolnej. Można w pewnym uproszczeniu przyjąć, że nauczyciele w Wielkopolsce czy na Pomorzu bliżsi byli (o ile w ogóle interesowali się polityką) Narodowej Demokracji, ci na Śląsku zaś - „chadecji”. Na Lubelszczyźnie i w części Mazowsza silne były wpływy ludowców, centralna Polska była prostanacyjna. Zdarzali się również nauczyciele o poglądach komunistycznych, ale tych w momencie wykrycia sympatii politycznych usuwano z zawodu. Zresztą po 1926 r., kiedy weszła w życie ustawa o stosunkach służbowych, władze oświatowe miały sprytny „wytrych”, bowiem w jednym z paragrafów zapisano, że można przenosić nauczyciela z jednej do drugiej placówki „dla dobra szkoły”. Chętnie z tego korzystano, szczególnie wobec nauczycieli, którzy zbyt mocno angażowali się w politykę, nie koniecznie po stronie władzy. Szczególnie znanym przypadkiem jest Czesław Wycech, zaangażowany działacz ludowy, nauczyciel, którego z tego powodu przeniesiono z Lublina na Pomorze, w okolice Chojnic. Na marginesie:

Wycech po II wojnie światowej był przez pewien czas ministrem oświaty. Wydał w latach sześćdziesiątych swoje wspomnienia z okresu międzywojennego. Wiele ciekawych wątków w nich zostało zawartych, jednakże spośród wszystkich wspomnień nauczycielskich, żadne nie zawierały więcej hipokryzji niż właśnie te jego autorstwa.

Skro mowa już o sympatiach politycznych, to warto zwrócić uwagę na fakt, że przekładały się one na konkretne działania, a jednym z nich było kandydowanie do parlamentu. Przykładem może być Kazimierz Rakowski, nauczyciel i kierownik Szkoły Powszechnej w Mąkolnie (obecnie powiat koniński). Został wybrany z listy BBWR do Sejmu w 1930 r. Na okres pracy parlamentarnej był urlopowany ze szkoły.

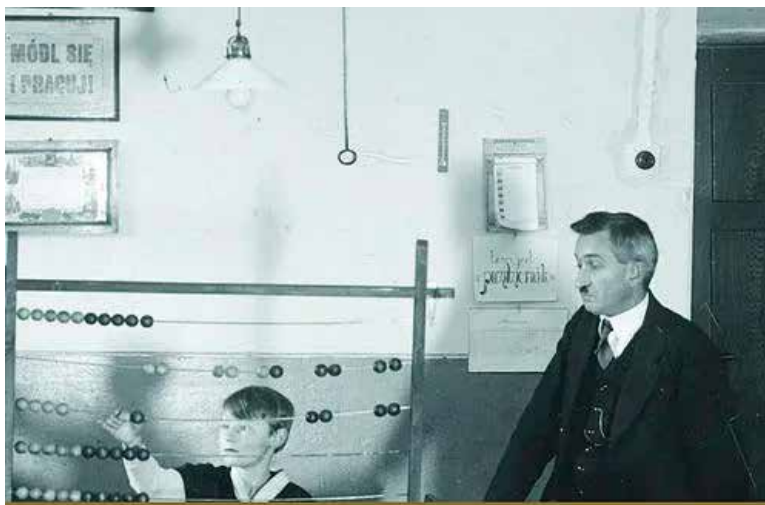
Drugim obszarem polaryzacji była działalność związkowa. W zasadzie prym wiodły dwa związki zawodowe nauczycieli: Związek Nauczycielstwa Polskiego i Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowe Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, przy czym o wiele liczniejszą reprezentację miało to pierwsze. Nauczyciele szkół średnich angażowali się w działalność Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych. Często organizacje związkowe były pod wpływem ugrupowań politycznych bądź ich członkowie sympatyzowali z poszczególnymi partiami.

Pasjonaci

Dla wielu nauczycieli tamtego okresu praca w szkole była nie tylko spełnieniem marzeń, awansem społecznym, ale także, a może przede wszystkim pasją. Wielu stanowiło przykład dla swoich uczniów, stawało się dla nich wzorcem. Realizowali się oni nie tylko w płaszczyźnie edukacyjnej, ale także społecznej czy naukowej. W pierwszym zakresie byli założycielami kółek rolniczych, straży pożarnych i ich czynnymi działaczami. Naukowo rozwijali się nauczyciele szkół średnich, którzy oprócz nauczania prowadzili badania naukowe. Jeden z biologów z Kresów Wschodnich był specjalistą od żab i hodował je w domu, co oczywiście nie podobało się żonie, aż w końcu postawiła warunek: albo ona, albo żaby. Niektórzy nauczyciele



Nauczycielki na Śląsku musiały zachowywać celibat, by nie demoralizować uczniów.



Piotr Gołdyn
ŻYCIE CODZIENNE
NAUCZYCIELI W II RZECZYPOSPOLITEJ



zakładali również gazety w miastach, w których pracowali. Tak było na przykład w Ciechanowie.

Liczne grono nauczycieli II RP realizowało się w harcerstwie. Zakładali drużyny zuchowe i harcerskie, przekazując młodzieży zasady i wartości promowane przez tę organizację. Wśród nauczycieli byli czynni pszczelarze, którzy promowali pszczelarstwo nie tylko wśród młodzieży, zakładając przy szkołach pasieki, ale także wśród gospodarzy na wsiach.

Praca nauczycieli nie kończyła się często wraz z przysłowiowym dzwonkiem, ale trwała do późnych godzin wieczornych. W ramach tzw. oświaty pozaszkolnej prowadzili oni zajęcia dla analfabetów czy dla poborowych, którzy również nie umieli czytać i pisać, a po wstąpieniu do wojska powinni choć w stopniu podstawowym. Organizowano również przedstawienia amatorskie, prowadzono chóry, orkiestry, zespoły muzyczne i taneczne. Ale trzeba podkreślić, że dzięki nauczycielom udało się zachować w dużej mierze dziedzictwo materialne i niematerialne w poszczególnych regionach, bowiem gromadzili oni np. zbiory etnograficzne. Jeden z nauczycieli pracujący w okolicach Pucka w czasie wolnym wędrował od domu do domu i zbierał kaszubskie pieśni, które później opracowywał, a niekiedy wyniki swoich badań publikował w fachowych czasopismach. Zresztą do takiej aktywności zachęcano nauczycieli, organizując dla nich specjalne kursy etnograficzne. Jedno z takich szkoleń odbywało się na przykład w Inowrocławiu.

Siłacze i siłaczki

Na koniec dwie refleksje. Pierwsza dotyczy kwestii związanej z podjętymi badaniami zaprezentowanymi w książce *Życie codzienne nauczycieli II Rzeczypospolitej*. Pomysł pojawił się już dawno, ale uwaga skupiona była na aktach osobowych zgromadzonych w archiwach na Wołyniu. Jest ich tam ponad 4,5 tys. Nawet dwukrotnie składany był grant do NPRH w tym zakresie. Za pierwszym razem recenzent uznał, że badania są fragmentaryczne i niewarte zachodu. Za drugim uwaga była jeszcze bardziej merytoryczna: wskazałem za drogi hotel, z którego zespół miał korzystać w trakcie prowadzonych kwerend. Zaczęłam pracować nad tym sam, ale wybuchła wojna na Ukrainie, dlatego uwaga przeniosła się na inny obszar, a w zasadzie nastąpił powrót do poprzedniego obszaru badawczego.

Druga refleksja dotyczy samej treści książki. Pojawiła się po jej napisaniu smutna refleksja, że w zasadzie w szkolnictwie nic się nie zmieniło. Z pewnością mamy obecnie lepszą bazę, nowocześniejsze szkoły, lepiej wyposażone. Niestety, jeśli chodzi o podejście do pracy nauczycieli, o selekcję do tego zawodu, to większych zmian nie można odnotować. Zawsze byli nauczyciele, którzy odznaczali się pasją, czuli powołanie do zawodu, starali się wprowadzać innowacje, nawet wbrew otoczeniu, czasem bez zgody przełożonych. Widać to dokładnie w okresie II RP. Przykładem może być choćby nauczycielka, która ucząc przyrody, zabrała dzieci na łąkę, żeby w naturalnym środowisku pokazywać konkretne

przykłady. Po powrocie do szkoły dostała od kierownika reprimendę. Ale byli wówczas i są obecnie nauczyciele, którzy traktują swoją pracę jak rzemiosło, wykonują co trzeba i wracają do domu. Wydaje mi się, a wręcz jestem przekonany, że mitologizacja przedwojennych nauczycieli jest mocno przesadzona.

W każdym razie dla nauczycieli był to trudny okres. Z jednej strony konieczność ujednolicenia trzech różnych systemów szkolnych odziedziczonych po zaborcach. Przy czym nie było zgodności w widzeniu szkoły wśród działaczy społecznych. W niektórych regionach Polski brakowało szkół, często lokowano je w chłopskich chatach, gdzie wynajmowano izby lekcyjne. Ale gdy gmina nie chciała chłopu więcej zapłacić za wynajem, to ten wyrzucił szkołę i już nie dał rady otworzyć w tej wsi nowej. Z tym wiązały się również trudne warunki mieszkaniowe nauczycieli, co z kolei przekładało się na ich zachorowalność. Gruźlica dziesiątkowała szeregi nauczycielskie w tamtym czasie.

Można by wymieniać i przywoływać jeszcze wiele wątków, które szerzej zostały opisane w książce *Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczypospolitej*, wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy. W zasadzie każdy z tych wątków może stanowić wstęp do dalszych pogłębionych kwerend i analiz.

Dr hab. Piotr Gołdyn, historyk, teolog, pedagog, Instytut Interdyscyplinarnych Badań Historycznych, Uniwersytet Kaliski im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego

Marek Zakrzewski

Świat matematyków

Dzieje profesji i środowiska

Świat dawniejszych matematyków bardzo różni się od tego, jaki znamy dziś. Jest wystarczająco inny i dostatecznie ciekawy, by poświęcić mu osobną książkę.

Świat dawnych matematyków różni się zasadniczo od tego, jaki znamy dziś. Gdy próbujemy go poznać, na każdym kroku czeka niespodzianka. Dawniejsi matematycy zajmowali się zupełnie inną matematyką, inaczej przebiegały ich kariery zawodowe, inaczej też wyglądało ich wykształcenie.

Zupełnie inna matematyka

Matematyka XVII i XVIII, a nawet XIX stulecia to zupełnie inna matematyka. Wystarczy sięgnąć do któregoś z podręczników z XVII czy XVIII wieku, by się o tym przekonać. Co prawda zaczyna się zazwyczaj znajomo (arytmetyka, geometria, trygonometria, początki analizy), ale szybko pojawia się materiał, wobec którego typowy dzisiejszy matematyk czuje się coraz bardziej obco: mechanika ze statyką, hydrostatyka, astronomia z geografją, aerometria, hydraulika, zasady perspektywy, katoptryka, dioptryka, sferyka, hydrografia, gnomonika, pirrotechnika, architektura cywilna i wojskowa, czasem muzyka i trochę innych nieoczekiwanych dyscyplin. Matematyka XIX wieku przypomina już późniejszą, ale świat matematyków to pod wieloma względami wciąż zupełnie inny świat.

Inna ścieżka kariery zawodowej

Ta nietypowa matematyka otwiera wrota do zupełnie nietypowych karier. Christopher Wren, jeden z założycieli Royal Society, był przede wszystkim liczącym się astronomem, ale po wielkim pożarze Londynu (1666) skupił się na architekturze. Zaprojektował kilkadziesiąt kościołów, londyńska katedra pod wezwaniem Św. Pawła to zapewne najbardziej rozpoznawalny z jego projektów.

Simon Stevin, najwybitniejszy matematyk niderlandzki przełomu XVI i XVII wieku, życie spędził w służbie księcia Maurycego Orańskiego. Zajmował się m.in. mechaniką i teorią perspektywy, fortyfikacjami i księgowością. Do historii przeszedł dzięki krótkiej broszurze, w której wprowadził ułamki dziesiętne.

W XVII i XVIII wieku kariera zawodowa matematyka to wypadkowa talentu i szczęścia. Na to ostatnie składają się wpływowy mecenas i sprzyjające okoliczności historyczne. Oczywiście także w XIX wieku obydwa te elementy w karierze pomagają, ale stopniowo coraz większe znaczenie mają talent i procedury biurokratyczne.

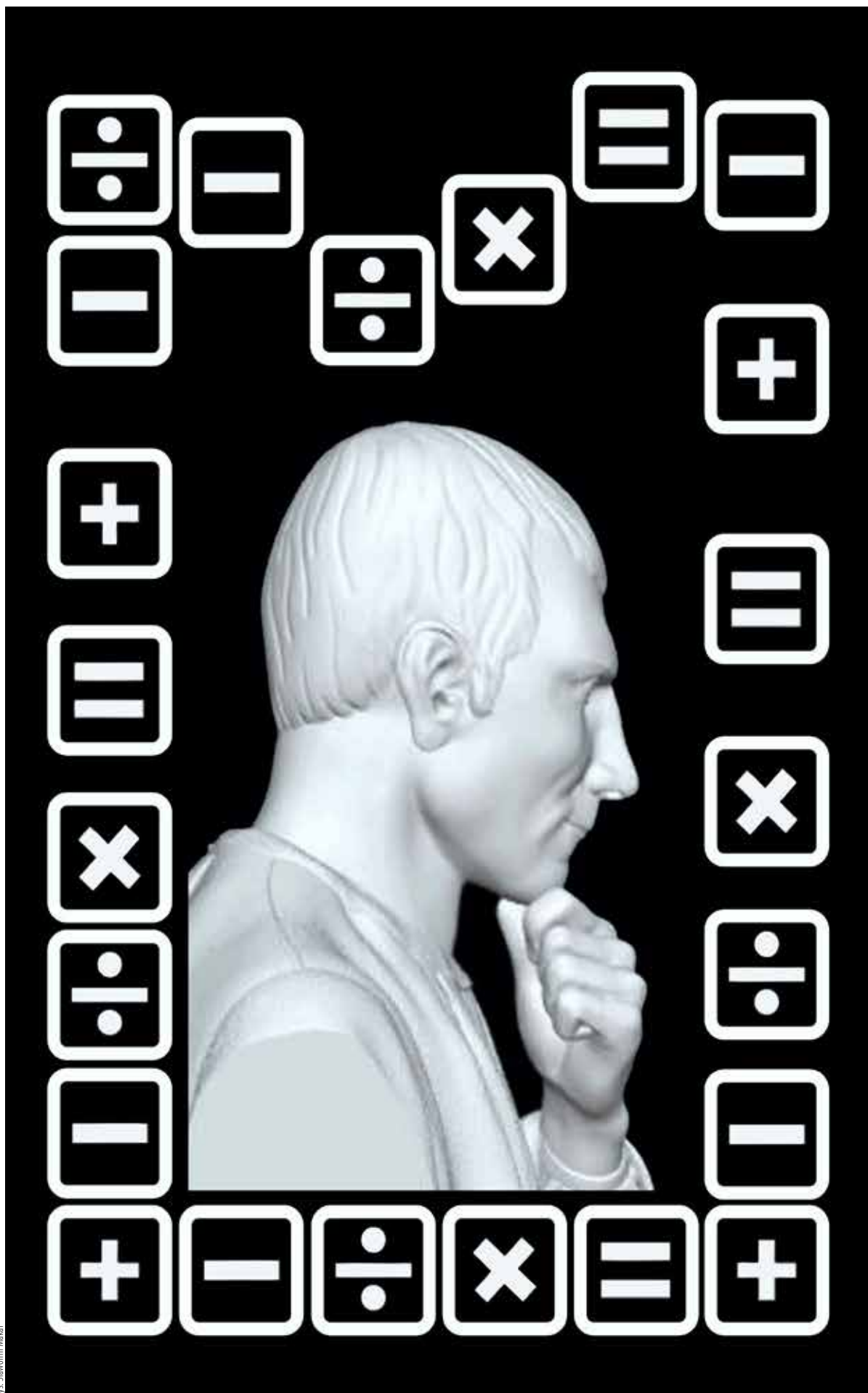
Trzy najważniejsze potęgi matematyczne XIX wieku to Prusy, Francja i Anglia. Każdy z tych krajów reprezentuje inny model kariery zawodowej. Model pruski – kariera akademicka oparta na imperatywie badawczym – jest nam dość dobrze znany, gdyż bliski systemowi obowiązującemu w Polsce. Najważniejszą osobliwością jest instytucja Privatdozenta, naukowca z doktoratem mającego prawo wykładać, praktycznie bez wynagrodzenia, w oczekiwaniu na niepewną profesurę. Ze zdumieniem dowiedziałem się, iż także znaczna liczba profesorów nadzwyczajnych żadnego wynagrodzenia nie otrzymywała.

We Francji najpewniejsza droga awansu akademickiego wiodła przez tzw. grandes écoles: Szkołę Politechniczną i Szkołę Normalną. Pierwsza z nich kształciła elitę administracji wojskowej i cywilnej, po dwu latach studiów teoretycznych jej wychowankowie uzupełniali naukę w szkołach specjalistycznych: inżynierii wojskowej, górnictwa albo budowy mostów. Absolwentami Szkoły Politechnicznej byli m.in. sławni matematycy Camille Jordan i Henri Poincaré. Obydwaj mieli w swojej karierze epizod górniczy. Jordan przez lata był inspektorem nadzoru paryskich kamieniołomów, Poincaré generalnym inspektorem górnictwa.

Szkoła Normalna kształciła przyszłych nauczycieli liceów i szkół wyższych. Ponieważ etatów akademickich dla matematyków (zwłaszcza w Paryżu) było niewiele, więc nawet najwybitniejsi jej absolwenci, zanim doszli do profesury, przez kilka lat uczyli w liceum. Humanisci mieli jeszcze gorzej. Fernand Braudel, najślynniejszy powojenny historyk francuski, zanim otrzymał etat (1937) w paryskiej Szkole Praktycznej Studiów Wyższych, przez dwanaście lat pracował we francuskich liceach, dwa lata na uniwersytecie w Brazylii.

Dwa stare uniwersytety angielskie, Oksford i Cambridge, kształciły przede wszystkim przyszłych duchownych. Jeszcze w I połowie XIX w. taką karierę wybierało 70% absolwentów Oksfordu i ponad 50% absolwentów Cambridge. Studia w Cambridge wienczył bardzo ambitny egzamin konkursowy z matematyki (w roku 1824 wprowadzono podobny z języków klasycznych) zwany Tripos. Zdobyć w tym konkursie któregoś z najwyższych miejsc dawało doskonałą pozycję wyjściową do dalszej kariery, także duchownej. William Hopkins, jeden z dwu najślawniejszych prywatnych tutorów matematyki w Cambridge, wykształcił siedmiu przyszłych biskupów kościoła anglikań-

Rys. Sławomir Makal



skiego. Drugi z tych sławnych tutorów Edward Routh zdobył w Tripos najwyższą lokatę, pokonując faworyta – Jamesa Clarka Maxwella. Oczywiście wielu spośród najzdolniejszych uczniów Hopkinsa i Routha zostawało matematykami.

A wielu duchownych, w tym biskupów, zachowało pewne zainteresowanie matematyką, takich egzaminów się nie zapomina. Jeden ze wspomnianych biskupów napisał podręcznik arytmetyki, który okazał się bestsellerem, inny w drodze na misję przygotował rozprawę o metodzie najmniejszych kwadratów. Można przypuszczać, że w kraju, w którym duchowni pasjonują się matematyką, ogólny poziom kultury matematycznej jest wysoki. Ale...

Kolejna niespodzianka: poziom kultury matematycznej

Może zaskakiwać, że sześćoletni program grammar school (czyli angielskiej szkoły średniej) z końca XVI wieku w 36-godzinny planie tygodniowym przewiduje tylko dwie godziny arytmetyki (i tylko w najmłodszych klasach), ale prawdopodobnie była to sytuacja typowa. Jeszcze sto lat później, w czasach Newtona, Samuel Pepys, wysoki urzędnik admiralicji, uczył się czterech działań arytmetycznych dopiero jako dorosły człowiek. W Anglii matematyka przebija się do programów szkolnych z trudem. Gdy w elitarnej szkole Winchester pod koniec połowy XIX w. stała się w końcu przedmiotem obowiązkowym, przyjęto zasadę, że ocena z matematyki nie ma wpływu na promocję.

We Francji niemal przez cały XIX wiek w 18-19-godzinny rozkładzie w każdej z sześciu klas liceum na matematykę poświęca się tylko jedną godzinę, inne nauki ściśle są w tym programie nieobecne. Wyraźnie mocniejszą pozycję ma matematyka w państwie pruskim. Program gimnazjum przewiduje tygodniowo 10 godzin łaciny, 6 greki (tylko w starszych klasach), 3-4 godziny matematyki i po 1-2 godziny z kilku innych przedmiotów.

Przykłady te pokazują, że świat dawniejszych matematyków bardzo różni się od tego, jaki znamy dziś. Jest wystarczająco inny i dostatecznie ciekawy, by poświęcić mu osobną książkę.

Każda nauka ma swoje zagadki. Dla mnie w historii matematyki taką zagadką jest Hiszpania. Jak to się dzieje, że państwo będące przez sto lat największym mocarstwem świata praktycznie jest nieobecne w historii matematyki? Wciąż tego nie rozumiem. Przypuszczam, iż głębsza odpowiedź na to pytanie wymaga znajomości hiszpańskiego, i być może łaciny.

Praca nad książką

Pomysł książki *Świat matematyków: dzieje profesji i środowiska* (Oficyna Wydawnicza GiS, 2024) narodził się w latach 1990-1991. Szybko się zorientowałem, że nie mam dostępu do literatury, poza tym za słabo znam niemiecki, język dla tej tematyki istotny. Przez kolejne lata budowałem solidny księgozbiór (ponad 200 tytułów z zakresu społecznej historii matematyki), douczałem się niemieckiego, a czytając kolejne książki, odkrywałem, że wciąż czegoś nie rozumiem. Musiałem jakoś przyzwyczaić się do zasadniczej odmienności systemów edukacyjnych Francji i Wielkiej Brytanii. Kilka lat temu zauważyłem, że muszę się nauczyć też trochę włoskiego. Na szczęście moi włoscy autorzy pisali tak, jakby myśleli o niedouczonej obcokrajowcach. Po przejściu na emeryturę znalazłem czas, by swój projekt – po prawie 35 latach – sfinalizować.

Niespodziewane polonica

Korzystając głównie z literatury zachodniej, bo przecież zasadniczo tam kształtowała się profesja matematyka, nie

spodziewałem się, że dowiem się czegoś ciekawego o matematyce polskiej. Jednak się dowiedziałem. W polskim środowisku matematycznym powszechnie wiadomo, że najstarszym pismem matematycznym o tematyce ograniczonej do kilku powiązanych ze sobą dyscyplin są polskie „Fundamenta Mathematicae”, założone w roku 1920. Wcześniejsze pisma poświęcone były całej matematyce. Wiedziałem też, iż I tom „Fundamenta Mathematicae” miał przed wojną dodruk (rzecz w przypadku periodyków naukowych arcyrzadka!), ale przedwojennej pozycji polskich pism matematycznych nie doceniałem.

Wkrótce po wojnie American Library Association przygotowało na użytek bibliotek akademickich ranking czasopism naukowych i serii wydawniczych (oparty na liczbie cytowań w latach 1942-1944). W matematyce na pierwszym miejscu znalazły się „Fundamenta” (398 cytowań) z wyraźną przewagą nad niemieckimi „Mathematische Annalen” (344 cyt.) i amerykańskimi „Transactions of AMS” (285 cyt.). Na jedenastej pozycji znalazły się nasze „Monografie Matematyczne” (I tom to dzieło Banacha), na 25. „Studia Mathematica”, a kolejne polskie pisma na pozycjach 32., 48. oraz 55. Pośród 55 najczęściej cytowanych pism jest 15 niemieckich, 9 brytyjskich (w istocie angielskich), 8 amerykańskich, po 6 francuskich i polskich, 4 włoskie, 2 japońskie i po jednym z kilku innych krajów (Austria, Holandia, Szwecja, Węgry, ZSRR).

Kolejna niespodzianka wiąże się z Międzynarodowym Kongresem Matematyków, jaki miał się odbyć w roku 1940 w Cambridge (USA). Kongres z powodu wojny w Europie się nie odbył, ale pełna obsada była przygotowana. Największy prestiż przynoszą uczestnikom wykłady plenarne. Przed wojną taki honor spotkał polskich matematyków dwukrotnie. Wacław Sierpiński miał wykład plenarny w Zurychu (1932), Stefan Banach w Oslo (1936). W Cambridge wykład plenarny miał wygłosić Alfred Tarski. Tylko jeden polski wykład spośród dwudziestu sześciu? Uwzględniając ówczesną pozycję polskiej matematyki może to budzić rozczarowanie.

Ale planowany kongres miał organizację nietypową. W jego ramach miały odbyć się cztery konferencje specjalistyczne poświęcone algebrze, logice matematycznej, teorii miary i teorii prawdopodobieństwa oraz topologii. Na dwu ostatnich matematycy polscy grali pierwsze skrzypce: na konferencji z teorii miary mieli cztery wykłady spośród trzynastu, na konferencji z topologii trzy spośród dziewięciu.

I jeszcze jedna ciekawostka. W roku 1974 w siedmioosobowym Komitecie Medalu Fieldsa (medal tradycyjnie uznawany za matematyczny odpowiednik Nagrody Nobla) zasiadało dwóch Polaków: Andrzej Mostowski (Warszawa) i Antoni Zygmund (Chicago), przed wojną profesor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie.

Książka powinna zainteresować każdego matematyka, ale nie tylko. Do końca XVIII w. „matematykiem” jest niemal każdy inżynier, architekt, wielu rzemieślników itd. Może więc zainteresować także fizyków, informatyków, inżynierów i architektów, choć zapewne pominą oni niektóre rozdziały odnoszące się do XX w. Obszerne fragmenty książki poświęcone historii uniwersytetów i szkół średnich zaciekawia także humanistów.

Dr Marek Zakrzewski, em. wykładowca Wydziału Matematyki Politechniki Wrocławskiej, autor podręczników akademickich (siedmiotomowy cykl „Markowe wykłady z matematyki” oraz „Matematyka dawna i nowa”) i książek adresowanych do ambitnych licealistów i ich nauczycieli („Dyskretny urok matematyki”)

Niebo gwiazdziste nad nią...

O życiu i pracy Wilhelminy Iwanowskiej

Choć prof. Iwanowska dostała szereg propozycji pracy za „wielką wodą”, nie zdecydowała się na żadną z nich. Wróciła do kraju w 1949 roku ze względów rodzinnych i patriotycznych, przekonana, że życie w Polsce, choć trudniejsze, jest ciekawsze.

Wilhelmina Iwanowska urodziła się w historycznej stolicy Księstwa Litewskiego 2 września 1905 roku. Była drugą córką Jana Iwanowskiego i Konstancji z Wasilewskich. Rodziny miały pochodzenie szlacheckie, ale ojciec nie dbał o takie sprawy. Był z zawodu mechanikiem, a jego poglądy polityczne były najbardziej zbliżone do socjalistycznych. Pracował w różnych fabrykach i na kolei. Kiedy przyszła astronomka była małym dzieckiem, doznał wypadku (uraz ręki) i nie był w stanie pracować. Wtedy rolę osoby utrzymującej rodzinę przejęła matka. Założyła pracownię krawiecką. Do zawodu powracała jeszcze kilkakrotnie w trudnych warunkach wojennych i powojennych.

Wilhelmina rozpoczęła formalną edukację w 1914 roku w rosyjskim gimnazjum w Wilnie. I wojna światowa zmusiła rodzinę do ucieczki w głąb kraju. Gdy pozostawali gdzieś na dłużej, dziewczynkę zapisywano do rosyjskich szkół. Wybuch rewolucji zastał ich w białoruskim Bobrujsku. W sierpniu 1918 roku wrócili do Wilna. Iwanowska trafiła do prywatnego gimnazjum Walerii Czarnockiej. Tam zdała maturę w 1923 roku. Szkoła dała jej dobre przygotowanie humanistyczne, ale dziewczyna przekornie jako przedmiot studiów wybrała matematykę. Jak wspominała, „decyzja przyszła nagle i nieodwołanie na zasadzie jakiegoś wewnętrznego nakazu i powrotu do dawnych zamiłowań. Wybrałyśmy wraz z jedną z koleżanek, Hanką Gierzodówną, matematykę z myślą o zawodzie nauczycielskim i z cichym (u mnie) marzeniem o studiowaniu równocześnie astronomii dla własnej przyjemności” (W. Iwanowska, *Mój życiorys naukowy*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, r. XXVI-2/1981, s. 248).

Studentki początkowo miały pewne zaległości i mimo, że zaliczyły wszystkie kolokwia, postanowiły powtarzać rok, żeby je nadrobić. Kolejne lata studiów poszły gładko. W 1929 roku Wilhelmina Iwanowska uzyskała tytuł magistra filozofii w zakresie matematyki. Praca końcowa była przygotowana pod kierunkiem prof. Juliusza Rudnickiego (1881-1948) na temat odwzorowań podobnych z zakresu teorii funkcji analitycznych.

Iwanowska bardzo dobrze wspominała okres studiów. Zarówno młodzież, jak i profesorowie byli pełni entuzjazmu wobec odrodzonej polskiej uczelni. Uniwersytet Stefana Batorego miał wspaniałą historię sięgającą XVI wieku i opromieniał ją blask takich postaci jak Skarga, Poczeb, Śniadeccy, Mickiewicz, Słowacki czy Lelewel. Kadra, choć przybyła „ze świata”, szybko zasymilowała się z miastem. W okresie międzywojennym Wilno było widoczne na zjazdach krajowych i międzynarodowych. Z zakresu matematyki reprezentowali uczelnię wspomniani Juliusz Rudnicki i Antoni Zygmund (1900-1992), z astronomii: Władysław Dziewulski (1878-1962) i Kazimierz Jantzen (1885-1940), z fizyki: Waclaw Dziewulski (1882-1938), Józef Patkowski (1887-1942), Jan Weyssenhoff (1889-1972), Szczepan Szczeniowski (1898-1979), z chemii: Marian Hłasko (1889-1940 lub 1941), Kazimierz Sławiński (1870-1941) i Edward Bekier (1883-1945). Wymieniona kadra w okresie dwudziestolecia przygotowała kolejne pokolenie młodych pracowników nauki.

Najszcześniejszy dzień w życiu

Gdy Wilhelmina była na trzecim roku studiów, prof. Władysław Dziewulski zaproponował jej asystenturę w Obserwatorium Astronomicznym. Zaczął od słów: „Wiem, że pani nie będzie astronomem”... Była przeciw studentką matematyki. Podobną propozycję profesor złożył dwóm kolegom – Jerzemu Jacynie (poległ 7 września 1939 roku) i Włodzimierzowi Zonnowi (1905-1975). Jak wspominała Iwanowska, „zgodziłam się bez wahania, a co przeżywałam trudno opisać: był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu” (*Mój życiorys...*, s. 249). Od 1 stycznia 1927 roku rozpoczęła pracę na 1/3 etatu młodszego asystenta. Nie było to jej pierwsze zarobkowe zajęcie. Od czasów gimnazjum zarabiała na swoje utrzymanie korepetycjami z łaciny i matematyki. W 1928 roku ukazała się jej pierwsza praca z dziedziny astronomii pt. *O wyznaczaniu ruchu Słońca metodą Bravais*.

Obserwatorium Astronomiczne w Wilnie było najstarszą tego rodzaju placówką na ziemiach polskich. Zostało założone

w 1753 roku dzięki fundacji księżnej Elżbiety z Ogińskich Puzyriny (1680-1767). Znaczne zasługi dla obserwatorium miał też jego trzeci w kolejności dyrektor – Marcin Odlanicki Poczobut (1728-1810). Zwiedził on wiele obserwatoriów poza granicami Polski, zapoznał się z najnowocześniejszymi ówczesnie instrumentami i metodami pracy w astronomii. Wiedzę tę wykorzystał do zmodernizowania według najlepszych wzorów placówki w Wilnie. Pracował w niej zresztą przez ponad 30 lat, gdzie zajmował się obserwacjami Merkurego. Poczobut był astronomem królewskim i Członkiem Royal Society of London oraz Akademii Paryskiej. Następcą na tym stanowisku był Jan Śniadecki (1756-1830), który także został zapamiętany jako sprawny zarządca. Pełnił także przez pewien czas funkcję rektora Uniwersytetu. Po zamknięciu uczelni, obserwatorium funkcjonowało jeszcze jakiś czas, potem przejęli je Rosjanie. W 1876 roku spłonęło, a jego wyposażenie zostało przeniesione do Pułkowa.

Po wskrzeszeniu Uniwersytetu Wileńskiego w 1919 roku rozpoczęto starania o wzniesienie nowego obserwatorium poza miastem. Inicjatywę podjął wspomniany prof. Władysław Dziewulski, jeden z pierwszych, którzy przybyli do Wilna. Udało mu się postawić budynek na przedmieściu, na wysokim brzegu Wilii. Nowa placówka była skromna jak na warunki światowe, ale na terenie kraju była jedną z nowocześniejszych i najlepiej wyposażonych. W tym właśnie miejscu Wilhelmina Iwanowska podjęła pracę w 1927 roku. Obok Dziewulskiego pracowali tam jeszcze prof. Kazimierz Jantzen z Warszawy, dr Stanisław Szeligowski (1887-1966) przybyły z Krakowa oraz starszy asystent Mieczysław Kowalczewski (1898-1943) także ze stolicy.

Zespół badawczy pod kierownictwem prof. Dziewulskiego interesował się w tamtym czasie zagadnieniami z zakresu astrofizyki. Duże teleskopy wyposażone w spektrografy pozwalały zajrzeć w głąb gwiazd, określać ich temperaturę, gęstość, skład chemiczny. O gwiazdach zaczęto myśleć jak o gorących kulach gazowych, pozostających we wzajemnej równowadze. W Wilnie prof. Szczepan Szczeniowski prowadził jedyne w Polsce wykłady z zakresu astrofizyki teoretycznej. W maju 1939 roku udało się zorganizować w tym obszarze konferencję w Wilnie, która była udanym zjazdem naukowym.

Dziewulski interesował się także astronomią gwiazdową, czyli statystycznym badaniem ruchów gwiazd w przestrzeni. Opracował własną metodę matematyczną wyznaczania parametrów elipsoidy prędkości. W tym właśnie obszarze Iwanowska stawiała swoje pierwsze kroki – wyznaczała ruch Słońca względem grup gwiazd o różnych cechach fizycznych i kinetycznych.

Trzecim nurtem badawczym w obserwatorium była fotometria fotograficzna gwiazd zmiennych, głównie cefeid. Było to zajęcie obserwacyjne. Do tego projektu Iwanowską włączono w 1930 roku, ku jej wielkiej radości. Wspominała: „obserwacje lubiłam zawsze, dawały one bowiem bezpośredni kontakt z tą największą Przyrodą, jaką jest Wszechświat – najbardziej naturalne środowisko człowieka. Do lunet i teleskopów odnosiłam się jak do żywego, przyjaznego istoty” (*Mój życiorys...*, s. 252). Materiały z tych badań był podstawą do przygotowania pracy doktorskiej w 1933 roku. Opracowanie dotyczyło fotometrii fotograficznej gwiazdy zmiennej, cefeidy RX Aurigae. Iwanowska zdawała egzamin chora, z wrzodem w gardle i wysoką temperaturą, ale wszystko poszło pomyślnie. Promocja doktorska była uroczysta, co stanowiło element tradycji USB.

Przedwojenne zainteresowania naukowe

Bezpośrednio po obronie pracy doktorskiej prof. Dziewulski wysłał Iwanowską do Obserwatorium Sztokholmskiego w Saltjöbaden. Chodziło o przyuczenie jej w dziedzinie spektroskopii gwiazd. W szwedzkim zespole polska astronomka podjęła się poszukiwania kryteriów typu widmowego i jasności absolut-



Wilhelmina Iwanowska

Fot. Archiwum FA

nej gwiazd – żółtych nadolbrzymów, zwanych też pseudo-cefeidami. Iwanowska wspomina ten czas bardzo dobrze. Personel był serdeczny, otwarty i bardzo kompetentny. Otoczenie przyrodnicze obserwatorium zachwycało. Urządzenia były ulokowane w kopałach na szczycie wzgórza. Astronomowie mieszkali w domkach na zboczach. Był to wspaniały teren do wędrówek, a zimą do uprawiania narciarstwa biegowego. Szwecja wydawała się Polce rajem, gdyż był to kraj dostatni, jednak po pewnym czasie zaczęła tęsknić do polskiego niedostatku, problemów i braku porządku. Do Obserwatorium Sztokholmskiego Iwanowska wróciła jeszcze parokrotnie: w 1938, 1947, w 1956 i w 1964 roku. Pokłosiem pierwszego pobytu były dwie publikacje w „Stockholms Observatoriums Annaler” i w „Arkiv för Astronomi, Kungliga Vetenskapsakademien”, z której autorka była szczególnie dumna. Obserwacje dotyczyły absorpcji ciągłej wodoru pseudo-cefeid. Polce udało się udowodnić, że ten rodzaj gwiazd chłonie więcej tego pierwiastka niż inne obiekty świecące własnym światłem.

Podstawą habilitacji był także materiał ze Szwecji. Iwanowska wykonała szereg zdjęć pseudo-cefeid w dużej i średniej dyspersji i postanowiła je porównać z widmami małej dyspersji. Aby uzyskać habilitację, trzeba było wygłosić wykład przed Radą Wydziału. Oceniono go pozytywnie, a astronomka uzyskała stopień naukowy docenta i veniam legendi. Pierwszym cyklem wykładów Iwanowskiej dotyczył statystyki matematycznej. Sądzone, że astronomowie, którzy używają statystyki w praktyce, lepiej pokażą jej walory i zastosowania niż matematycy, którzy używają jej abstrakcyjnie.

W Wilnie Iwanowska podjęła się kolejnego projektu obserwacyjnego. Prowadziła dwubarwną fotometrię serii dziesięciu cefeid o różnych okresach. Celem było wyznaczenie przebiegu zmian ich temperatur, jasności oraz rozmiarów, co miało pomóc w obserwacji pulsacji tych gwiazd. Wymagało to wykonania kilku tysięcy zdjęć. Nad tym projektem, obok Iwanowskiej, pracowały także Aniela Dziewulska (córka profesora, 1916-2004)

i Maria Mackiewiczówna. Wybuch II wojny światowej zastał je w momencie, gdy materiał obserwacyjny był już zebrany. Nad kliszami zespół pracował przez okres wojenny, a wyniki opublikowano w 1946 roku w pierwszym numerze „Biuletynu Astronomicznego UMK w Toruniu”. Udało się ustalić, że sfotografowane „pulsowanie” cefeid pokrywa się z obliczeniami statystycznymi.

Wojenne losy

Polski uniwersytet w Wilnie w zasadzie przestał istnieć po wkroczeniu do miasta wojsk radzieckich w nocy z 17 na 18 września 1939 roku. Przez kolejne lata, wraz ze zmianą układu frontów, miasto dostawało się pod różne rządy. Aby przetrwać, akademicy chwyтали się wszelkich zajęć, także pracy fizycznej. Prowadzili tajne nauczanie, w szerszym zakresie na poziomie średnim, skromniejszy charakter miało kształcenie akademickie. Wielu znajomych Iwanowskiej poległo w trakcie walk lub zginęło w obozach. Latem 1944 roku, kiedy Wilno było znowu radzieckie, stało się jasne, że polscy uczeni nie mają tam już czego szukać. Władze PRL chciały, żeby wileńscy uczeni trafili do Łodzi, oni jednak marzyli o założeniu nowego ośrodka. W rezultacie personel Wydziału Humanistycznego, Matematyczno-Przyrodniczego i Sztuk Pięknych USB trafił do Torunia (około 200 osób). Pracownicy Wydziału Lekarskiego pojechali do Gdańska tworzyć tam Akademię Medyczną. Wydział Rolniczy udał się do Poznania, Wydział Prawa do Wrocławia, a Wydział Teologiczny do Białegostoku.

Trudne nowe początki

Do Torunia przybyło 3 astronomów: prof. Władysław Dziewulski, doc. Wilhelmina Iwanowska i dr Stanisław Szeligowski, który jednak wkrótce przeniósł się do Wrocławia. Utworzono 2 katedry: astronomii i astrofizyki. W założeniach ośrodek toruński, ze względu na związki z Kopernikiem, powinien mieć silny ośrodek astronomii. Iwanowska otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego astrofizyki w październiku 1945 roku. Oficjalna nominacja odbyła się w maju 1946 roku. Wykłady z zakresu astrofizyki rozpoczęła w grudniu 1945 roku. Brakowało wszystkiego: książek, narzędzi, materiałów, literatury fachowej. Nie było też wcale obserwatorium ani żadnych urządzeń. Pierwsze katalogi i atlasy Iwanowska zdobyła w Poznaniu. Pierwsza luneta przyjechała do Torunia w 1947 roku z Obserwatorium Harwardzkiego USA. Był to wysłużony astrograf Draopera o średnicy 20 cm z pryzmatami obiektywowymi. Obserwatorium ulokowano 12 km od Torunia w majątku Piwnice, który należał do uczelni i służył jako gospodarstwo pomocnicze. Dzięki temu podstawowemu wyposażeniu powstały pierwsze prace magisterskie i doktorskie z dziedziny astronomii.

W 1947 roku Wilhelmina Iwanowska wyjechała ponownie do Szwecji. Oficjalnie miał być to urlop zdrowotny, ale astronomka wykorzystywała go na badania naukowe. W tym czasie zainteresowała ją praca Waltera Baade'ego (1893-1960) o dwóch populacjach gwiazd, które różnią się składem chemicznym, rozmieszczeniem i ruchami. Obserwacje Iwanowskiej potwierdziły spostrzeżenia niemiecko-amerykańskiego astronoma: gwiazdy, które rotowały wolniej, miały w swoim składzie mniej pierwiastków ciężkich. Ze Szwecji Iwanowska wyjechała nie tylko z nowymi wynikami badań, ale także ze sprzętem dla Obserwatorium Toruńskiego. Zdobyła dwie kolejne lunety.

W listopadzie 1948 r. nasza bohaterka wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracowała w 3 obserwatoriach: Yerkes Observatory Uniwersytetu w Chicago, w McDonald Observatory w Teksasie i w Obserwatorium w Cleveland w stanie Ohio. Tam miała możliwość zapoznać się z najnowszym sprzętem i poznać najwybitniejszych astronomów tamtych czasów,

m.in. prof. Otto Struvego (1897-1963), prof. Subrahmanyana Chandrasekhara (1910-1995), prof. Jasona J. Nassau (1893-1965) i wspomnianego wcześniej Waltera Baade'ego. W trakcie swojego pobytu w USA Iwanowska odwiedziła także Uniwersytet Harwardzki, gdzie widziała pierwszy komputer. Przypominał: był to 1948 rok.

Wyniki amerykańskich obserwacji przedstawiła w dwóch oddzielnych tekstach. Jeden ukazał się w „Astrophysical Journal”, a drugi zaprezentowano na kongresie w Rzymie w 1952 r. (wyniki w zastępstwie zreferował prof. Struve). Choć prof. Iwanowska dostała szereg propozycji pracy za „wielką wodą”, nie zdecydowała się na żadną z nich. Wróciła do kraju w 1949 roku ze względów rodzinnych i patriotycznych, przekonana, że życie w Polsce, choć trudniejsze, jest ciekawsze. W tym samym czasie dostała także ofertę z Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie powstawało nowe obserwatorium. Pierwsze kroki zostały zrobione, Iwanowska omal nie przeniosła się do stolicy. O zmianie planów zdecydowały jednak czynniki polityczne.

Astronomia w epoce stalinizmu

Od początku lat 50. w Piwnicach badano struktury Drogi Mlecznej. Zajmowano się wyznaczeniem rozkładu przestrzennego w oparciu o dwubarwną fotometrię gwiazd i dwuparametrową klasyfikację widmową. Najwięcej uwagi poświęcono gwiazdozbiorom Orła, Strzały i Kasjopei. Było to aktualne zagadnienie astronomii gwiazdowej. W efekcie powstał szereg prac magisterskich i aż cztery doktorskie. Kolejny temat zespołowy, który podjęto pod kierownictwem prof. Iwanowskiej, to dwubarwna fotometria 20 wybranych gwiazd typu RR Lyrae z uwzględnieniem ekstynkcji międzygwiazdowej. Oba zrealizowano w ramach Zespołu Katedr Astronomii i Astrofizyki, którym od grudnia 1952 roku kierowała nasza bohaterka.

Okres stalinowski prof. Iwanowska wspomina przede wszystkim w kontekście utrudnionej mobilności. Wszak trudno o bardziej międzynarodową dyscyplinę niż astronomia, a brak zgody na spotkania w obrębie grupy fachowców to znaczne utrudnienie. Przez pierwszą połowę lat 50. astronomce odmawiano paszportu. Mogła natomiast jeździć na Wschód, do Związku Radzieckiego. Uczestniczyła w obserwacji zaćmienia Słońca na Kaukazie (nieudana za względu na warunki meteorologiczne) oraz w konferencji kosmogonicznej w Moskwie w 1954 roku.

Lata 60. – nowe, inicjatywy, nowe nurty badawcze

Od lat 50. dyskutowano o stworzeniu centralnego ośrodka dla polskich astronomów. Naturalnym wydawało się umieszczenie go w strukturach PAN, powstały pierwsze wyceny, ekspertyzy, uformowały się zespoły potencjalnych pracowników. Jednak na początku lat 60. koncepcja Centralnego Obserwatorium Astronomicznego (COA) trafiła do rządowej zamrażarki. Zamiast tego powstał organizacyjny substytut, składający się z 3 pracowni: Stacji Szerokościowej w Borowcu k. Poznania, Pracowni Astrofizyki w Toruniu i Pracowni Astrofizyki w Warszawie. W ocenie prof. Iwanowskiej było to i tak pozytywne wydarzenie, bo oznaczało wzmocnienie kadrowe i otwierało możliwości pozyskania nowego sprzętu do Piwnic. W ten sposób do Torunia trafił teleskop Schmidta-Cassegraina. Uruchomiono go w sierpniu 1962 roku. Był to wtedy największy teleskop w Polsce. Dzięki niemu uzyskano materiał do wielu prac magisterskich i doktorskich, Używano go także do wykonywania zdjęć widmowych nieba do programu „SSS” – Spectroscopic Sky Survey. Zrobiono ich około 10 milionów.

Pod koniec lat 50. pojawił się w ośrodku toruńskim nowy nurt badań – radioastronomia. Polegał na badaniu promieniowania radiowego wysyłanego przez obiekty kosmiczne.

W tym celu stosowano m.in. radioteleskopy i interferometrię. Im większe anteny budowano lub łączono w sieć, można było „zajrzeć” dalej i dokładniej w głąb nieba. Zatem radioastronomia „widziała” więcej niż astronomia optyczna. W tym nurcie zajmowano się takimi zagadnieniami, jak obserwacje koron gwiazd, międzygwiazdowe chmury gazów, wybuchy gwiazd i jąder galaktyk, wreszcie – kwazary, pulsary i promieniowanie reliktywne.

Toruński ośrodek rozpoczął badania radioastronomiczne od obserwacji korony Słońca. Okazało się, że potrzeba do tego przeszkolonej kadry, w tym fizyków, dlatego postanowiono wysłać jednego z asystentów do Wielkiej Brytanii. Po jego powrocie badania radioastronomiczne nabrały tempa. W 1965 roku powstał oddzielny Zakład Radioastronomii, a na jego czele stanął doc. Stanisław Gorgolewski, ten sam, którego parę lat wcześniej wysłano za granicę po to, by przywiózł do Torunia umiejętności i nowości technologiczne.

W tym czasie nasza bohaterka, oprócz pracy organizacyjnej, zajmowała się zagadnieniem populacji i podsystemów gwiazdnych. Interesowała ją przede wszystkim kwestia relacji między ich rozmieszczeniem a cechami fizycznymi i chemicznymi. Polska astronomka ustaliła, że w tym samym zbiorze morfologicznym mamy gwiazdy obu populacji. Wszystkie typy morfologiczne gwiazd występują zarówno w dysku, jak i w halo galaktyki, choć w różnych proporcjach. O własnościach kinematycznych i składzie chemicznym gwiazd decyduje nie tylko wiek, ale też miejsce powstania (dysk lub sferoid) oraz masa obiektu. Im większy, tym mniej ruchliwy. Wobec czego także skład chemiczny gwiazd zależy ściśle od miejsca jej powstania.

Powyższe ustalenia prof. Iwanowska przedstawiła na zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego w Pittsburgu w 1960 roku i opublikowała w tekście pt. *Subsystems, Populations and Masses of Stars* (1958). W tym czasie pełniła funkcję Foreign Visiting Professor na Uniwersytecie w Ohio. Prowadziła tam wykłady i pracowała w Obserwatorium Perkinsa.

Ze swoich obserwacji prof. Iwanowska wyciągnęła następujący wniosek: „skoro każdy zbiór morfologiczny gwiazd jest mieszaniną dwóch typów populacyjnych, powinien dać się przedstawić statystycznie sumą dwóch rozkładów położień i prędkości gwiazd” (*Mój życiorys...*, s. 269). Stąd krok do wyznaczenia statystycznego prawdopodobieństwa, do którego zbioru należy dana gwiazda, jeśli znamy jej położenie i ruch. Tak powstał „statystyczny indeks populacji” – w skrócie SPI. Dzięki temu narzędziu uczona mogła zlecać część zadań badawczych, sama będąc zaangażowana w sprawy organizacyjne, także te, które łączyły się z pięćsetną rocznicą urodzin Mikołaja Kopernika.

Obchody kopernikańskie

Rocznica urodzin Kopernika była niezwykle okazją dla polskiej astronomii, żeby spopularyzować swój dorobek (przeszły i aktualny) oraz zwiększyć stan posiadania. Brak sprzętu był nadal czynnikiem ograniczającym prowadzenie badań. Iwanowska zaczęła od zorganizowania w Toruniu seminarium dla astronomów, które zapoznawało ich z *De revolutionibus...* Kopernika. Tylko dobrze przygotowani astronomowie mogli w kompetentny sposób komentować na arenie międzynarodowej dorobek naszego najsławniejszego astronoma. Sama



Wilhelmina Iwanowska i prof. Władysław Dziwulski w Obserwatorium Astronomicznym w Piwnicach. Fot. Olgierd Gałdyński.



Wilhelmina Iwanowska przemawia w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki podczas obchodów 500. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Warszawa, wrzesień 1973. Fot. PAP/Witold Rozmysłowicz.

badaczka w okresie okolojubileuszowym wygłosiła około 30 referatów na temat znaczenia prac Kopernika dla astronomii. Popularyzowała jego dorobek we Francji, Włoszech, w Czechosłowacji, Anglii, Kanadzie i Australii. Udany przedsięwzięciem było także wydanie serii „Biblioteczka Kopernikańska”. Iwanowska była autorką tomu *Astronomia współczesna*. Zabiegała także o organizację kongresu Unii Astronomicznej w 1973 roku. Swoistym sukcesem było to, że odbyły się dwa kongresy – zwyczajny w Australii i nadzwyczajny w Polsce, dla uczczenia urodzin Kopernika. Kongres składał się z centralnych uroczystości w Warszawie i z sześciu sympozjów naukowych (3 w Warszawie, 2 w Toruniu i 1 w Krakowie) poświęconych współczesnym problemom dyscypliny. W tym samym roku Iwanowska została wybrana wiceprezesem Unii Astronomicznej na kadencję 6 lat.

Jeśli mowa o stanie posiadania polskiej astronomii, obchody rocznicowe przyniosły jej nowy budynek Zakładu Astronomii PAN, przemianowanego na Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika (CAMK), któremu nadano kierunek teoretyczny i wyposażono w amerykański komputer. W Toruniu najpilniejszą potrzebą było zbudowanie pomieszczeń dla Zakładu Radioastronomii, co udało się z wykorzystaniem lokalnych środków tuż przed obchodami jubileuszowymi. Zaczęto też budować radioteleskop o średnicy 15 metrów. A w 1974 roku od Polonii Kanadyjskiej Toruń otrzymał spektrograf do największego teleskopu Schmitda-Cassegraina. Była to przyczyna wielkiej radości Wilhelminy Iwanowskiej.

Innym interesującym osiągnięciem okolo rocznicowym toruńskiej astronomii był udział w projekcie „Interkosmos-Kopernik 500”. Wspomniany doc. Gorgolewski miał zaproponować eksperyment astronomiczny, jaki można by było przeprowadzić na satelicie radzieckim, który planowano wystrzelić w 1973 roku. W Toruniu przygotowano radiospektrograf do pomiaru promieniowania korony Słońca na falach hektometrowych, które nie dochodzą do powierzchni Ziemi. Urządzenie zostało ukończone na czas i z sukcesem zabrane w kosmos. Według Iwanowskiej był to najpoważniejszy polski eksperyment kosmiczny (poza lotem płk. Hermaszewskiego).

Za mrówczą popularyzatorską i organizatorską pracą pojawiły się zaszczyty. Uniwersytet Manitoby w USA przyznał Iwanowskiej honorowy doktorat, podobnie jak Uniwersytet w Leicester (Wielka Brytania) i toruńskie UMK. Otrzymała też medal od Polskiej Akademii Nauk i została członkinią

towarzystw Royal Astronomical Society of Canada oraz Société Royale des Sciences w Liège (Belgia). Od końca lat 60. uczona kierowała też Instytutem Astronomii UMK i jednym z jego Zakładów – Astrofizyki i Astronomii Gwiazdowej. Czuwała nad trzydziestoma pracownikami, wypromowała 17 doktoratów, recenzowała przynajmniej drugie tyle prac doktorskich i habilitacyjnych. Prowadziła nadal dydaktykę, choć te wszystkie obowiązki zaczynały jej powoli ciążyć. Na emeryturę przeszła w październiku 1979 roku.

Praca na emeryturze

Jak wspominała Iwanowska: „z chwilą przejścia na emeryturę poczułam się wolna jak ptak, podobnie jak przed pięćdziesięciu laty, gdy zaczynałam pracę w dziedzinie astronomii” (*Mój życiorys...*, s. 275). Następnego dnia wyjechała na Kaukaz. Tam uczestniczyła w sympozjum i szkole dla Młodych Astronomów, zlokalizowanej na zboczu góry Ararat. Po powrocie zajmowała się sprawami Instytutu Astronomii UMK, który przechodził kryzysy kadrowe i organizacyjne. Jednocześnie wróciła do wcześniej podjętego zagadnienia związanego ze statystycznymi indeksami populacji. Wyniki ukazały się w „Biuletynie Informacyjnym” Centrum Danych Gwiazdowych w Strasbourgu. Iwanowska ustaliła, że rozrzut (dyspersja) prędkości zależy od wieku i masy gwiazdy. W pełniejszej wersji wyniki omówiła w czasopiśmie „Astrophysics and Space Science”. Oprócz tego recenzje i opinie, rozumiejąc, że jest taka potrzeba środowiskowa.

Podsumowując swoje dokonania, Wilhelmina Iwanowska napisała, że nie żyła tylko nauką, ale też wiarą, odziedziczoną po rodzicach, a zwłaszcza po matce. „Źródłem i motywem mojej wiary była z jednej strony Przyroda – Wszechświat – tak ciekawy w poznawaniu, a wciąż niepojęty, z drugiej – ideał etyczny zawarty w Ewangelii, słowem to, co wypowiedział Kant w słowach: »gwiazdy nade mną i prawo moralne we mnie«” (*Mój życiorys...*, s. 277). Z perspektywy astronomki nauka i etyka powinny wspierać się wzajemnie, choć nie zawsze w życiu naukowym tak jest. Wspominała także, że nie założyła rodziny, gdyż widziała w niej (słusznie) zagrożenie dla pracy naukowej. Podsumowując swoje życie, naznaczone także osobistymi tragediami (dwie wojny, śmierć rodziców, siostry i siostrzenicy, konieczność opuszczenia Wilna), uznała je jednak w ostatecznym rozrachunku za szczęśliwe i „ludzkie”.

Wilhelmina Iwanowska zmarła 16 maja 1999 roku w Toruniu. Rok 2025 ma być w tym mieście rokiem jej imienia.

Aromaty Wschodu



Dokąd by się nie udał Piotr Kołodziejczyk, towarzyszy mu wiatr będący sprzymierzeńcem w odsłanianiu archeologicznych tajemnic przeszłości. Tematyka kilku rozdziałów książki dotyczy najstarszych śladów bytności człowieka na Bliskim Wschodzie, ewolucji przedstawicieli naszego gatunku, rewolucji neolitycznej obszaru Żywnego Półksiężycza, zdobycia przez ludzi zmułnej umiejętności obróbki metalu, bliskowschodnich szlaków handlowych i organizacji karawan, geniuszu Nabatejczyków i ich monumentalnej Petry oraz tego, co Rzym

przejął z cywilizacji bliskowschodnich.

Wschodni wiatr roznosi także niepowtarzalne aromaty, zwłaszcza te, które wskazują na przygotowywanie pożywienia. Kuchnia sprzed tysięcy lat – po której oprowadza nas Kołodziejczyk – może być ekscytująca. Prawdziwe wschodnie ucztowanie wymagało nie tylko przepysznych potraw, dobrego mięsca, ale także doborowego towarzystwa. Starożytne wykopaliska potwierdzają istnienie tawern. W mezopotamskim mieście Lagasz (dzisiejszy południowy Irak) odkopano sporą salę restauracyjną datowaną na 2700 r. p.n.e. Wyposażona była w prosty system wentylacyjny wykonany z glinianych dzbanów wbitych w ziemię. Miał on przypuszczalnie chronić żywność i biesiadników przed upałem. Ekipa archeologiczna natrafiła tu na setki glinianych misek i szczątki „znakomicie zakonserwowanych” gotowanych ryb. Zlokalizowano także piecowisko.

Współczesna archeologia dzięki badaniom fitolitów w resztkach tłuszczu zwierzęcego zachowanego na fragmentach naczyń, potrafi określić jakiego rodzaju jedzono mięso i jakich używano przypraw. Badacze dowodzą, iż w Sumerze popularne były ryby, mięso jelenia, a z przypraw gorczyca czosnkowa. Są też ślady używania kolendry, kaparów, bazylii, maku i kopru. Odtworzono nawet sam proces przyrządzania potraw.

Jednym z bardziej znanych podręczników do gotowania z czasów starożytnych była książka kucharska rzymskiego sybaryty Apicjusza (I w. p.n.e./I w. n.e.) *O sztuce kulinarnej ksiąg dziesięć*. Tymczasem już ponad 100 lat temu odnaleziono najstarszą dotychczas znaną kulinarną publikację. Jest starsza od dzieła Apicjusza o ponad 2000 lat i pochodzi z Bliskiego Wschodu. Nie wiemy gdzie i dokładnie kiedy ją znaleźli. Wiadomo tylko, że gliniane tabliczki zostały kupione przez bibliotekę uniwersytetu Yale w 1911 roku, a badacze dopiero w latach 70. XX w. doszli do wniosku, że tabliczki nie są zbiorem przepisów farmaceutycznych, jak długo sądzono, lecz przepisami kulinarnymi. Po ich odczytaniu okazało się, że na Wschodzie gotowano sporo gulaszów i bulionów. W kuchni używano mięsa baraniego, kurzego (hodowle kur istniały w Indii już w III tysiącleciu p.n.e.), a nadto mięsa gazeli i frankolina (z rodziny kurowatych, podobnego do bażanta). Mięso gotowano podlewając bulionami i sosami na bazie piwa lub tłuszczu. Prawie zawsze dodawano cebulę lub czosnek. Do dziś próbuje się też zidentyfikować tajemniczą przyprawę samidu, którą część badaczy uważa za odmianę czosnku. Niesamowity jest przepis na popularny sos garum, zwany też liquamenem. Ten kluczowy składnik kuchni starożytnego Wschodu, spotykany później w Rzymie, produkowany był w procesie fermentacji ryb z dodatkiem soli i przypraw. Na koniec oddzielano części stałe od płynu o charakterystycznym, niepowtarzalnym, intensywnym smaku i aromacie. Stosowano go jako przyprawę, która miała dodawać potrawom głębi smaku.

Dzięki glinianym tabliczkom i skorupom kubków wiemy, iż sumeryjskie piwo używane było w rytuałach świątynnych około 2200 r. p.n.e., kiedy władca Lagasz był znany z imienia król Guda. Jednak najstarsze osady, w których archeolodzy odkryli naczynia piwne, znajdują się w Iranie (ok. 3500 r. p.n.e.). Sumeryjczycy mieli nawet hymn pochwalny na cześć swojej bogini piwa Ninkasi (ok. 1800 r. p.n.e.) i już wtedy istniało około siedemdziesięciu odmian tego napoju.

Bogdan Bernat

Piotr KOŁODZIEJCZYK, *Tam, gdzie mieszka wiatr. Archeologiczne zagadki Bliskiego Wschodu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wyd. Bo.wiem, Kraków 2024, seria: ARCHEO.

Lista wciąż się wydłuża



Im większa odległość w czasie, tym wyraźniej kształtują się kanony danej epoki literackiej i tym większy opór budzi ujęcie historii literatury, które rozmyślnie pomija kogoś stanowiącego nieusuwalną wydawałoby się część takiego kanonu. Z kolei im bliżej chwili obecnej, tym trudniej dokonać selekcji, czy może raczej nie sposób zdać się w niej na autorytet poprzedników. Przemysław Czapliński uczynił swoje wybory zrozumiałymi dzięki jasnej konstrukcji książki. Z jednej strony podzielił omawiany okres (1976–2020) na trzy podokresy (1976–1985,

1985–1995 i 1995–2020) i precyzyjnie to uzasadnił, z drugiej pogrupował omawiane dzieła według wyróżnianych nie tylko przez niego samego nurtów, bazując na różnym rozumieniu emancypacji w kontekście schyłkowego PRL-u i kolejnych dekad III RP.

Mamy tu zatem emancypację od cenzury i do drugiego obiegu, ze skostnienia tego ostatniego do trzeciego obiegu i różnych form twórczości osobnej (znakomicie ujął to Adam Zagajewski w tytule swego eseju z 1986 roku *Solidarność i samotność*), emancypację kobiet, osób nieheteronormatywnych, ale i renesans, a następnie zanik nurtu wiejskiego w polskiej powieści (związany ze zmierzchem tradycyjnie rozumianej kultury chłopskiej). Nawet jednak koniec jednej formacji oznaczał możliwość emancypacji innej. Obserwowany od kilkunastu lat tzw. zwrot ludowy (którego najsłynniejszym przejawem są *Chłopki* Joanny Kuciel-Frydryszak) to przejaw wyzwania się wiejskiego pochodzenia z odium „gorszości” czy „ahistoryczności”. Emancypować mogły się wręcz gatunki. Obszerny rozdział poświęcił autor renesansowi fantastyki (science fiction i fantasy) na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, którego efekty okazały się trwałe mimo pewnych ograniczeń widocznych zarówno w twórczości wielu pisarzy uprawiających te gatunki, jak i w społecznym funkcjonowaniu takiej literatury (oczekiwania fandomu nie zawsze zachęcają do eksperymentów).

Mimo rozmiarów książki niektóre zagadnienia sprawiają wrażenie potraktowanych dość naskórkowo. W jednym przypadku jest to zapewne wynik syntetycznego charakteru dzieła – w rozdziale poświęconym gwałtownemu wzrostowi znaczenia utworów niefikcyjnych (przede wszystkim reportażu książkowego) Czapliński jedynie zasygnalizował, jakie mogą być tego powody, szczególnie po stronie czytelników. Jeśli doszło do jakiejś formy utraty zaufania do fikcji literackiej jako takiej albo wątpienia w możliwości poszerzenia przez nią możliwości opisywania i rozumienia świata, to mamy do czynienia z fundamentalną z literaturoznawczego punktu widzenia kwestią, którą nawet w syntezie należałoby omówić szerzej (a autor w wielu miejscach książki wychodzi poza schematy i tu też na pewno ująłby problem w odkrywczy sposób). Drugi przypadek natomiast jest natury bardziej ideowej: spośród pisarzy bliskich konserwatywnej stronie sceny politycznej wyraźniej obecny jest właściwie wyłącznie Jarosław Marek Rymkiewicz. Jeśli autor uważa, że taki sposób oglądu świata nie sprzyja powstawaniu ważkich dzieł, dobrze byłoby wyjaśnić czytelnikom, jakie są jego zdaniem tego przejawy i dlaczego tak się dzieje. Każda historia literatury i każdy kanon opiera się na jakimś wartościowaniu i jest ono zawsze do pewnego stopnia subiektywne. Ale musi być jawne. Wielu czytelników podziela zapewne takie spojrzenie na twórczość o prawnym nachyleniu, ale samo podjęcie debaty byłoby ożywcze, choćby po to, by utwierdzić się w swoich opiniach, ale móc je głębiej uzasadnić.

Powyższe zarzuty w żadnym razie jednak nie obniżają walorów książki. Warto ją czytać z notatnikiem w rękę, aby móc zanotować pozycje warte przeczytania. Nawet jeśli uważamy się za osoby zorientowane w nowszej polskiej prozie, lista może być naprawdę długa.

Marek Misiak

Przemysław CZAPLIŃSKI, *Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976–2020*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024.

Łączyć, nie dzielić

Miasta w dziejach świata



Metody badań socjologicznych najczęściej dzieli się na ilościowe i jakościowe. Te pierwsze obrazują zasięg występowania badanych zjawisk, te drugie pozwalają lepiej je zrozumieć. Grzegorz Bryda, socjolog i metodolog, nie poprzestaje na tym klasycznym już podziale. Idąc z duchem czasu, proponuje „cyfrową socjologię jakościową”, a więc taką, która korzysta z dorobku informatyki czy kognitywistyki i wchodzi z nimi w dialog.

Swoją metodę autor testował przez kilkanaście lat, prowadząc wraz ze studentami socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego badania empiryczne. Ich podstawą były badania terenowe: wywiady z mieszkańcami zróżnicowanej etnicznie i religijnie społeczności gminy Komańcza, położonej w powiecie sanockim, na terenie województwa podkarpackiego. Problematyka badań dotyczyła atrybucji społecznych i sposobów językowej reprezentacji wiedzy o codziennym życiu społeczności lokalnej.

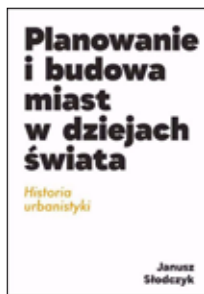
Praca Brydy łączy więc nie tylko socjologię i humanistykę cyfrową, lecz także – jak wskazuje podtytuł – życie codzienne i językowy obraz świata. Język to bowiem nie tylko narzędzie komunikacji, lecz także czynnik kształtujący model reprezentacji rzeczywistości. Wypracowany przez lubelskich etnolingwistów model językowego obrazu świata (JOS) skupia się na związku między językiem, kulturą a postrzeganiem świata, bada językowe aspekty kultury, w tym wpływ języka na zachowania, postawy społeczne i schematy poznawcze. „Analizując relacje semantyczne między światem przeżywanym a jego językowym obrazem – pisze autor – przyjmuję koncepcję JOS za kluczową kategorię epistemologiczną we wspomaganej komputerowo analizie wywiadów biograficzno-narracyjnych”.

Choć przeprowadzono w sumie 476 wywiadów (ogromna liczba jak na standardy badań jakościowych), każdy z nich trwał średnio 2,5 godziny, z tej obszernej monografii niewiele dowiemy się o postrzeganiu świata przez mieszkańców Komańczy. W znakomitej większości składa się ona z rozważań teoretyczno-metodologicznych. Jak bowiem przyznaje sam autor, jej nadrzędnym celem jest rozpoznanie możliwości wykorzystania metod analitycznych cyfrowej socjologii jakościowej jako nowej, interdyscyplinarnej dziedziny badania świata codziennego. Sporo więc tu bardzo szczegółowego tłumaczenia własnej metody, tabel, diagramów, wykresów. Książka zawiera obszerny aneks z „sieciovym scenariuszem wywiadu biograficzno-narracyjnego”, a także m.in. spis pojęć i terminów. Szkoda tylko, że nie zostały one krótko wyjaśnione, jak w słowniku; są tylko wypisane. „Lemantyzacja”, „słowosiec”, „N-gramowe struktury”, „tagowanie morfosyntaktyczne” itp. Prawdopodobnie część potencjalnych czytelników właśnie zniechęcam, ale z pewnością zachęcam uczonych zainteresowanych łączeniem tradycyjnych metod analizy danych z nowymi technologiami, w tym ze sztuczną inteligencją, bo o niej też tu mowa (autor wykorzystywał m.in. ChatGPT do transkrypcji wywiadów).

Oprócz oczywistych walorów odkrywania nowych możliwości i inspiracji dla socjologów do poszerzania własnego warsztatu książka stanowi też nolens volens głos w dyskusji o nauce w ogóle. Sprzeciwia się sztucznemu podziałowi na dyscypliny naukowe. Pokazuje, jak owocne jest intercyzy nawet transdyscyplinarne podejście do badań. Grzegorz Bryda definiuje się jako socjolog, ale w swojej książce odwołuje się do językoznawców, psychologów, antropologów kultury, filozofów czy geografów, dowodząc, że poznawanie świata wymaga kapelusza z większym rondem niż może to zapewnić jedna tylko dyscyplina naukowa. Takie syntetyczne podejście do badań jest nie tylko bardziej innowacyjne, ale przede wszystkim pozwala uzyskać pełniejszy, bardziej wszechstronny obraz badanego zjawiska. Oglądając obraz tylko pod jednym kątem, siłą rzeczy widzi się mniej. Zwłaszcza w przypadku nauk społecznych i humanistycznych.

Anna Jawor

Grzegorz BRYDA, *Cyfrowa socjologia jakościowa. Odkrywanie językowego obrazu świata życia codziennego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024.



„To jest długofalowa praca, w międzyczasie pisze się inne rzeczy, artykuły, książki, a to jest dzieło – powiem nieskromnie – wieloletnie” – tak prof. Janusz Słodczyk scharakteryzował swoje długotrwałe badania, których efektem jest wydana w 2024 roku monumentalna, ponad 800-stronicowa książka pt. *Planowanie i budowa miast w dziejach świata. Historia urbanistyki*. Dwanaście lat wcześniej ukazała się również obszerna praca tego autora pt. *Historia planowania i budowy miast*, która w założeniu miała

być przeznaczona dla studentów urbanistyki i pokrewnych kierunków studiów. Nowa książka stanowi jej rozszerzenie, uzupełnienie i zarazem podsumowanie. Adresatami znów mogą być studenci, ale interesująca i przystępna forma prezentowania badań naukowych, wartka narracja, bogaty materiał ilustracyjny, składający się z ponad 400 zdjęć wykonanych głównie przez autora oraz z wielu planów i rysunków autorstwa Jarosława Ogłęckiego, to wszystko sprawia, że książkę można polecić każdemu czytelnikowi zainteresowanemu zagadnieniami urbanistyki i architektury.

Autor proponuje sugestywną podróż poprzez różne epoki historyczne, kontynenty, strefy o zróżnicowanym klimacie i krajobrazie naturalnym, nie skupiając się tylko na europocentrycznej wizji urbanistyki. Zaczynamy więc od ośrodków protomiejskich – Jerycha i anatolijskiego Çatal Hüyük, odwiedzamy miasta najstarszych cywilizacji rozwijających się w dolinie Tygrysu i Eufratu, w Egipcie, w Dolinie Indusu i rzeki Huang-Ho, w Mezoameryce i Andach. Śledzimy także rozwój miast europejskich, wyrosłych często na bazie castrum romanum – warownych obozów tworzonych na rozległym obszarze dawnego Imperium Rzymskiego. Nie każdy czytelnik jest świadomy, że takiej genezy możemy doszukać się np. w przypadku Wiednia, Kolonii, Paryża czy Londynu.

Analizując kolejne epoki, w których miasta europejskie ulegały przekształceniom, poczynając od średniowiecza, aż do okresu po II wojnie światowej, i odnosząc je do czasów współczesnych, natrafiamy na zagadkowy palimpsest. Czytelnik ma możliwość zmierzenia się z interesującymi zagadnieniami: jak we współczesnej tkance miejskiej odnaleźć powidoki dawnych układów urbanistycznych; co wnoszą i jak przenikają się poszczególne epoki, w których kształtowana była przestrzeń miast. Z kolei rozszerzając perspektywę o inne kontynenty, śledząc dokonania budowniczych miast cywilizacji prekolumbijskich czy dalekowschodnich, można pozostawać pod wrażeniem osiągnięć architektów i zarazem urbanistów działających niegdyś na obszarach, którym dziś często przypisuje się status „krajów trzeciego świata”. Przy okazji narzuca się porównanie z architekturą kolonialną, stanowiącą na ogół odzwierciedlenie idei przeszczepienia europejskich wzorców na tereny o innej kulturze i innej tradycji w zakresie budownictwa. I znów, przyglądając się architekturze kolonialnej różnych ośrodków, można określić z dużą dozą pewności, z jakich europejskich państw, a w niektórych przypadkach nawet miast, wywodzili się kolonizatorzy i jakie wzorce architektoniczno-urbanistyczne były im szczególnie bliskie. To wszystko zostało zapisane w tkankach poszczególnych miast.

Osobne zagadnienie stanowi bardzo niejednolita urbanistyka kontynentu Afrykańskiego, gdzie oprócz ośrodków miejskich, których postać jest zdeterminowana przez właściwe kulturze islamskiej założenia architektoniczne i przestrzenne, istnieją także ośrodki położone w Afryce subsaharyjskiej, o odmiennym charakterze, często usytuowane przy dawnych szlakach handlowych, oraz miasta, w których polityka kolonialna miała decydujący wpływ na sposób kształtowania przestrzeni.

Obszerna książka napisana jest w sposób bardzo syntetyczny, zawiera ogromną ilość informacji, przy czym wyniki rzetelnie prowadzonych badań naukowych podane są w przystępnej formie.

Krystyna Matuszewska

Janusz SŁODCZYK, *Planowanie i budowa miast w dziejach świata. Historia urbanistyki*, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2024.

Obserwacje regionu



Peregrynacje po ziemiach pruskich spisywano od początku XIX wieku, kiedy to zaczęło się rozwijać podróżopisarstwo. Należą do niego *Listy z podróży po Mazurach i Warmii w 1814 roku* Gottfrieda Piotra Rauschnicka (1778-1835). Są one częścią dużo obszerniejszego dzieła pt. *Spostrzeżenia pewnego Rosjanina o Prusach i ich mieszkańcach, poczynione podczas podróży po tym kraju, przedsięwziętej w roku 1814*. Rzecz była wydana pod

pseudonimem P. Rosenwall. Autor nie był jednak Rosjaninem, ale urodzonym w Prusach Wschodnich płodnym i w swoim czasie poczytnym człowiekiem pióra. Udzielał się jako dziennikarz, pisarz, lekarz i nauczyciel.

Do wydania zostały wybrane fragmenty dotyczące warmińskich i mazurskich miejsc. Podróżnik, narzekając na fatalny stan dróg, najpierw odwiedził Reszel i położoną nieopodal Świętą Lipkę, która i współcześnie cieszy się sławą maryjnego sanktuarium. Uwagę autora pochłonęła pielgrzymka. Barwnie przedstawił wydarzenie religijne: „Gdy się zbudziłyśmy, całe miasto było już w ruchu: muzyka, dzwony, śpiew, turkot wozów rozbrzmiewały i mieszały się pospołu; w barwnym zamieszaniu tłum popłynął przez bramę i również my wyruszyliśmy, aby nie stracić ani jednego znaczącego momentu podczas uroczystości”. Pielgrzymkę zrelacjonował jako żywy teatr.

Nie zawsze dysponował rzetelną wiedzą o miejscach odwiedzanych. Na ludzi i ich kulturę patrzył z góry. Dziwił się, jak w krainie, gdzie artyści nigdy nie byli wysoko wynagradzani, mogły powstać tak doskonałe dzieła sztuki. Nieznana mu była zapobiegliwość jezuitów, którzy w XVII w. uczynili Reszel miastem znakomitych artystów rzemieślników: malarzy, rzeźbiarzy, złotników, kowali. Niewiedza podróżnika jest do zweryfikowania, ponieważ na temat odwiedzanych przez niego okolic istnieją rzetelne opracowania historyków regionu (np. ks. Alojzego Szorca czy Jerzego Paszندی). Autor wypowiedział się o życiu gospodarczym Warmii, która dostarczała zboża, lnu, konopi, wosku, miodu, owoców i wełny; w Anglii był popyt na wytwarzane tu płótno. Rauschnick dostrzegał krajobrazową, gospodarczą, kulturową i językową odmienność Mazur. Tutaj na marnych ziemiach uprawiano tylko żyto, owies i grykę, ale też len. Najbardziej udawała się hodowla owiec. Ludzie żyli tu z tkactwa i rybactwa, na obszarach leśnych wytwarzali smołę.

W oczach podróżnika obszar Mazur nie jawił się jako kraj idylli. Zbliżając się do Mrągowa, zanotował: „jałowa, pozbawiona charakteru okolica”. Drażniła go drewniana zabudowa. Gdy Warmiakom zarzucał flegmatyczność, Mazurów wypominał niechęć do wprowadzania zmian. Oburzał się, że mimo niemieckich rządów, wciąż nie mówią po niemiecku. Ich mowę nazwał podobną do „kociej muzyki i chrząkania świni”, „żałosną polszczyznę z domieszką słów niemieckich, której dobrze nie zrozumie ani Polak, ani Niemiec”. Docierając do Węgorzewa, doszedł do wniosku: „jeśli ktoś kiedykolwiek chce usłyszeć babilońskie pomieszanie języków, niech przybędzie tutaj: mówi się tu jednakowo źle po polsku, litewsku, w dolno- i wysokoniemieckim, a w takim bezładzie, że obcy nie będzie zupełnie wiedział, w jakim języku się do niego zwracają”.

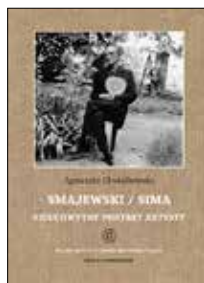
Rauschnick zainteresował się hutą żelaza w Puszczy Piskiej, pływał po Śniardwach; brzegi jezior porastał wówczas las. Mikołajki w opisie owiane są smutkiem. Jakkolwiek już wtedy istniało przekonanie, że w Jeziorze Mikołajskim łowi się sielawy – „jedne z najsmaczniejszych gatunków ryb”. Niektórych może zdziwić spostrzeżenie: „jedynym jasnym punktem na mrocznym obrazie Mazowsza Pruskiego jest miasteczko Ełk, którego miłe okolice tak mało przypominają pozostałą część krainy”. Zwiedzając Frombork, autor pamiętał, że „kanonikiem tutejszej kapituły był nieśmiertelny Mikołaj Kopernik”. Ale błędnie podał, że wielki astronom zbudował tutejszy wodociąg.

Książka, opatrzona rzeczowym wstępem, przypisami, bibliografią, a także reprodukcjami rycin z epoki, zaprasza do uprawiania turystyki historycznej.

Zbigniew Chojnowski

Gottfried Peter RAUSCHNICK, *Listy z podróży po Mazurach i Warmii w 1814 roku*, przełożył, do druku podał i wstępem opatrzył Rafał Wolski, Oficyna Retman, Archiwum Państwowe w Olsztynie, Dąbrówno–Olsztyn 2024.

Artysta przypomniany



Celem publikacji była prezentacja twórczości Michała Smajewskiego (Michela Simy), artysty eksplorującego rozmaite obszary sztuki: rzeźbę, ceramikę, a przede wszystkim fotografię. Konieczne było ukazanie rozległego tła kulturowego i artystycznego, które pozwala zrozumieć jego działalność. To zdecydowanie podnosi wartość książki, gdyż nurty awangardy połowy XX w. stanowiły niesłychanie płodny okres i udział Simy w tych trendach tłumaczy nie tylko znaczenie jego twórczości, ale także wzbogaca naszą wiedzę o sztuce tego okresu. W szczególności o rozwoju europejskiej fotografii.

Tym bardziej, że mowa jest o twórcy w Polsce właściwie zapomnianym. Jak wskazuje autorka, do niedawna nie istniały właściwie żadne polskie teksty poświęcone Smajewskiemu, a pojawiające się ostatnio w internecie wzmianki o nim oraz publikowane fotografie są reakcją na wystawę Pabla Picassa w lubelskim Muzeum Narodowym. W gruncie rzeczy Agnieszka Chwiałkowska jest pionierem badań nad sztuką Simy, a przypomnienie jego działalności artystycznej jest sporą zasługą, ponieważ mowa o twórcy niebanalnym i naprawdę godnym przypomnienia. Tym bardziej, że od samego początku swoich badań autorka zetknęła się z ogromnymi trudnościami, przede wszystkim zaś ze szczupłością materiałów archiwalnych, co nie pozwoliło na pełne ukazanie biografii twórcy oraz dróg jego rozwoju artystycznego. Trudności te najlepiej zrozumieć, gdy uświadomimy sobie, że zdecydowana większość omawianych w publikacji obiektów nie jest datowana.

Owe braki są w książce rekompensowane wnikliwymi analizami samej twórczości i dzieł, analizami – dodajmy – świadczącymi nie tylko o znajomości przedmiotu, ale także sporej wrażliwości autorki. O ile namysł nad sztuką rzeźbiarską ma swoją wypracowaną metodologię, to ceramika oraz fotografia wciąż potrzebują pracy nad takową. Zatem dodatkowa wartość publikacji polega na tym, że pozwala jej czytelnikom rozpoznać metody badawcze i, miejmy nadzieję, dalej je rozwinąć.

Urodzony w Słonimiu, w roku 1929 wyjechał do Paryża, niekwestionowanej stolicy sztuki, by kształcić się w zakresie rzeźby. Tam też rozwinął swoje zainteresowanie fotografią, w której tajniki wprowadził go André Lhote. Edukacja artystyczna oraz krąg znajomych wprowadziły młodego twórcę w krąg awangardy paryskiej, czyli – mówiąc poetycko – w samo centrum burzy. W ten sposób poznał Pabla Picassa, Maxa Ernsta czy Francisca Picabia. Z tego okresu pochodzą rzeźby, ceramiki i fotografie, jednakże z powodu wojennej zawieruchy zachowane jedynie szczątkowo.

Katastrofa wojenna nie oszczędziła Smajewskiego, który jako Żyd trafił do obozu koncentracyjnego i należał do nielicznej grupy ocalałych. Trudno ocenić, jak wielki wpływ na jego twórczość miał ten fakt, okres obozowy nie pojawiał się bowiem ani w jego publicznych wypowiedziach, ani w rodzinnych rozmowach.

Po powrocie do Francji Sima nawiązuje współpracę z Picassem, dokumentując powstające prace, ale dalej rozwija się jako wybitny fotografik, przede wszystkim portrecista. Nie porzucił jednak twórczości rzeźbiarskiej oraz ceramiki, co poznajemy dzięki zachowanym obiektom oraz katalogom wystaw.

Bardzo ciekawy sposób ujmowania tej wielowątkowej twórczości, jaki prezentuje książka Chwiałkowskiej, pozwala nie tylko zrozumieć artystyczny rozwój Smajewskiego, ale także konteksty, w jakich powstawały jego dzieła. Bez tego tła trudno byłoby zrozumieć całość jego dorobku, był bowiem twórcą powiązany ze swoim środowiskiem, swoją epoką, ale – bynajmniej nie paradoksalnie – także z tradycją artystycznej Europy, czerpiąc z niej pełnymi garściami i wywierając dyskretny wpływ.

Juliusz Gałkowski

Agnieszka CHWIAŁKOWSKA, *Smajewski / Sima. Nieuchwytny portret artysty*, Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata, Wydawnictwo Tako, Warszawa—Toruń 2024.

Z raportu Ośrodka Przetwarzania Informacji *Nauka w Polsce 2023* wynika, że wśród osób z tytułem profesora kobiety stanowią zaledwie 29%. W przypadku stanowisk kierowniczych grantów ERC przewaga mężczyzn jest wręcz przytłaczająca. Wynosi bowiem aż 70%. Zasadne wydaje się w takiej sytuacji postawienie pytania, co musi się stać, aby ten obowiązujący przez lata porządek w końcu uległ zmianie. Odpowiedzi można zacząć szukać w miesięczniku Uniwersytetu Jagiellońskiego „Alma Mater” (nr 253-254/2025), który rozpoczął niedawno publikację cyklu artykułów pod tytułem *Kobięca twarz Uniwersytetu*. Od tej pory regularnie, w każdym numerze pisma ukazywać się mają teksty „prezentujące nie tylko sylwetki, zde-



terminowanych by wypełnić lukę w reprezentacji, wybitnych uczonych i studentek, ale przede wszystkim takie, w których przyjrzymy się danym, statystykom, zapytamy badaczy i badaczki o konkretne i najbardziej palące problemy związane z tym tematem oraz możliwe rozwiązania”.

W inauguracyjnym nowym cyklu artykule poznajemy Jadwigę Andegaweńską, współodnawicielkę uniwersytetu. Przekonujemy się, że w legendzie o Nawojce – dziewczynie przebijającej się w męskie szaty, by móc studiować – jest ziarno prawdy. Dowiadujemy się, że jako pierwsze na uniwersytecie pojawiły się pracowniczki „niedydaktyczne”, które zatrudniane były na różnych stanowiskach. Już ten wstępny przegląd pozwala dostrzec, że w ciągu kolejnych tysiącleci sporo rzeczy zostało zrobionych. W końcu jeszcze w XV czy XVI wieku kształcenie kobiet było, czytamy, „czymś tak abstrakcyjnym, że przewyższało wyobraźnię uczonych”. Nie możemy jednak spoczywać na laurach, bo wciąż wiele zostało do zrobienia. Do tego jednak, aby działania prorocnościowe przyniosły pozytywny skutek, potrzebny jest z pewnością sojusz męsko-żeński, przekonuje redakcja.

Otwórz się!

„Mów o sobie” – pierwsze w Polsce badanie dotyczące samoocaleń wśród młodych dorosłych przeprowadzili naukowcy z Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. W specjalnie przygotowanej ankiecie zespół z Katedry i Kliniki Psychiatrii UMW pytał studentów o jakość i częstotliwość kontaktów międzyludzkich, a także o ogólne samopoczucie oraz samoocenę. W kwestionariuszu pojawiły się ponadto kwestie dotyczące sposobów radzenia sobie ze stresem i emocjami, postrzega-



nia świata, poczucia lęku i jakości snu. Badaczka interesowała zarówno skalą problemu, jaką stanowią samoocaleczenia niesamobójcze, „które są jednym z dysfunkcyjnych sposobów radzenia sobie z negatywnymi emocjami”, jak również ustalenie ich korelacji z innymi zachowaniami.

Wiadomo, że samoocaleczenia zwykle mają przynieść ulgę osobom nie mogącym poradzić sobie z takimi uczuciami, jak złość, smutek, rozczarowanie czy poczucie winy. Ludzie z braku innych dostępnych i znanych sobie środków tną więc skórę ostrymi narzędziami, nakłuwają ją igłami, nadmiernie drapią czy przypalają. Jak się okazało, z samoocaleczeniami koreluje poczucie osamotnienia oraz stosowanie strategii unikowej, czyli odkładanie spraw na później z nadzieją, że same się jakoś ułożą. Naukowcy z Wrocławia zwrócili uwagę, że odsetek osób, które w ankiecie wskazały, iż co najmniej raz w życiu praktykowały tego typu zachowania, wyniósł prawie 50%. To są z pewnością alarmujące dane, podkreślają badacze. Dlatego właśnie zależało im, aby opracować, a następnie wdrożyć strategię pozwalającą przeciwdziałać temu niszczącemu zjawisku. Specjaliści już zaplanowali zorganizowanie warsztatów psychoedukacyjnych. Rozważają ponadto uruchomienie zajęć fakultatywnych mających na celu poprawę dobrostanu psychicznego, donosi „Gazeta Uczelniana” (nr 3/2024).

Czym młody wilczek morski nasiąknie...

Popularyzację nauki zacząć warto od najmłodszych. Ci bowiem, kiedy złapią na wczesnym etapie edukacji bakcyła wiedzy, mają szansę w przyszłości poważnie zainteresować się nauką. Pogląd ten z pewnością podzielają pomysłodawcy Akademii Wilczka Morskiego. Projekt, skierowany do dzieci i młodzieży, stworzony został na Politechnice Morskiej w Szczecinie. Jego założeniem było upowszechnienie wiedzy o morzu w sposób atrakcyjny i angażujący.



Organizatorzy postawili więc na połączenie edukacji z zabawą. W trakcie interaktywnych warsztatów uczniowie doświadczali wielu unikalnych sytuacji. Do takich z pewnością zaliczało się sterowanie statkiem podczas sztormu czy zagładanie pod pokład, żeby zobaczyć elementy silnika okrętowego.

Doświadczonym wilkom morskim zależało jednak nie tylko na oferowaniu ekscytującej rozrywki, informują „Akademickie Aktualności Morskie” (nr 4/2023). Chcieli także pokazać, że ważne jest kształtowanie charakterów młodego narybku w duchu poszanowania wartości najwyższych: „szacunku do nauki, zamiłowania do poszukiwania prawdy, a także pracowitości i wytrwałości”. Pragnąc zaszczerpić w młodszych członkach społeczności pasję do morza, starsi koledzy starali się nieustannie inspirować ich swoim przykładem. Ich intencją było z pewnością rozbudzenie ciekawości świata w przyszłych pogromcach mórz i oceanów. W końcu, czym skorupka za młodu nasiąknie...

Aneta Zawadzka

OKIEM ORNITOLOGA



Fot. Marta K. Nowak i Grzegorz Grzywaczewski





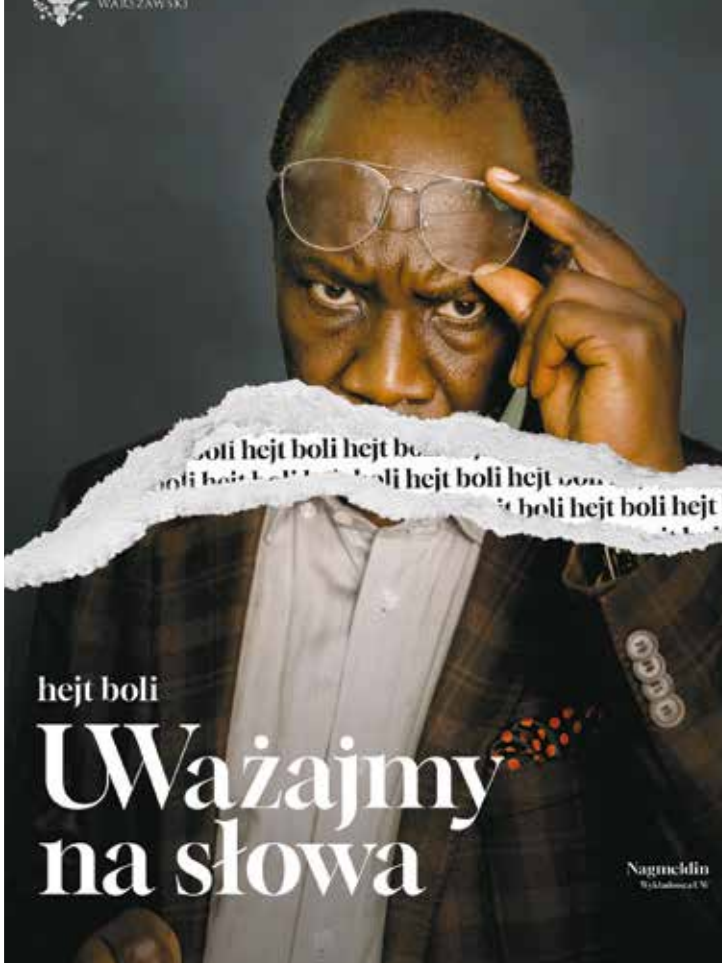
hejt boli
**UWażajmy
na słowa**

Gabriela
Dzikowska U



hejt boli
**UWażajmy
na słowa**

Paweł
Wydzimek U



hejt boli
**UWażajmy
na słowa**

Nagmeldin
Wydzimek U



hejt boli
**UWażajmy
na słowa**

Aleksandra
Wydzimek U